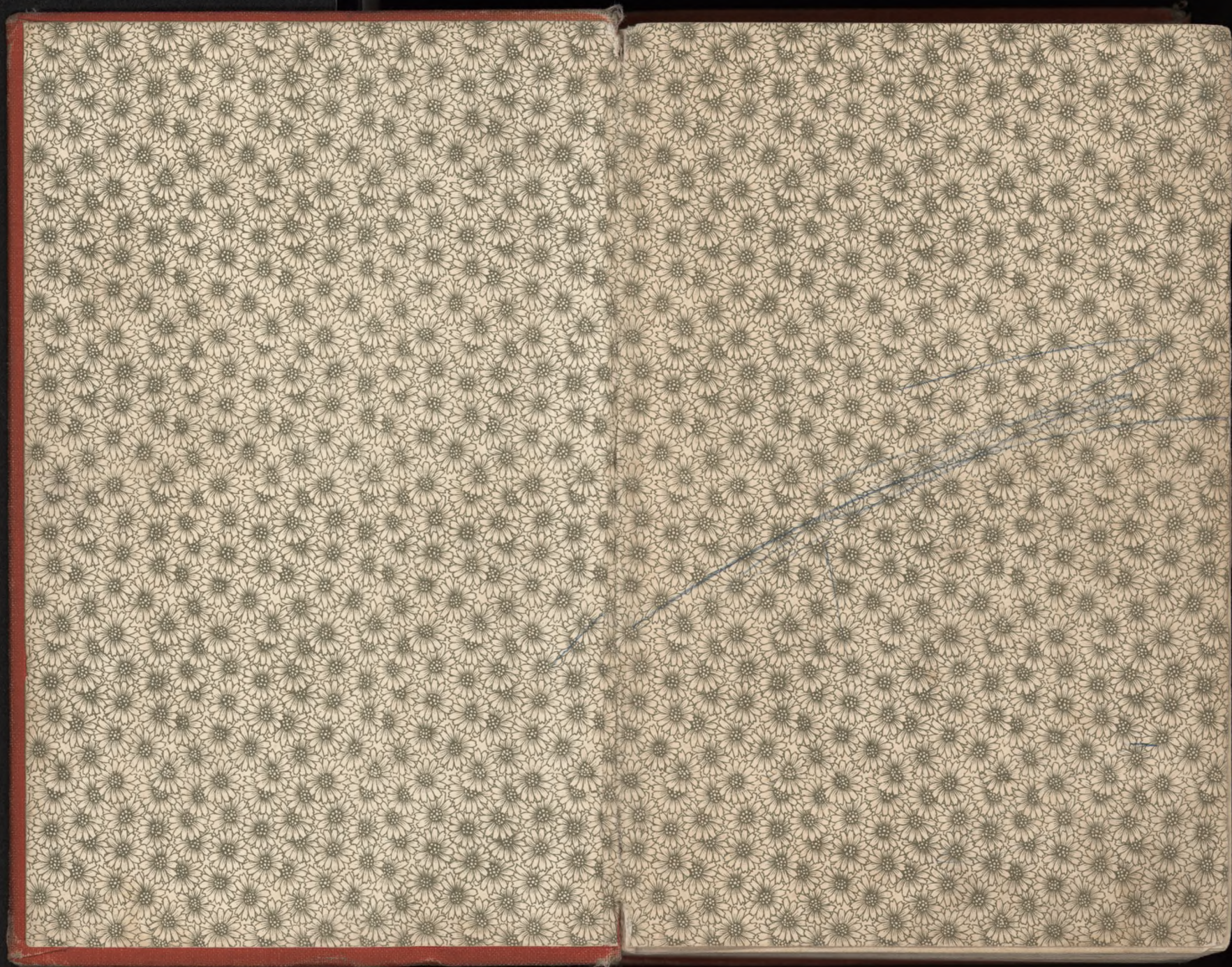


Idźcie

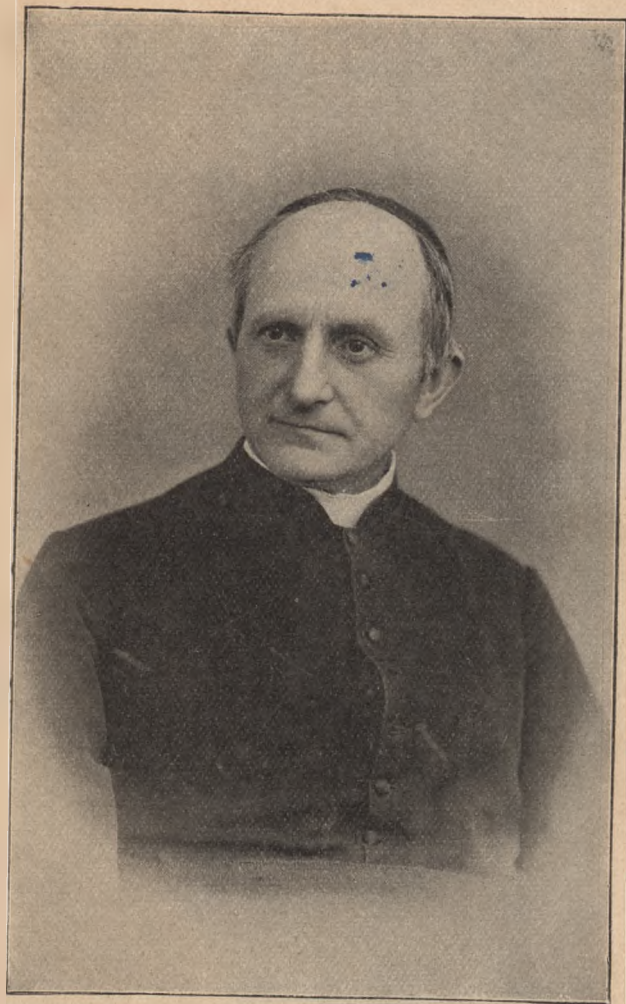
NA CAŁY ŚWIAT





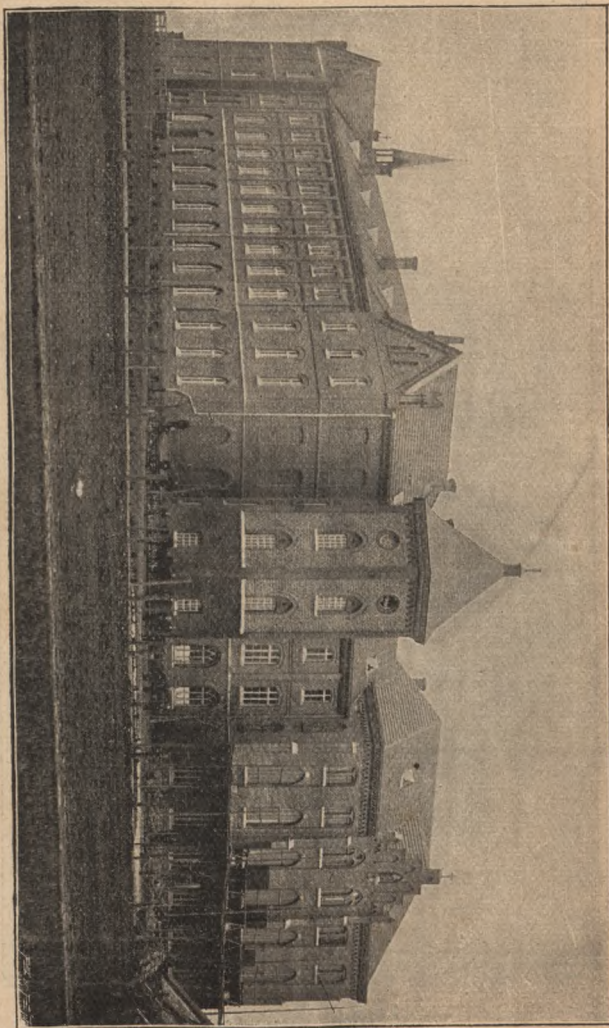
105

Woj. Opole



Arnold Janssen,
generalny superior towarzystwa „Słowa Bożego“.

Dom misyjny św. Krzyża w Neuland pod Nissą. (Otwarty w r. 1892.)



Opis H. C. m. d.

Idźcie na cały świat!

Myśli i Uwagi

nad

Dziełem rozkrzewienia wiary

i nad zadaniem

Zakonników Boskiego Słowa

i

Domu misyjnego „Św. Krzyża.”

Przez

✻ Em. Huch. ✻

Nr. 76B
○ ● ○

Dochód przeznaczony dla domu misyjnego Św. Krzyża.

Pierwsze wydanie tego dziełka wyszło pod tytułem
„Św. Krzyż.”

Nakład Fr. Huch.
Frankenstein (Śląsk.).
1902.



. 6339 5

266

Imprimatur sec. editionem Germanicam.

Baarlo, die 1. m. Nov. 1901.

Dr. J. H. Geenen, Libr. Cens.

ZBIORY ŚLĄSKIE

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Drukarnia misyjna w Steyl.

Akc 11 **Nr** 648 143 151.

Matce Bolesnej, Królowej męczenników,

i Opiekunce misyonarzy.

W uczuciu

serdecznej miłości i wdzięczności

poświęca

Autor.



Do czytelnika.

Proszono mnie, abym i to dziełko, podobnie jak i poprzednie tegoż autora, zalecił czytelnikom, zanim książka rozejdzie się po świecie. Dziełko to zaleca się wprowadzić już samo przez się każdemu, kto tylko przeczucił choćby kart kilka. Lecz trudno prośbie odmówić, pragnąłbym zatem polecić czytelnikom tę skromną, zajmującą i pożyteczną książeczkę, polecić tem goręcej że pocziwa myśl kierowała tu piórem autora który postawił sobie za zadanie rzeczy dobre w pięknej formie opowiedzieć. Głównie jednak pragnąłbym dla tego kartki następujące podać niejako czytelnikom, gdyż chodzi tu o misye. Podwójny cel, dwojakie posłannictwo ma mieć ta książka; najprzód ma być pożyteczną, uszlachetniającą duchow ą rozrywką dla czytelnika a po za tem ma jeszcze przysłużyć się misyom apostolskim. Do takiego dzieła rękę przyłożyć uważałem zawsze za czyn wzniosły. gdyż jest to dodaniem cegiełki do wielkiego gmachu duchowego miłosierdzia. Cóż wreszcie może być szczytniejszego i wznioslejszego, jak przyczynić się do tego, by światło Ewangelii rozniosło się coraz dalej, coraz głębiej zaszczepiało się w duszach!

Misyonarz jest apostołem; w ciemne krainy pogaństwa niesie światło wiaryniesie, Chrystusa: Chrystophoros! Niesie Chrystusa i światło tym, którzy trwają w ciemnościach i mroku śmierci.

Dla tych którzy już kroczą w światłości powinno być poważnem, a zarazem miłym zadaniem, wspierać tych krzewicieli światła. Wszakżesz „światło wiary“ zawsze idzie w parze z światłem łaski, więcej nawet samo jest łaską. Prośba by światło jaśniało w ciemnościach powinna być codzienną modlitwą każdego Chrześcianina. Lecz prócz tego winien każdy Chrześcianin przyłożyć rękę do tego, czy to pośrednio, czy osobiście, by blask gwiazdy prowadzącej niegdyś trzech mędrców, oświecił pogan, by wreszcie rozpromienił świat cały i aby na całym świecie rozbrzmiał radosny hymn Zmartwychwstania. Niechaj zatem i ta nowa książka wielkodusznego autora rozchodzi się coraz dalej, niechaj spełnia zadanie, jakie jej autor przepisał, niechaj podnieca ducha czytelników i daje im zdrowy pokarm, niechaj wreszcie zachęca i zapala do wielkiego dzieła, któremu służy!

Dr. C. Krieg,

profesor uniwersytetu.

Wychodzące w Monasterze pismo: „Der Litterarische Handweiser“ w numerze 720 i 721 z roku 1899 pisze co następuje o naszej książce „Idźcie na cały świat.“

„Dziełko, które mam przed sobą ukazuje się po raz trzeci pod zmienioną nazwą; pierwsze jego wydania nosiły bowiem tytuł: „Dom św. Krzyża“.

„Treść jego stanowią myśli, uwagi i opisy, mające przeważnie na celu zapoznanie nas ze zgromadzeniem zakonem Ojców Boskiego Słowa, i malują jego zadanie, działalność, osiągnięte już owoce, oraz potrzeby. Mówi również o całym wielkiem dziele rozkrzewienia wiary. W toku książki znajdujemy prócz tego niejedną jeszcze rzecz dobrą i budującą. N.p. uwagi o ubieganiu się za pochwałami i uznaniem, o obawie względów ludzkich, o miłosierdziu i pracy dla Pana Jezusa, o ślubie ubóstwa, o wytrwaniu w dobrem itd. Tekst podnoszą liczne ilustracye, przedstawiające domy misyjne, albo też wizerunki misyonarzy Słowa Bożego w Steyl, między innymi biskupa Anzera, i O. Jansena, założycieli tegoż zgromadzenia. Styl i język dziełka potoczysty, owiany technieniem idealnem, miejscami skonczenie piękny. Potrzeby chwili obecnej są tu również poruszane i uwzględnione przy sposobności, a całość owiana duchem żywej wiary i zdania na wolę, Bożą, prawdziwą pobożnością i świętym zapalem o zbawienie dusz.

Deppe.

Tobie, o Matko Bolesna Królowo męczenników, poświęcam to dziełko. Cześć Boska i zbawienie dusz, to cel dla którego przelaną została Najświętsza Krew Jezusowa, to przyczyna Twoich niezliczonych łez i boleści. My wszyscy dążymy do tego, aby Krew, Twego Boskiego Syna uczynić w duszach ludzkich urodzajną. Lecz któż poświęca się wspaniałomyślniej temu dziełu jeśli nie misjonarz! Ty jesteś naszą Matką, ale szczególnie Matką misjonarzy. Jak gorąco pragniesz aby męka Twego Boskiego Syna nie była straconą dla dusz, aby te dusze dla których On umarł, na wieki uratowane zostały. Z jaką miłością spoczywa Twe oko na młodzieńcach, którzy w domu Świętego Krzyża przed Twym obrazem i pod Twoim płaszczem opiekuńczym na dożywotnie gromadzą się męczeństwo. Jakże gorąco pragniesz, aby ich liczba coraz się więcej powiększała. Świat tak wielki, a tylko najmniejsza część jego ludności hołduje Boskiemu Twemu Synowi. Kościół musi dokładać wszelkich starań, aby dusze pogan uratować i dla wiary pozyskać. I któż się tej pracy podejmie? Nikt inny, tylko misjonarz, on gotów każdej chwili ponieść największe ofiary, spoglądać śmiało w oblicze śmierci. — „Skądże chleba weźniemy, aby tych ludzi nakarmić? Tak pytał Apostół patrząc na tłumy zgromadzone wokoło Boskiego Twego Syna. To samo pytanie możnaby zadać sobie w obec licznych aspirantów na misjonarzy, których czeka może głód i nędza! O, Ty nie dopuścisz tego, o Matko miłosierna, Ale dla twych wiernych synów, którzy

poświęcają się tak chętnie Jezusowi wyprosisz chleba. Ty o Maryo nie przestaniesz błagać, żeby się pomnażała ciągle liczba krzewicieli wiary świętej, aby Pan wysyłał jak najwięcej robotników do winnicy swojej.

Tę książeczkę o Maryo, Matko Bolesna, kładę z ufnością w ręce Twoje, abyś ją pobłogosławiła i uprosiła u Boga, by przyniosła jak najpiękniejsze owoce dla domu misyjnego Św. Krzyża, aby na całym świecie znikła ciemność grzechu i noc poganiaństwa i aby Serce Jezusa żyło w sercach ludzkich.

Tobie o droga Matko na wieki oddany
niegodny sługa.

Uroczystość
Zesłania Ducha św. 1895.

E. H.

Uwaga.

Autorem tej książki jest długoletni współpracownik trzech gazet szląskich*), „w kole swoich czytelników, znany jako miły-gaduła.“ Jego tygodniowe artykuły wychodziły pod tytułem „Poważne pogadanki.“ Dążył on do tego, aby bawiąc, umoralniać i uszlachetniać. Setki listów odebranych z koła czytelników z wyrazami uznania dla tak zajmującego „gadulstwa“ nakłoniły autora do zebrania pogadanek w formie książki, aby i w dalszych kołach ułatwić ich czytanie, tembardziej że już kilka razy proszono go o to. Autor gorąco zajmujący się rozszerzaniem wiary, a szczególnie zadaniem towarzystwa „Boskiego Słowa“ i misyjnego domu „Św. Krzyża“, pragnie swoim czytelnikom przedstawić ten wzniosły cel i rozniecić ich zapał dla tak prawdziwie katolickiego dzieła. Część tych artykułów poznajamia nas z początkiem i pierwszemi losami towarzystwa, a szczególnie z domem misyjnym Św. Krzyża. Zostawiając im pierwotną formę artykułów dziennikarskich, sądziliśmy uczynić je tem więcej aktualnemi i zajmującemi.

Panu Bogu składam dzięki serdeczne że w tak rozliczny sposób raczył błogosławić tej książce; ufam że dozwoli aby i pomiędzy Polakami znalazła licznych przyjaciół i poparła dzieło najpotrzebniejsze, rozkrzewienia wiary.

*) Frankenstein-Münsterberger-Zeitung, Volksfreund, Neuroode-Reichenbacher-Volksblatt.



Część pierwsza.

Powstanie Domu misyjnego Świętego Krzyża



Steyl i Neuland.

Założenie domu misyjnego w Neuland, pierwszego domu towarzystwa Boskiego Słowa na niemieckiej ziemi, nasuwa może niejednemu pytanie o pochodzeniu tegoż towarzystwa. Chętnie uczynimy zadość wszelkim życzeniom.

Ubóstwo domu misyjnego wzbudziło ogólne zdziwienie i współczucie, a nawet powątpiewanie dusz życzliwych o przyszłości podjętego dzieła. Dom macierzysty w Steyl miał wszelako jeszcze biedniejsze początki i można powiedzieć, że jeszcze mniejsze widoki na przyszłość. Wiekie dzieła bardzo często w nędzy biorą swój początek; dzieła które zbawienie dusz za cel mają, rodzą się zwykle w cierpieniu.

Lat temu może siedemnaście gdy prześladowanie srożyło się nad Kościołem; pewien pobożny biskup zniechęcony i zasmucony siedział przy swem biurku, rozważając o niemożności jakiegokolwiek działania na zewnątrz. W tej samej chwili poprosił o posłuchanie słaby i schorzały kapłan i cichym łagodnym, ale stanowczym głosem przedłożył mu plan swój. Odwaga skromnego księdza zdziwiła bardzo Arcypasterza. — W tak krytycznym czasie, gdy wszystko ginie i upada, ty planujesz nowe dzieła?

„Wasza Eminencyo,“ odpowiada ksiądz, „w czasie w którym tyle ginie i upada, nowe dzieła wznosić należy“

Chwilę pogrążył się biskup w głębokiem milczeniu. Istotnie czyż nie zawsze tak było, i właśnie w takich

czasach w których piekło wysila swą potęgę i Kościół święty roni łzy gorzkie, Bóg sobie wybiera duszę, której objawia wolę swoją w sposób stanowczy, tak że owa dusza nie jest w stanie oprzeć się wołaniu Pana, choć to ludzie często za głupstwo poczytują.

I czuje biskup, że duch który tego księdza ożywia, jest Duchem Bożym, i że on tylko pobłogosławić może temu, co Duch Sw. działać rozkazuje.

Kapłan odchodzi umocniony błogosławieństwem kościelnem i nie zważa, że jest sam, wszelkich środków pozbawiony. Nie zważa, że jego przedsięwzięcie zowią szaleństwem, wątpiąc nawet o jego rozumie; nic go nie zraża, wie on bowiem, że wszystkie święte dzieła dotyczące chwały Bożej, muszą przejść przez próbę ognia. Zaczyna więc pełen ufności w Boską Opatrzność z trzema tysiącami talarów, które mu zostawiła pewna, do klasztoru wstępująca dama, i z dwoma tysiącami talarów, otrzymanych od pewnej sługi, od których sobie zastrzegła dożywotne procenta. Szuka współpracowników, lecz zamiast oczekiwanej pomocy, spotyka same tylko przeszkody, tak że i on nawet zaczyna wątpić o powodzeniu. Lecz wkońcu znikają trudności! Łączy się z nim kilku młodych kleryków, pełnych heroicznego poświęcenia i gorliwości. Wierni oddają mu swych synów, nie szczędzą pieniężnych ofiar; rośnie i rozkwita maleńkie ziarneczko tak prędko, tak pięknie, tak cudownie i wspaniale, jak nikt się tego nie mógł spodziewać. Widoczne tu błogosławieństwo Boskie! I cóż je ściągnęło? Oto duch ofiary i miłości, który ożywia ojców tego młodego towarzystwa i przechodzi na duchowych jego synów, to duch ubóstwa w towarzystwie Boskiego Słowa tak wysoko ceniony. Jak oszczędnie rządzą się darami wiernych, aby jak najwięcej dla królestwa Boskiego pozyskać! Jak skromne są potrzeby życia i domowego urządzenia misjonarzy. Przez prowadzenie własnego gospodarstwa

jako też różnorodnych warsztatów, w których skrętna gromadka braciszków bez ustanku trzodzi się i mozoli, zmniejszając się znacznie koszta utrzymania domu. Nie chodzi tu tylko o to, aby coś zaoszczędzić, lecz także i o to, aby coś zarobić, i do tego służy szczególnie wielka drukarnia, która rozszerza dobre książki i pisma i przez doniesienia, dotyczące się misyi, nowych dzieł pozyskuje przyjaciół.

Dom misyjny w Steyl w Holandyi, blisko pruskiej granicy, składa się teraz z kilku ładnych murowanych domów; w pośrodku wznosi się ogromny kościół, podzielony na dwie części, na górny i dolny Kościół aby nie brakło miejsca dla domowników i dla obcych, przybywających tłumnie na rekolekcyje. Ilekć ran duchowych tu uleczone, ileż dusz zostało piekłu wydartych, iluż po skończonych rekolekcyach wraca w progi rodzinne odrodzonych na duchu! Kto to policzy?

Przeszło pięćset osób jada dziennie z kuchni klasztornej: księża wychowawcy, braciszkanie, ta liczba pomnaża się znacznie przez przybywających na rekolekcyje i czasami dochodzi do osmset. — Drugi dom misyjny znajduje się od dwóch lat w Enzersdorf koło Wiednia, mieści teraz dwieście osób i mamy nadzieję że z czasem większe przybierze rozmiary.

Dla wyższych studyi posiada towarzystwo małe kolegium w Rzymie.

Pod opieką tegoż towarzystwa w Steyl stoi także klasztor misyjny żeński, Siostry trzodzią się po części gospodarstwem, po części działaniem misyjnym, jak nauką młodzieży, pielęgowaniem chorych płci żeńskiej.

I jakież owoce przyniosło działanie misjonarzy dotąd w krajach pogańskich?

Czyż nie daremna ich praca między powstańcami i niewdzięcznymi Chinczykami, czy nie za wiele

odwagi pracować w kraju, którego ziemia przesiąkała krwią męczenników? Chiny, ten niezmierny kraj, roztwiera się światu, występuje ze swojej zdrętwiałości. Któż go ma na przyszłość duchowo opanować. Czyż Kościół, ten nauczyciel narodów, beczynnie przypatrywać się będzie i pozostawi go na pastwę sekt bezbożnych, albo niedowiarstwa? Nie, tego Kościół nie uczyni. Towarzystwo misyjne Boskiego Słowa znalazło w Chinach szerokie pole działania; ich misye coraz się rozszerzają. Biskup i dwudziestu czterech księży towarzystwa pracuje tu bezustannie, dom dla sierot jako też seminarium dla księży, w którym kształci się trzydziestu młodzieńców, upoważnia do najpiękniejszej nadziei; dwóch chinczyków otrzymało już święcenia kapłańskie. Przewielebny biskup Anzer i ojciec Freinademetz byli pierwszymi wysłańcami towarzystwa. Obaj przechodzili już różne katusze i męki, lecz Opatrzność Boska czuwała nad nimi i oswobodziła ich zawsze z rąk nieprzyjaciół.

Inne pole działania objęło towarzystwo w Argentynie w południowej Ameryce. tam opiekują się ojcowie duszami osadników Niemców. I ta działalność pięknie się rozwija.

W nowszym czasie doznaje Afryka najgorętszej opieki, wysłano tam już kilkunastu misjonarzy, szczególnie niemieckim kolonistom wyświadcza towarzystwo Boskiego Słowa wiele, bardzo wiele dobrodziejstw. W szczególny sposób rozwinięta się owa misya przez dom misyjny w Neuland.

Dom misyjny w Neuland koło Nissy.

Nowe wspaniałe dzieło Przewielebnego księdza Jansena odpowiedziało oddawna wyrażonemu życzeniu Ojca św. i znalazło odgłos we wszystkich, prawdziwie katolickich sercach. Szczycić się zawsze powinniśmy naszą godnością chrześcian katolików, i jako prawdziwi Katolicy powinniśmy dzielić troskę Kościoła św. o rozszerzenie wiary św., o zbawienie dusz, a szczególnie owych nieszczęśliwych i opuszczonych pogan, którzy nie mają sposobności poznać Chrystusa. Wiemy przecież z Pisma św. że Zbawiciel chce być światłem ku objawieniu pogan, a rozszerzenie tego światła oddaje z zupełnem zaufaniem uczniom swoim, mówi im:

„Idźcie na cały świat i nauczajcie wszystkie narody.“

To są słowa Zbawiciela, to jest Jego rozkaz. Któż mógłby powiedzieć że kocha Zbawiciela, a byłby obojętny, na dolę swoich współbraci, których nawrócenie Zbawiciel zaleca jako zadanie, pełne zasług.

Gdy Boski Mistrz w otoczeniu swoich uczniów chodził po żydowskiej ziemi i nauczał, postępowały za Nim pobożne niewiasty; i choć w Jego mocy było kamienie w chleb przeistaczać, przecież zawsze przyjmował pomoc od wiernych, aby i oni czerpali zasługę z dzieła misyjnego.

Czyżby może miało zabraknąć powołań w nowym domu misyjnym? — Bynajmniej.

Pewien katolicki pan z górnego Śląska dowiedział w ilu to piersiach młodzieńczych drzemie iskra powołania, że potrzeba im tylko trochę zachęty, lub pomocy. Pan ten ogłosił, że poszukuje utalentowanego chłopca, któremu zapewni bezpłatne wykształcenie do stanu duchownego pod tym jednak warunkiem, że się zobowiąże pracować kilka lat w zgromadzeniu św. Rafała, dla dobra wychodźców. Wtedy zgłosiło się nie mniej jak stu chłopców. — I nam zatem z pomocą Boską nigdy nie zabraknie powołań. Wielu już chłopców i młodzieńców przyjęło z radością i zapalem wiadomość o otwarciu domu misyjnego na Śląsku i wielu się jeszcze znajdzie, którzy ten przykład zechcą naśladować.

Przy tej sposobności chcemy sprostować dość rozszerzone błędne mniemanie. Sądzą często, że towarzystwo misyjne Boskiego Słowa nie zobowiązuje trwale swoich członków. Otóż my wszystkim zaręczamy, że po odbytych nowicyacie składa się najpierw czasowe, a potem wieczyste śluby.

Fałszywem też jest mniemanie, jakoby księża Towarzystwa mieli tylko bardzo ograniczone studia. Tymczasem po sześciu klasowych studiach gimnazjalnych następują jeszcze sześcioletnie, a ci którzy do wyższych studiów są przeznaczeni, jeszcze po święceniach kapłańskich pobierają wyższe akademickie wykształcenie. Kilkunastu księży z towarzystwa posiada już stopień Dr. teologii i filozofii, a jeden nawet godność Dr. prawa.

Gdy jeneralny Superyor, Ks. Janssen, przed 17 laty rozpoczął swoje, dziś tak kwitnące dzieło, nie brakowało głosów, twierdzących że nasz kraj sam księży potrzebuje, że przedsięwzięcie to nie na czasie. Znanem jest, że pewien bardzo zasłużony proboszcz katedralny w publicznej mowie wyjaśnił, że jeszcze większy niedostatek księży nastąpi, jeżeli biednym poganom misyonarzy odmowimy; a w przeciwnym

razie Pan Bóg nie omieszka zesać i dla naszego kraju gorliwych księży.

Miłość, chcąc dopomódz tym którzy żyją w ciemności pogaństwa, ściągnie jeszcze obfitsze błogosławieństwa Boskie na Kościół w kraju „Kto daje, temu będzie dane!“ Wyrzknął Boski Zbawiciel

Sam już widok, takiego odważnego i heroicznego zastępu, rozżarzy ogień świętego zapału w sercach ostygłych. Ten właśnie przykład naprowadzi wielu chłopców i młodzieńców na poważne myśli i łatwiej zdobędą się na ofiary, które świecki ksiądz w ojczyźnie swojej ponosić musi, skoro ujrzą owych młodych bohaterów, gotowych opuścić wszystko, co na ziemi ukochali: rodziców, przyjaciół, ojczyznę, oby na obczyźnie głosić słowo Boże obcym dzikim narodom których języka dopiero się uczyć muszą i za to bardzo często odbierają tylko nienawiść, katusze i śmierć okrutną. Słowa pouczają, przykłady porywają do naśladowania; heroiczne przykłady pobudzają do heroicznych, ale częściej jeszcze do zwyczajnych cnót chrześcijańskich.

Bez wątpienia nowy dom misyjny w Neuland stanie się źródłem błogosławieństw i nie pozostanie obojętnym żadnemu katolickiemu sercu. Jeżeli Kościół poświęca życie i krew swoich najlepszych i najszlachetniejszych dzieci i posyła ich na głoszenie Ewangelii poganom, jakże nie mamy i my szczerą modlitwą i chętnym datkiem przyczynić się do rozwinięcia domu misyjnego? Przecież tu chodzi o rzecz najważniejszą:

O chwałę Boską i zbawienie dusz.

2. Pod znakiem krzyża.*)

Niebiosa roś spuszczajcie z góry, Sprawiedliwego wylejcie chmury!“ czytamy w pieśniach Adwentowych. Tęsknota i pragnienie za Zbawcą świata przebija się nietylko w tonach organ, ale także w sercach wiernych chrześcijan.

Niedługo jednak trwa ten czas pokuty, żałoby i oczekiwania. Po czterech tygodniach cichną owe smętne i błagalne melodye, a ich miejsce zajmuje pieśń pełna radości i dziękczynienia dla nowonarodzonego Dzieciątka!

Lecz nietylko w czasie Adwentu, ale przez cały rok zasyła Kościół św. swoje błagalne i tęskne modły przed tron Najwyższego. „Niebiosa roś spuszczajcie z góry, Sprawiedliwego wylejcie chmury!“ — I tak błagać będzie bez ustanku, dopóki wszystkich ludzi dla Jezusa nie pozyska, aż wszyscy nie otworzą serc swoich na Jego przyjęcie. I gdyby nawet to pragnienie się spełniło, Kościół dalej modlić się będzie, aby Pan Jezus trwale w ich sercach pozostał i aby ich serca stały się coraz podobniejsze do Serca Zbawiciela.

„Niebiosa roś spuszczajcie z góry, Sprawiedliwego wylejcie chmury.“ To jest właśnie najtrafniejsze motto powołania katolickiego księdza, a szczególnie jest to wskazówka czynności, życia i dążności misjonarza.

*) Boie Narodzenie 1892 r.

Kochany czytelniku chodź ze mną na błogosławieństwo, drogą śniegiem okrytą i oświeconą promieniami księżyca, do ubogiej, lecz pięknie przyozdobionej kaplicy domu misyjnego w Neuland.

Już na godzinę lub dwie przed rozpoczęciem nabożeństwa, kaplica napęłnia się wiernymi, a ostatni z przybyłych muszą stanąć na korytarzu, bo wszyscy nie mogą się pomieścić. Z pierwszymi tonami organ, na których ojciec Szmidt tak śliczne pieśni wygrywa, wychodzi przed ołtarz jeden z księży, a braciszek i wychowañcy wtórują spiewem jego grze mistrzowskiej.

Ten śpiew wywiera na mnie dziwne wrażenie. Zdaje mi się, jak gdyby się w nim przebijała radość, poświęcenie, gotowość do wielkiego świętego dzieła rozkrzewienia wiary i wybawienia dusz, oraz owa bezinteresowna miłość, która przenika serca całego zgromadzenia, dla której, każdy gotów przelać krew swoją. Błogosławieństwo skończone; jeden z księży odmawia z domownikami następujące modlitwy:

V. Duchu ożywiający.

R. Wskrzesz Twoich synów!

V. Błogosławione Serca Jezusa i Maryi.

R. Łączcie z Wami wszystkie serca!

V. Święty Józefie i Anno.

R. Wspomóżcie uciemiężonych!

V. Święty Michale, Gabryelu i Rafaelu.

R. I św. Aniołowie strzeżcie Kościoła św.

V. Św. Piotrze i Pawle, Janie i Andrzeju.

R. I wszyscy Apostołowie, rozszerzajcie wiarę!

V. Św. Grzegorzu, Augustynie i Wincenty.

R. I wszyscy Święci proście za nas.

V. Przed światłem Słowa i Duchem łaski niechaj znikają ciemności grzechu i noc pogaństwa, i niechaj żyje Serce Jezusa.

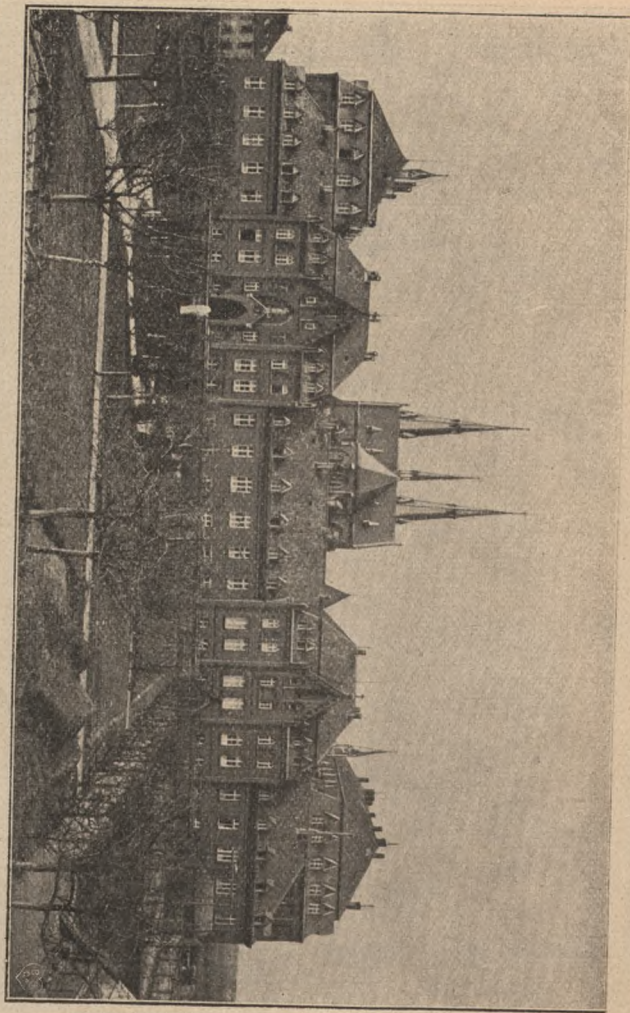
R. W sercach ludzkich!

Wszyscy się rozchodzą, i ja także wracam



Dom misyjny św. Michała w Steyl. (Otwarty dnia 8go września 1875. Strona zach.).

Dom misyjny św. Michała w Steyl. (Strona wschodnia.)



zamyślony, cichy, a w mem sercu brzmią ciągle te słowa.

„Przed światłem słowa i duchem łaski niechaj znikają ciemności grzechu i noc pogaństwa i niechaj żyje Serce Jezusa w sercach ludzkich!“ Wtem zbliża się stara kobieta, która razem ze mną opuściła kaplicę; i jej droga prowadzi także do miasta.

„Ach jak szczęśliwi jesteście teraz, o jak bogaci, jak Pan Bóg o nas pamięta! Czem my na tyle łask zasłużyli?“

Takie słowa radości nie poraz pierwszy słyszę w Neuland; opowiada mi dalej owa kobieta, że już o piątej godzinie z rana tłumy wiernych spieszą do kaplicy misyjnej, by uczestniczyć w modlitwie porannej i rozmyślaniu.

Czyż sami tylko mieszkańcy z Neuland mają przyczynę do radości? Dom misyjny w Steyl stał się błogosławieństwem na dalekie przestrzenie i na całe dyecezye! Ileż tysięcy na duchu podupadłych, powstało tu do nowego życia! Z jaką radością spieszą księża domu misyjnego w Steyl z pomocą do sąsiednich parafi! Wszystkich nas powinno cieszyć że Śląsk posiada także dom misyjny, i będzie to, dla nas potrzebą serca pracować nad rozwinięciem i rozkwitem tego domu.

„Dom misyjny Św. Krzyża.“

Tak się ów dom nazywa. I rzeczywiście jest to imię pełne znaczenia.

„Dzieła, które zbawienie dusz mają na celu, powiedzieliśmy wyżej, rodzą się zwykle w cierpieniu.“

Nowy dom misyjny powstał także pod znakiem krzyża.

Jako patronów wybrano mu Matkę Bolesną i św. Andrzeja, obu znajdujemy pod znakiem krzyża Maryę, Królową męczenników, w niekrwawem męczeństwie pod krzyżem Boskiego Syna, i św. Andrzeja z własnym krzyżem męczeńskim.

Pod ich opieką wyczekuje młody misjonarz — może też przyszły męczennik — godziny rozstania. A gdy wybije ta godzina i boleść rozłączenia serce jego ściska, o wtedy, wtedy dostaje w ostatniej chwili krzyż misyjny, i ten krzyż będzie nadal jego podporą, jego pociechą, jego chwałą. Ten krzyż obejmie z miłością i przycisnie do swego skrwawionego i zbolełego serca, gdy je ściśnie trwoga lub tęsknota; z tego krzyża czerpie nowe siły, nową odwagę, nową nadzieję. I gdzie tylko przyjdzie, wszędzie wystawi znak krzyża i będzie pracował dla zwycięstwa krzyża, aż siły swoje całkiem wyczerpie, aż zadania swego dokona*).

*) Czyż można przypuścić aby się ktoś znalazł, któryby chciał obniżyć heroiczną ofiarę misjonarza? Lecz do czego nie doprowadza niechęć i zazdrość ludzka, wszystkie najpobożniejsze czyny bliźniego w takim skażanym oku zdają się być jednym omamieniem, a nie tylko sami przewrotnie myślą, ale i drugich gwałtem pragnęliby przerobić. Dla tego też i bochaterskie czyny misjonarza, jego życie pełne ofiar i zaparcia samego siebie, podlega ich krytyce, musi przejść przez ich języki, jak żyto przez dziurawe sito.

Niektórzy twierdzą, że owi młodzi ludzie nie zdolni są dostatecznie rozeznaczyć ważność swego kroku i gdyby do innego powołania przejść chcieli, są skrupowani, nie mogą się cofnąć, a świeckimi księżmi zostać też nie mogą, gdyż im znowu przeszkadzają ograniczone studia.

Na ten zarzut odpowiem: Młodzi ludzie, jakich dom misyjny przyjmuje, są rozumni i dość dojrzały, aby zrozumieć, co się od nich żądać będzie. Bochaterskie, idealne postanowienia właśnie odpowiadają porywom młodzieży.

Nie są oni nieodwołalnie skrupowani.

Mogą a nawet muszą dom opuścić, jeżeli postanowili wybrać sobie inny zawód.

I nikt im drogi nie zastąpi. Ich dusza, opuściwszy dom misyjny przejęta będzie miłością i wdzięcznością za wszelkie dobrodziejstwa, doznane w towarzystwie, a zwłaszcza za wszczepianie religijnych zasad.

Jako dowód że młodzi ludzie, chcący zmienić swoje postanowienie mogą zostać świeckimi księżmi, przytaczamy wielką liczbę świeckich księży, którzy pracują w Ameryce, Niemczech, Austrii i Angli a przedtem byli wychowancami towarzystwa.

Tak często się modlił: Przed światłem słowa i duchem łaski niechaj znikają ciemności grzechu i noc pogaństwa, a niechaj żyje Serce Jezusa w sercach ludzkich!

Teraz co mógł, uczynił już w tym celu.

Nie chciałżebyś i ty kochany czytelniku, uczynić cośkolwiek z twej strony?

Wielu skarży się, i może ty sam już to słyszałeś, że zanadto jest proszących; ale wierząc mi, że właśnie ci, którzy się tak żalą, bardzo rzadko jakieś prośbie zadość uczynili. Gdy się zastanawiam nad przepychem i zbytkiem w sukniach, wyszukanych potrawach i napojach, w tych najrozmaitszych potrzebach życia, wtedy sobie powiadam, ileby to z łatwością można dobrego uczynić i mniejby się wtedy żalono na mnogość proszących, aniżeli na małą liczbę chętnie dających*).

Jest wielu takich, którzy się lubią pysznić i wynosić nad innych, bo ich stać na eleganckie ubranie, na wykwintne jadlo, na jeżdżenie pierwszą klasą, a jeśli koniecznie muszą mieć styczność z człowiekiem, który sobie na takie wybryki pozwolić nie może, wtedy czynią to z lekceważeniem.

Jakżeż małe i ciasne takie serce i jak ograniczony widnokrąg, gdzie mieści się takie wyobrażenie. Nie jest to nic wielkiego występować z pretensjami i wiele dla siebie potrzebować; w ograniczeniu pakazuje

Niektórzy krótko przed wyświęceniem wystąpili i z łatwością potrzebne złożyli egzamina, wszyscy są gorliwymi przyjaciółmi towarzystwa i popierają wszelkimi siłami dzieło misyjne i starają się choć w części wywdziżyć za ofiary, które kosztowały ich studia.

Bóg kieruje sercami ludźmi. Może niejeden z przeciwników nawróci się i stanie się prawdziwym przyjacielem domu misyjnego i nie przebaczy sobie nigdy, iż mógł być jego nieprzyjacielem.

*) Dopiero na porzątku teologicznych studiów składają klerycy towarzystwa Boskiego Słowa swoje śluby.

się mędrzec, szlachetne serce poznać można po szczodrości dla kraju, dla Boga i dla zbawienia bliźnich.

Nierzadko spotykamy ludzi, którzy pracują gorliwie nad własnym uświęceniem, brak im tylko cnoty, po której właśnie poznajemy serce prawdziwie katolickie: miłości dusz ludzkich „Co mnie to obchodzi?” Tak nie tylko myślą, ale także i mówią, gdy idzie o ratunek zbłąkanej duszy i gdzie właśnie chętnie pomódz powinni.

„Co nas poganie obchodzą? Koszula nam bliższa od surduta“. I takie rozumowania też już słyszałem.

Ale inaczej myśli misjonarz i Kościół święty czule się troszczący o rozkrzewienie wiary, a myśl Kościoła podziela i Boskie Dzieciątko, w żłobie złożone.

Spojrzyjmy na nie, czyż nie zdaje się wołać:

Przed światłem słowa i duchem łaski niechaj znikają ciemności grzechu i noc pogaństwa i niechaj żyje Serce Jezusa w sercach ludzkich!

I do tego drogi czytelniku potrzeba twej pomocy.

Chceszże ją odmówić Boskiemu Dzieciątku?

3. Poselstwo od Pogan^{*)}.

Nader miłą i pouczającą jest dla nas uroczystość Trzech Króli. Kościół Katolicki święci w dniu tym niejako rocznicę swego złożenia, a zarazem jest to szczególne święto misji. Już Prorocy zwiastowali jasno i dobitnie Zbawiciela jako Odkupiciela całego rodzaju ludzkiego i zapowiadali że królestwo Jego rozciągać się będzie na świat cały; będzie powszechne t. j. katolickie. —

Faryzeusze jednak i Pisma uczeni, oraz wielu Żydów miało nie tylko zbyt ziemskie pojęcie o zadaniu Messyasza, ale nadto w trwożliwej trosce o własne szczęście i pełni przeświadczenia, że należą do wybranego ludu, zapominali zbyt chętnie o tych prorocत्वach, widząc w Mesyaszu jedynie zbawiciela żydów.

„A cóż nas obchodzą poganie“ — zwykli byli mawiać.

I dzisiaj wśród ludu Bożego w nowym Testamencie odzywają się podobne głosy. — Jakże inaczej przemawiał Boski Zbawiciel, od pierwszej chwili swego na ziemi pobytu.

Biednym pasterzom zwiastowali Aniołowie radosną nowinę o narodzeniu Messyasza. Reszta jednak żydów nie miała pojęcia o tem doniosłym zdarzeniu — a ludy pogańskie już w ten czas raczył Bóg do siebie powołać.

^{*)} Pisane w uroczystość Św. Trzech Króli.

Trzej Mędrcy, Królami zwani, należeli do rozmaitych narodów.

Z wszelką pewnością przypuścić można, że jeszcze przed odebraniem objawienia, idąc za głosem rozumu uznawali oni Boga i starali się żyć wedle przykazań Boskich, jakie im dyktowało własne sumienie. I dla tego spotkał ich ten wielki zaszczyt, że jako przedstawiciele ludów pogańskich, mogli pierwsi powitać nowonarodzonego Messyasza.

Prorocтва izraelskie i jasnowidzenia pogańskiego Balaama sprawiły, iż z gorączkowem upragnieniem oczekiwali gwiazdy z plemienia Jakubowego. — Naraz śledząc odwieczny, regularny bieg planet, spostrzegli na niebie przecudną nieznana gwiazdę, o której legenda głosi, że widniał na niej obraz Przeczystej Panny z Boskiem Dzieciątkiem na ręku. —

Trzej Mędrcy ochoczo poszli za gwiazdą, nie bacząc na trudy i niebezpieczeństwa dalekiej podróży. W drodze spotkali się ze sobą i razem podążyli do wspólnego celu. — I znaleźli Dzieciątko i pokłon Mu oddali. — Podczas gdy w stajence za murami miasta spełniały się rzeczy tak wielkiej wagi, mieszkańcy Betleem o niczem nie wiedząc, załatwiali codzienne sprawy. Cały Izrael oddawał się handlowi i przeróżnym zajęciom, a nawet w Piśmie uczeni, jakkolwiek znający dobrze z Ksiąg świętych czas i okoliczności przyjścia na świat obiecanego Messyasza, jakkolwiek przejazd przez Jeruzalem trzech Mędrców ze wschodu słońca zwrócił ich uwagę — trwali jednak w gnuśnej obojętności, i oprócz ubogich pobożnych pasterzy — którzy swą stajenkę oddali Panu na schronienie, nikt w całym Izraelu nie poruszył się, aby Go powitać i ucześć.

Ale chociaż lud wybrany jeszcze się nie nawrócił, miłosierdzie Boże nie chciało jednak za tem czekać. aby na ludy pogańskie zlać dopiero zmiłowanie swoje. A jakże długo byłiby zniewoleni wyczekiwać!

Już w pierwszej chwili swego narodzenia na ziemi Boskie Dzieciątko chciało być Zbawicielem dla wszystkich, a królestwo Jego już wtedy zapowiadało się jako powszechne, czyli katolickie. Pismo św. nie wspomina wprawdzie, aby Pan Jezus był przekroczył granice ziemi żydowskiej. Jego bowiem zadaniem było spełnienie dzieła odkupienia; natomiast zadaniem Apostołów było głoszenie o dokonaniu tego dzieła, niesienie na świat cały łask, przez Zbawiciela nam wysłużonych. Uczniom i Apostołom swoim Pan Jezus najmniejsiej nie pozostawił wątpliwości, że żąda od nich, aby się rozeszli na świat cały, aby radosna nowina zbawienia i odkupienia dotarła bezzwłocznie do stron najodleglejszych. —

Apostołowie poddali się ochoczo temu rozkazowi. Nie odrzekli Panu: „Dozwól nam najprzód nawrócić zupełnie lud Izraelski, koszula bowiem bliższą jest ciała od sukni*); a nie, oni wiernie spełniając słowa Mistrza swego, rozeszli się na świat cały, nawracali wszystkie narody; a nasienie, przez nich rzucone, rozkrzewiło się bujnie i dotąd obfite wydaje plony: dobre bowiem czyny, dobre tylko w przyszłości rodzą owoce. Wiara chrześcijańska coraz się dalej krzewiła, i kto tylko miał szczerą i dobrą wolę, mógł się zbawić. — Gdyby Apostołowie nie w ten sposób postępowali, to Kościół Chrystusowy nie stałby się powszechnym, ale tylko narodowym.

I tak samo jak niegdyś Apostołowie, tak samo dzisiaj działa Kościół nasz św., taka jest zawsze jego zasada.

Czasy w których w małej tylko mierze odpowiadano tej zasadzie, i niewiele czyniono dla rozszerzenia wiary św., nie były najpomyślniejszymi dla Kościoła. Im mniej jaki naród bierze udziału w

*) „Koszula bliższą jest ciału od sukni“ — tak mówią niestety przeciwnicy nowego domu misyjnego w Neuland.

wielkiem, cały świat obejmującym zadaniu Kościoła w tem smutniejszym zaniedbaniu pozostają zwykle własne jego ideały i świętości, a duch w narodzie panujący jest oziębły i od Boga oddalony.

I Niemcy przechodziły taką epokę, ale był to czas wielkiej dla Kościoła oziębłości, a obawy przed protestantami; wówczas było zasadą unikać wszystkiego, co mogłoby „razić“ protestantów i mieć cechę wybitnie katolicką. W tym celu pociągano białem wapnem ściany kościołów, na których były przedstawione szczegóły z żywotów Świętych Pańskich; posągi Świętych usuwano ile możności, a ja sam posiadam z tych czasów katolicką książkę do nabożeństwa, ciekawy doprawdy zabytek, bo na samym wstępie autor zapewnia w napuszonych słowach, że nie znajdziemy tam ani litanii, ani różańca, i zowie takowe rażąciami i nieodpowiedniami dla ludzi wykształconych; — natomiast książka pełna jest czezych słów i deklamacyi. —

Skoro jednak odżyło wśród ogółu życie prawdziwie katolickie, poczęło się budzić równocześnie i zainteresowanie dla powszechnego, cały świat obejmującego zadania Kościoła. Wprawdzie i w własnym kraju dużo jeszcze pozostawało do czynienia. Nędza i potrzeby większe były niż obecnie, to jednak nie przeszkadzało, że ufając pomocy Bożej i ofiarności katolików, w duchu prawdziwej katolickiej miłości i gorliwości pamiętano o potrzebach całego świata, o czynnem popieraniu misyi zagranicznych. — Wy-mownie świadczą o tem stare z przed lat roczniki jedynej podówczas słazkiej gazety kościelnej. Właśnie podczas tak zwanego „Kulturkampfu“, gdy bieda katolików była największa, a stanowisko katolickich redaktorów najbardziej zagrożone, prawie w każdym numerze nie przedstawiali jednak zagrzewać i pobudzać do ofiarności dla celów misyjnych. — I słusznie bardzo mniemano, że w ten sposób nietylko nie

czyni się ujmy Kościołowi we własnym kraju, ale przeciwnie wspiera się jego rozwój. Już poprzednio zastanawialiśmy się nad tem obszernie, tu jeszcze nadmienimy, że ktokolwiek szczędzi grosza dla misyi zagranicznych, ten również nie zgół czynić nie będzie dla potrzeb swej dyecezyi. Kto twierdzi, że nie ma dla misyi, tego nie poruszy i bieda własnej parafii, a tylko osobiste jego potrzeby coraz wzrastać i pomnażać się będą. A tymczasem prawdziwie po katolicku myślący człowiek szczęśliwym czuć się będzie, mogąc się przyczynić do rozszerzenia wiary i do utwierdzenia królestwa Bożego, bądź to w własnym kraju, bądź wśród odległych pogan.

Tym duchem przejęty ówczesny redaktor wspomnianego wyżej dziennika kościelnego pisał w r. 1879 o domu misyjnym w Steyl i o pierwszych jego misjonarzach:

„Jakże wielkim i niezwykłym jest Kościół katolicki: podczas gdy na jednej półkuli usiłują mu nałożyć żelazne okowy, on na drugiej najpiękniejsze święci tryumfy. To też dziwić nas nie powinno, że w czasach obecnego prześladowania, dzieła misyjne w śród pogan na nowo poczynają się rozwijać.

„Wszelako jeśli przypatrzymy się wysłańcom, niosącym w odległe krainy światło wiary św., to ze wstydem przyznać jesteśmy zniwoleni, że wszystkie narody mają swoich pracowników na tej odległej leżącej winnicy Pańskiej, tylko Niemcy katolicy zbyt mało mają tamże przedstawicieli. Jednak nie brak im ani odwagi, ani zapału apostołskiego — to też tak małą liczbę misjonarzy można sobie tylko wytłomaczyć brakiem specjalnego zakładu, gdzieby się mogli kształcić do tak wzniosłego posłannictwa. Z tem większą radością powitaliśmy przed kilku laty pełne odwagi przedsięwzięcie założenia takiego domu.

„W r. 1875 8go września w święto Narodzenia Najśw. Panny Ks. Rektor Arnold Janssen powołał

do życia pierwszy dom misyjny pod wezwaniem św. Michała Archanioła w Steyl pod Venlo. Małe i ubogie były początki tego domu, i zapewne żaden z podróżnych, płynących codziennie porowcem po rzece Moas, nie domyślał się, że mały zielony domek, ukryty za drzewami, tulił w swych murach młodzieńców pełnych ofiarności, którzy tam się kształcili na przyszłych pogan misjonarzy.

„Trzy i pół roku upłynęło od otwarcia zakładu: skromny, zielono pomalowany, domek stoi dotąd, ale obok powstały dwie wspaniałe budowle, mieszczące już teraz przeszło 80 osób, a nadto robią przygotowania do budowy kościoła. Nietyle jednak godzin jest podziwu ten zewnętrzny wzrost i rozkwit, ale raczej owoce pracy, zdziałanej w tak krótkim przeciągu czasu. Właśnie skutkiem „Kulturkampf“ zdobyto odpowiednie siły nauczycielskie, co umożliwiło otwieranie coraz nowych klas gimnazjalnych i wyższych studiów teologicznych — a nawet dwaj pierwsi misjonarze mogli do Chin odjechać już 2. marca. — Do zgromadzenia przyłączyli się klerycy, mający być wkrótce wyswięconymi na kapłanów — to umożliwiło tak prędkie ich wysłanie.

Kto mógł przewidzieć ten świetny rozwój domu misyjnego, gdy przed trzema i pół laty powstawał wśród zupełnie niesprzyjających okoliczności i gdy go witano z niedowierzaniem. Obecnie dom misyjny liczy, oprócz owych dwóch do Chin wysłanych misjonarzy, ośmiu kapłanów, 48 wychowanków, przyjętych po większej części bezpłatnie, a po części za bardzo małą opłatą. Jeśli doliczymy jeszcze kosztu budowy, to zaiste zawołać nam trzeba: Tu jest widocznym cudowne działanie Opatrzności Bożej! A jednak ile pozostaje jeszcze do zdziałania! Corychlej należy wybudować nowe skrzydło i właściwy kościół. Misjonarze jednak nie ustają w pracy, pełni ufności, polegają na Boskiej opiece i śmiało

dążę do wytkniętego celu, by przyjmować w swych murach jaknajwięcej chłopców, którzy pragną się poświęcić nawracaniu pogan.

„Im goręcej pragniemy, aby wzrastała liczba misjonarzy, głoszących słowo Boże, tem radośniej witamy powstanie i pomyślny rozwój domu misyjnego w Steyl! Polecamy go czytelnikom naszym tem goręcej, że jest to zaledwie pierwszy początek fundacyi i że nie zdoła ona odpowiedzieć swemu zadaniu bez wytrwałego i coraz się pomnażającego poparcia całego kraju.“

Od czasu gdy te słowa były pisane upłynęło lat trzynaście. I jakież wspaniałe rozrost, jakże zdumiewające owoce przyniosła ówczesna słaba roślinka. Ten rozwój podziwialiśmy już w artykule, zatytułowanym „Steyl i Neuland.“ Nie przypuszczał tego zapewne przed trzynastu laty ówczesny redaktor gazety kościelnej, a tem mniej mógł się spodziewać, że za lat trzynaście Śląsk mieć będzie swój własny dom misyjny i że już wówczas istniał plan założenia tego domu.

Nie pozwól i ty, miły czytelniku, aby przeminęła oktawa pięknego święta misyjnego, tej pamiątki pierwszego powołania pogan do wiary św. i abyś jej nie miał uczcić wedle sił twoich jaką ofiarą na cele domu misyjnego na Śląsku.

4. „Co Bóg odemnie żąda, mieć musi.“*)

Okręt z Hamburga wypłynął na pełne morze, pomiędzy podróżnymi, którzy z pokładu rzucali wzrokiem na niknącą ziemię, było pięciu mężczyzn. Chwila rozstania wzruszyła ich do głębi. Jechali do Togo w Afryce, by tam w skwarnej podzwrotnikowym klimacie poświęcić życie nawracaniu biednych murzynów. Dla nich to rozstanie na wieki, oni po raz ostatni oglądają strony ojczyste. Bolesnie żegnać się z życiem, lecz stokroć bolesniej w kwiecie wieku żyć a życia się wyrzec. Wobec śmierci — krótki tylko ból rozłąki, niebawem zamilknie głos natury, a dla duszy nie ma przestrzeni i odległości. Lecz żyć i dobrowolnie na wieki żegnać się z ziemią ojczystą, na wieki żegnać rodziców, rodzeństwo przyjaciół, a potem odjechać daleko, daleko, gdzie morza i lądy bez końca dzielą od ukochanych, gdzie tęsknota rozłączenia trwa życie całe — to prawdziwie ból głęboki, rozdzierający serce; Takiego podjąć się zadania dla miłości Boga to, naprawdę bohaterska ofiara. Tam w domu, matka łzy roniąc, kręci się koło zatrudnień domowych, przysposabia podarki na gwiazdkę; jej dusza też przysposobiona na nadchodzącą uroczystość, pełna miłości Bożej. Chętnie oddaje Panu najlepsze dziecko, które powołał na swą służbę.

Lecz i ona jest matką i ugina się pod brze-

*) Pisane w początku stycznia 1893.

mieniem ofiary. Wprawdzie dla Boga bije jej serce, lecz bije także trwożnie za synem, który w tej samej chwili opuszcza Europę, by powierzyć się zdradzieckim bezbrzeżnym falom oceanu. Lecz choć serce bije trwożnie i boleśnie, nie żałuje ofiary i nie chce jej cofnąć. „Kto przyłożył rękę do pług i nazad się ogląda nie godzien jest wniknąć do królestwa niebieskiego“. Wyrzec się zdobytej już zasługi — nie, tego nie zrobi matka misjonarza; odwaga syna ją także ożywia, matka bohatera sama musi być bohaterką! I czyż nie ma do radości powodu? Czyż nie wielki to zaszczyt, że Pan wybrał jej dziecko do tak wzniosłego zadania?

Choćby życie mu zeszło wśród trudów i ofiar, choćby je podkopała febra krajów podzwrotnikowych, choćby je wydarli zdradziecy i okrutni dzicy — matka wie dobrze, że syn jej szczęśliwy, może najszczęśliwszy ze wszystkich, najlepszą obrąb częstkę, a w nagrodę czeka go najpiękniejsza korona.

Powołanie jednego dziecka jakże wielką jest rękojmą zbawienia drugich? Najprzód wzniosły przykład oddalonego brata reszta rodzeństwa przez całe życie będzie miała przed oczyma; dalej dla tego jednego i reszta dozna obfitej łaski Bożej. Jakąż to pociechą dla matki, która troska się o zbawienie swych dzieci!

Te myśli pobożnej matki znajdują oddźwięk w sercu ojca i rodzeństwa; dla tego też nikt nie uskarża się nad poniesioną stratą, gdyż wie dobrze, że strata ta jest największą wygraną, i że wstrzymywanie tego, kogo Bóg sobie obrał, najzgubniejszym jest dla tych, którzy mu przeszkadzają.

Pozwólcie działać łasce ojcze, matko, rodzeństwo i przyjaciele! Nie stawajcie pomiędzy Bogiem, a duszą wybranego i zadaniem jakie mu obmyślono! Ciężka kara spotyka zazwyczaj utrudniających spełnienie powołania, a żal gorzki ich nie minie. To jeszcze

kara najłagodniejsza jeśli Bóg zabierze wam przedwczesną śmiercią ukochaną osobę, znam i słyszałem o wielu podobnych wypadkach; lecz cięższa kara jeśli ten, któremu nie pozwoliliście iść za głosem powołania, czuje się nader nieszczęśliwym i życiem pełnem dotkliwych krzyżów pokutować musi za to, że łaskę odepchnął, lub jeszcze cięższa kara, jeśli zejdzie na bezdroża, które w zbyt jaskrawym są przeciwieństwie do dawniej zamierzonego, wzniesłego celu, lub gdy poznacie, że niektóre z dzieci waszych na złą i niebezpieczną jest drodze i gdy czujecie, że ofiara, której Bóg od was wymagał, byłaby przyniosła dla błędzącego tak wielkie łaski że nie byłoby wstanie oprzeć się tej pomocy z nieba.

A najcięższa kara — a i to zdarza się często, choć świat o tem nie wie — najcięższa kara to potępienie powołanego. — Lecz choćby do tego nie doszło, nigdy nie obejdzie się bez jednej, lub drugiej kary. — A jakże zdołasz Chryścianinie odpowiedzieć tam po śmierci za ten tak wielki ubytek w żniwach niebieskich, ubytek przez ciebie spowodowany, jak chcesz odpowiadać za zagładę tych niezliczonych dusz, które dziecko twoje miało wprowadzić do światłości wiecznej, albo za zagładę tych dusz, które byłyby zbawione w późniejszych pokoleniach przez rozmnażające się dobre ziarno, które dziecko twoje zasiać miało?

Zatem raz jeszcze: pozwól działać łasce i jeśli Bóg żąda od ciebie ofiary, a natura przed nią się wzdryga, powiedz sobie słowami pobożnej poetki, Luisy Hensel: „Co Bóg odemnie żąda, mieć musi“.

Pewien młodzieniec, który wiele pragnął zdobyć dla swej duszy, mawiał zawsze, gdy słabość natury chciała nad nim brać górę: „Co mogli inni i ja mogę“ i starał się działać, podług tych słów; szło mu łatwiej, niż się nawet spodziewał; i w ten sposób został świętym. Lecz ty mówisz może: Gdybyż to

nie był syn mój najlepszy! Ale najmiłsze me dziecko, które miało być podporą i pociechą mej starości. Za wiele Bóg żąda!

Na to muszę ci odpowiedzieć: „Nie chcesz chyba dać Bogu najgorsze twoje dziecko?“ Wszakżeż Bóg zasługuje, by mu najlepsze oddano! Lecz biedna matka myśli dalej: „Chętnie zezwolę na to, by został księdzem świeckim tu w kraju; pragnę żyć z nim razem i umrzeć w jego plebanii“.

Bardzo to ładnie i miło, każdej matce życzyć tej pociechy, życzyć ojczyźnie pasterza; wielką będzie nagrodą jego, jeśli będzie dobrym pasterzem, a i twój syn nim będzie, gdyż wychowałaś go rozumnie i bogobojnie; lecz działając tak nie poniosłaś żadnej ofiary i nie możesz żądać za ofiarę nagrody. W takim razie masz z syna twego więcej doczesnej pociechy, jak gdyby się był ożenił.

Bo gdy mężczyzna ma żonę i dzieci, wówczas nader prędko matka i ojciec schodzą na drugi plan tak w uczuciach syna, jako też i w zewnętrznych stosunkach.

Ale może powiesz: „zrzekam się tej nadzwyczajnej nagrody i nie jestem zobowiązany do nadzwyczajnej ofiary.“

Lecz gdyby wszyscy tak mówili, któżby wówczas miał spełnić rozkaz Pana: „Idźcie na cały świat i nauczajcie wszystkie narody“.

Rozważaliśmy już jakie kary zazwyczaj spotykają tych, którzy sprzeciwiają się powołaniu Bożemu.

Bóg może złamać opór, stawiany woli Jego — i dzieje się to częściej, aniżeli przypuszczamy. Śmiercią każe Bóg nieraz opornego. W Ewangelii pouczający przykład daje nam ów młodzieniec, który podług słów własnych, od młodości swej chował przykazania i zapytał Pana co ma czynić, by stać się doskonałym. Zbawiciel zażądał, by wyrzekł się skar-

ków doczesnych „a młodzieniec smutny odszedł, bo miał skarbów wiele.“

Jak często powtarza się to samo. Skarby doczesne ciągną nas od rozkoszy do rozkoszy, aż wreszcie pokolenie w snach rozkoszy wyrosłe, rozkoszami karmione, przytłumi drzemiące w sercach pierwiastki wzniosłych dążeń, wzgardzi istotą i duchem ofiary.

Z tego też powodu większa część duchownych i zakonników z niskiego i prostego jest stanu, a dzieła wielkie dla zbawienia wielu spoczywają po części na barkach ludzi maluczkich, nieznanych.

„Ubogim będzie opowiadana Ewangelia,“ mówi Zbawiciel, gdyż ludzie mający na myśli skarby doczesne niechętnie jej słuchają, jeszcze trudniej ich synom poświęcić się na służbę Bożą, a najmniej już czują ochoty do wzniosłego zawodu misjonarza.

A przecież właśnie człowiek, obdarzony zdolnościami i majątkiem, tyle miałby sposobności czynienia dobrze. Czyż nie jest obowiązkiem każdego wszystko oddać Bogu: honor, poważanie, mienie, wpływy i. t. d.?

To też odpowiedzialność tych właśnie cięższa, przewinienie większe, bo nie zużytkowali swych wpływów; bo przykład ich mógłby silniej pociągać, a oni talenta swe w ziemi zakopali.

Dziwny zaprawdę objaw: inteligencya i wyższe koła, pełne dumy stronią od prostego ludu, którego synowie stają się ich pasterzami, przewodnikami i pośrednikami zbawienia! —

A jakżeż często właśnie najniżsi i najbiedniejsi umieją być bohaterami, a synowie ich nieraz najwyższej dostępują nagrody: palmy wyznawców i męczenników.

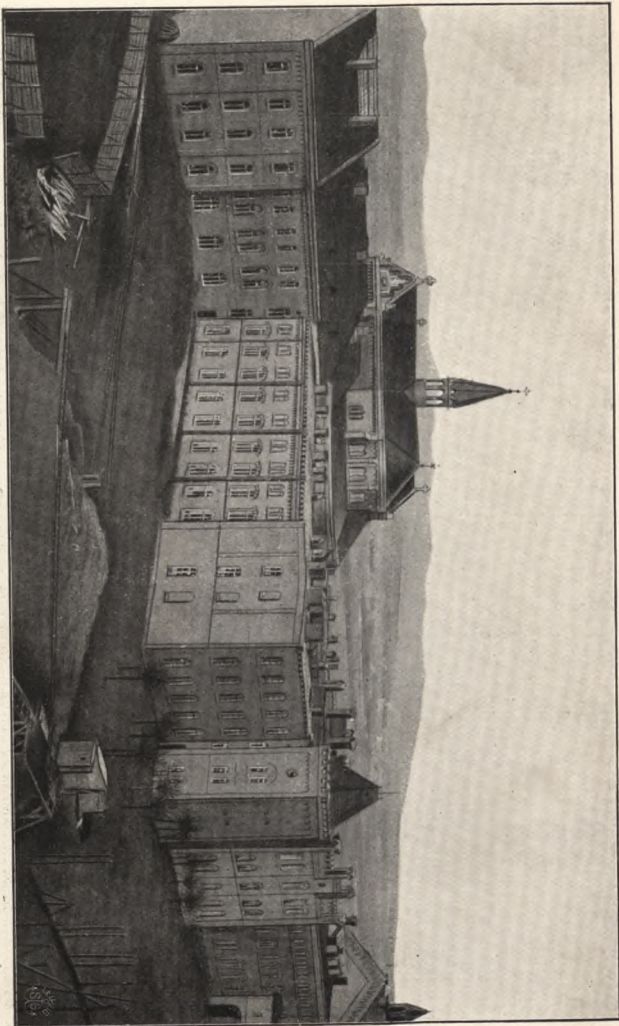
Może myślisz, że maluczkich zniewala trwała praca, że nie tak żywo odczuwają ból rozłąki, że dla nich ofiara mniej ciężka jak dla was.

Mylisz się. W walce życia wola i charakter nabierają hartu, lecz serce czuć nie przestaje, przeciwnie



Klasztor zakonnie misyonarek w Stęgl. (Otwarty w r. 1890.)

Dom misyjny św. Gabryela w Mödling, Austria. (Otwarty r. 1889)



szlachetnieje, pozbywa się samolubstwa prędzej niż wśród wygod i zbytków.

Dwa sposoby ma biedak, na uspokojenie serca, pracę i modlitwę.

Lecz czy i ty nie masz tych sposobów?

Ileż to jeszcze pozostaje ci ziemskich środków pociechy, gdybyś chciał tak wielką ponieść ofiarę. Masz być zapewniony, stanowisko, zewsząd okazują ci współczucie, naśladują twój przykład. Nie jesteś sam, rodzina, krewni, przyjaciele gotowi ci spieszyć z pomocą.

Jakżeż inne położenie biednego.

Niedawno widziałem rodziców krótko przed wyjazdem syna jedynaka, który jako misjonarz udawał się do Chin. Zaręczyć mogę, że nader ciężkiem było dla nich rozstanie, a jak bardzo serce musiało się ścisnąć w ostatniej godzinie pożegnania! Byli to biedni robotnicy z kopalni Hohencollern. Życie im płynęło spokojnie i cicho. Wszystko co dotąd oszczędzili, oddawali na wykształcenie syna. Nie mieli nic prócz tego syna, a i tego oddali, gdyż wołał go Bóg. I dokąd Bóg go wołał, tam go posłali: „Do widzenia w niebie“, to były ostatnie jego słowa*).

Niedaleko od nas żyje w zapomnieniu biedna nieznana wdowa. O ile się znajdzie robota, o ile starczą sterane siły, pierze ona i posługuje.

A gdy wieczorem wraca do ciemnej, wilgotnej izdebki, wtedy pewnie nieraz staje jej przed oczyma ukochane oblicze syna misjonarza, który tam daleko głosi słowo Boże; a może chory, może niebezpieczeństwo mu grozi. Niedawno biedna matka pochowała męża, a krótko potem przybył świeżo wyświęcony kapłan, syn jej, dziecko jedyne, by się pożegnać

*) Misionarz, o którym tu mowa nazywał się Ojciec Ryszard Henle, 1 go listop. 1897 padł w południowym Szantungu ofiarą fanatyzmu pogan.

na całe życie; przełożony przeznaczył go bowiem do misji w dalekich Indyach*).

Czyż z lekkim sercem żegnała syna ta kobieta?

Wie dobrze, że nie na długo starczą jej siły do uciążliwej pracy, lecz ufa Bogu i miłości chrześcijańskiej bliźnich; tak niewiele jej potrzeba, pragnienia jej tak skromne. Czyż nie ponosi taka matka (w chwili rozłączenia i potem co dzień, co godzinę) prawdziwie bohaterskiej ofiary. Dając syna, daje wszystko co posiada, lecz wie dobrze, że ofiara ta przynosi jej wielki zaszczyt; wszakżeż matką jest misjonarza! Tu na ziemi mało kto zważa na jej ofiarę, a te kilka słów z pewnością są pierwszym i jedynym uznaniem bohaterskiej chrześcianki. Nagroda prawdziwa czeka dopiero w niebie, niechże ją otrzyma w całej pełni.

Lecz czyż nie nazbyt wiele wymaga się od tej biednej matki? Wszakże Zbawiciel ulitował się nad biedną wdową z Naïm.

I cóż jej uczynił?

Oto, przywrócił do życia jej syna umarłego.

Tak samo i tej biednej matce, prędkiej czy później przywróci Zbawiciel syna do życia, do życia świątłości wiecznej, do niezmiennej młodości.

Bóg jest Bogiem, i płaci za ofiary jak tylko Bóg płacić może.

Córka znanej nam wdowej wstąpiła do ostrego, odległego klasztoru. Pisywała do matki i starała się pocieszyć ją, wskazując, jak krótkim jest życie w porównaniu do wieczności. „Gdybyśmy nawet mieli żyć jeszcze dwadzieścia lub trzydzieści lat, czemuż to jest w obec wieczności!”

A matka żyła zaledwie lat dziesięć!

Za mało zważamy na krótkość życia, a jednak ta myśl właśnie ułatwiłaby niejedną walkę i niejedną

*) I tamże życie zakończył. Nazywał się Walentyn Karto. Matka przeżyła go o lat kilka.

ofiary; ta myśl zwyciężyłaby naszą zepsutą naturę, przeszkadzającą działaniu łaski Boskiej.

Idźmy zatem wiernie za głosem łaski, a jeśli słabnąć będziemy, otrząśnijmy się i wołajmy z całą stanowczością:

„Co Bóg odemnie żąda, mieć musi.“

5. Myśli pobożne,

przy zwiedzaniu domu misyjnego Świętego Krzyża
w Neuland 1893.

I.

Przekroczywszy bramę miasta Nissy, roztacza się przed nami wspaniały widok, teraz w maju jeszcze, przyozdobiony świeżą zielenią. A wśród tego kielkowania i rozkwitu natury widnieje teraz inne kielkowanie, inny rozkwit. Wśród majowej zieleni postrzegamy powstający dom misyjny.

Na budowlu wre robota pod kierownictwem brata Alexandra, mularza, i pod zarządem budowniczego, ojca Beckerta.

Dalej w górze, w pobliżu parku i młynu prochowego, pracuje pilnie w nowo założonej cegielni, ceglarz holenderski z kilku robotnikami i przyspasabia wielkie zapasy cegły.

Droga ciągnąca się wzdłuż budowli (a należąca do domu misyjnego) ma być zamieniona na szosę, obecnie obsadzają ją drzewami owocowymi. Tą drogą dostajemy się na podwórze. Tu zarówno jak na polu wre życie. Przedewszystkiem uderza nas słup pary, wydobywający się z wysokiego żelaznego komina, wystającego ponad świeżo zbudowaną szosą. Słyszymy turkot maszyny parowej, a zbliżywszy się rozpoznajemy całkowitą fabrykę wyrobów ciesielskich. W pobliżu na prawo w małym domku widzimy trzy inne warsztaty: ślusarski, blachnierski i rymarski.

Dziesięciu braciszków zajmuje się w szopie w podwórzu stolarką, pracując nad budowlą i późniejszym

urządzeniem domu. Tu także powstał pod niezmordowaną ręką pocziwego brata Józefa pierwszy ołtarz, co prawda na prędkie i skromnie zbudowany.

Zwiedziwszy pobieżnie gałęź gospodarstwa i przemyślu, zwróćmy się teraz do domu samego, o ile chwilowo już stanął. Braciszek odźwierny, z wiecznie uśmiechniętą dobroliwie miną, nie ma tak łatwego zadania, jakby można przypuścić. To też choćbyś musiał może dzwonić dwa razy, lub czekać chwilę, nie niecierpliw się; ów braciszek jest bowiem zarazem krawcem, pod jego dozorem cała bielizna i ubrania, lecz niedość na tem jest on i zakrystyanem, ochmistrzem i. t. d. A niemała to rzecz mieć zawsze w każdym zakątku domu uszy otwarte, by na odgłos dzwonka, spieszyć do bramy, odkładać zaczęta pracę i otwierać każdemu z wiecznie uradowaną miną, jak gdyby co dopiero był nas zbudził z bezczynnego, i nudnego oczekiwania.

Pytamy o Ojca rektora, dr Webera i dowiadujemy się, że właśnie kończy lekcję z wychowancami.

Zjawia się niebawem wyniosła ascetyczna postać; poznać w nim można na pierwszy rzut oka uczzonego, lecz mimo to bije z oczu dziwna prostota.

Do niedawna wykladał na uniwersytecie filozofię, i dziś pewnie dziwno mu trochę uczyć początków gramatyki łacińskiej, które to zadanie przypadło mu w udziale, obok zarządu zakładu.

Rozmowę przerywa dzwonek, wzywający na błogosławieństwo, spieszymy do kaplicy, gdyż niebawem byłoby trudno o miejsce.

Wcale pokaźna już liczba mieszkańców tego maleńkiego zakładu: rozumiemy teraz czemu każdy zakątek, strych nawet musi być zużyty. Trzech kapłanów, piętnastu wychowanców i dwódziestu dwóch braciszków klęczy tam u stóp ołtarza pod opieką. przenajświętszej Opiekunki, Matki Boskiej Bolesnej.

Wycieczka nasza w maju roku 1888 zaprowadziła nas do starodawnej poważnej świątyni, do której od wieków tysiące przybywa pielgrzymów; do świątyni o sławnej, wspaniałej przeszłości; dziś w skromnej, prostej jesteśmy kapliczce, lecz i to także świątynia, i tu miejsce święte, ofiary i modlitwy; wówczas przeszłość wspaniałą mieliśmy przed oczyma, dziś patrzemy na młodą, rozkwitającą latorośl, która niejedną jeszcze będzie musiała przetrzymać burzę, lecz która także, miejmy nadzieję, doczeka się wspaniałej przyszłości.

Jeśli ciekawy i wzruszający jest widok starodawnej świątyni, gdzie ślady wieków świadczą o minionych pokoleniach, o ich pobożności, to niemniej zajmująco stać nad kolebką zakładu chrześcijańskiego i gonić myślą w jego przyszłość świetną. Lecz może zbyt różowe robimy sobie nadzieje, zbyt pewni jesteśmy zwycięstwa.

Wtedy w cudownem miejscu, w Mariaschein, widzieliśmy orszak młodzieńców wśród przewodników duchownych, należących do zgromadzenia Jezuitów, u stóp obrazu Matki Bolesnej, tu widzimy małą jeszcze garstkę młodzieńców u stóp tej samej Orędowniczki, Matki Bolesnej, a nad wykształceniem ich czuwają kaptani młodego jeszcze zakonu.

Tu członkowie zakładu codziennie odnawiają śluby, przyrzekają Bogu poświęcić się szerzeniu królestwa Bożego i zbawianiu dusz. Czyż te święte postanowienia i śluby nie ściągną błogosławieństwa Bożego na całe zgromadzenie i na owo miejsce święte, prawdziwy przybytek modlitwy i ofiary?

Nieraz patrzą ludzie z niedowierzaniem i bez zaufania na świeżo powstające zakłady nowego zakonu, i myślą w głębi duszy, że znowu powstało coś bardzo niepotrzebnego. Na takie uwagi ludzi o małej wierze to tylko możemy odpowiedzieć:

Kościół musi mieć rozmaite zgromadzenia i zakony, odpowiednio do rozmaitych potrzeb, skłonności i zdolności.

Nie trudno zrozumieć, czemu Pan Bóg żąda powstania nowych jeszcze zakonów.

Święty zapal młodych zgromadzeń jest żywym przykładem i napomnieniem dla dawniejszych, jakżeż często pobudza je do nowych czynów. Wierzmy przecież w świętych obcowanie! To obcowanie odczuwamy zbawiennie we wszystkich okolicznościach i stosunkach: z pracy jednych korzystają drudzy i biorą w niej udział!

Dalej nowe czasy stworzyły także nowe potrzeby, z którymi mianowicie muszą się liczyć zakony. Świętobliwy kapucyn w Austrii, pomimo iż sam należał do starego zakonu, założył nowe zgromadzenie, kongregację siostrzaną i nadał jej dewizę: „Potrzeba czasu, to wola Boża!”

Byłoby to zbyt cennym, gdyby ktoś niepowołany do tego chciał zakładać zakony. Liczne mamy oznaki, czy powołanie jest prawdziwe lub nie, przedewszystkiem powody założenia muszą być bez skazy. Jeśli w nich nie ma żadnych ziemskich przymieszek, jeśli celem ich jedynym jest Bóg. jeśli oznaki te połączone są z gotowością, zaniechania każdej chwili całego przedsięwzięcia, gdy Bóg tego zażąda, wtedy dają już pewną i dobrą rękojmią.

Ze te właśnie względy, łącznie z oznakami prawdziwego powołania, kierowały przedsięwzięciem wielbego i zasłużonego założyciela zgromadzenia, którego przedstawicieli widzimy przed sobą (zgromadzenie Słowa Bożego) o tem nikt chyba już nie wątpi, a najmniej ci, którzy kręcili głowami i byli przeciwni pierwszemu początkom.

Dr. Janssen, rozpoczął swe wielkie dzieło przed 18tu mniej więcej laty bez żadnej zgoda ziemskiej pomocy, co więcej chory i biedny. jedynie w Bogu pokładający ufność bezgraniczną; siłę czerpał w wielkiej miłości swej idei i swego posłannictwa. A gdy fale przeciwności groziły zagładą powstającemu dziełu, on wtedy całe godziny spędzał u stóp Najśw. Sakramentu, przed wizerunkiem Serca Jezusowego, we łzach i modlitwie — a gorące prośby jego zostały wysłuchane.

Przyznać trzeba, że rozwój nowego zakonu i zbawienna działalność jego w kraju i w odległych misjach jest prawdziwie cudowna i w tak krótkim czasie poprostu niebywała.

O cudach łaski świadczy najlepiej prawdziwy duch chrześcijański, panujący w zgromadzeniu.

Lecz i cuda widoczne dowodzą, iż palec Boży rządzi całym przedsięwzięciem. Opowiedzieć te cuda będzie późniejszym naszym zadaniem.

6. Myśli pobożne,

przy poświęcaniu domu misyjnego Świętego Krzyża
w Neuland 1893.

II.

Co też myśli Ojciec św. o tem dziele? Przyjęcie, jakiego doznał w Watykanie założyciel, O. Jansen, z pewnością odnosiło się nietylko do jego osoby, ale rozciągało się na dzieło, które stworzył. Ojciec św. uściślał generalnego przełożonego z gorącą miłością i wielkiem weselem.

Odznaczenie to, jak również okólniki Ojca Świętego, w których przemawia za misjami, z pewnością dobrą są wróżbą dla najmłodszego z podobnych zakładów. dla domu misyjnego pod wezwaniem Świętego Krzyża.

Wiadomo jak gorąco zaleca Ojciec św. zakładanie domów misyjnych, gdyż pragnie, abyśmy wszyscy przyczyniali się do tak wielkiego dzieła.

Jeśli masz wiele, daj wiele, jeśli masz mało, daj mało, lecz i ten drobny datek daj chętnie. Dom misyjny w Steyl powstał z wielkich darów, n. p. z legatów, od których odsetki niektórzy dawcy wymawiali sobie dożywotnie; a po części i z drobnych składek *) „Różnorodną bywa Boża czeladka“ — mówi przysłowie; przypomina nam ono odpowiedź pewnego bogacza, który powiedział przy pierwszej wieści o założeniu domu misyjnego: „Już tylu mamy biedaków, potrzebny nam też jeszcze biedny klasztor! Zupełnie

*) Dom misyjny w Steyl utrzymuje się także z wydawnictwa książek.

nam tu jesteście zbyt tacy, wróćcie z kądeście przyszl; okolica tu katolicka, nie potrzebujemy misjonarzy; ja ich nie wołałem, to też nic nie dam.“ Biedny bogacz! Czy wiesz jaki Ojciec Święty przepisuje ci obowiązek? Poznasz go z listu pasterskiego, wystosowanego do biskupów, a poświęconego jedynie misjom. Kilka za ledwie możemy tu podać wyjątków:

„Zaprawdę maluczcy łakną chleba, a nie ma, ktoby im go podał. Obfite żniwo, lecz robotników mało. „W takich warunkach, wielbni bracia, obowiązkiem waszego urzędu jest podniecać pobożność i ducha miłości chrześcijańskich narodów, by wspomagali modlitwą i jałmużną dzieło misji, pomagali rozkrzewianiu wiary. Dzieło wielkie i wielkie zeń korzyści, bogate owoce. Działając w tej intencji, szerzymy chwałę Imienia Pańskiego, królestwo Chrystusowe. Dobrodziejstwo nieskończone wyświadczamy tym, których z kału grzechu, z nocy śmierci wyprowadzamy na świetlistą drogę do wiecznego zbawienia, z życia pogańskiego i dzikich obyczajów do cywilizacji. Wszyscy, którzy biorą udział w tem dziele, zbierają obfite i pożyteczne owoce, gdyż zdobywają skarby dla duszy, przez zasługi swe stają się niejako wierzycielami Boga.

Was, wielbni bracia, których powołaniem jest dzielić troski nasze, napominamy, byście zgodnie, pilnie i bez ustanku, z wiarą w Boga nieustraszenie wspierali misje apostolskie. Chodzi o zbawienie dusz, za które Pan nasz dał życie, dla zbawienia których postanowił nas biskupów i kapłanów. Starajmy się zatem usilnie o to, by misje święte miały tę pomoc, której od pierwszych czasów nigdy im Kościół nie odmawiał: pracowników do głoszenia Ewangelii, oraz modlitwy i jałmużny ludzi pobożnych.

„Jeśli znacie ludzi starających się pilnie o chwałę Bożą, zdalnych i nadających się do pracy w misjach, nakłaniajcie ich serca, by przytłumili w sobie głos

ciała i natury, a po zbadaniu i poznaniu świętej woli Bożej, słuchali jedynie głosu Ducha św., który ich woła; niechaj spiesznie stawiają się na to wezwanie.

Kapłanom zostającym w kraju, zakonem męzkim i żeńskim, wszystkim wreszcie wiernym, pieczy waszej powierzonym, przypominajcie obowiązek modlitwy dla uproszenia pomocy niebios ku rozszerzeniu słowa Bożego. W modłach swych niechaj się udają do Boga Rodzicy, która rozprasza wszystkie błędy; do najczystszego Jej Oblubieńca, którego liczne misje obrały sobie za patrona i którego niedawno stolica apostolska nadała za patrona Kościołowi całemu; do Apostołów, oraz do całego zastępu tych, którzy pierwsi głosili na cały świat Ewangelią; wreszcie do wszystkich tych Świętych, którzy tej samej służąc sprawie, siły, krew i życie dla niej ponieśli w ofierze. Z gorącą modlitwą powinna iść w parze ofiarna jałmużna, aby mężom apostolskim przyspasabiać do ich rozległego duszpasterstwa pomocników, którzyby dzielili z nimi pracę i zasługi.

Wam wielbni bracia przypominam, że miłosierdzie nie jest stratą, lecz korzyścią, albowiem Bóg z nawiązką zapłaci tym, którzy dają biednym. Dla tego też cnotę ofiarności chrześcijańskiej nazywamy cnotą najbardziej przydatną. Jeśli według słów Chrystusa nie minie zapłata tego, który jednemu z maluczkich poda kubek wody, jakże obfita zapłata czeka tych, którzy wspierając misje modlitwą i jałmużną, odrazu spełniają dwa dzieła miłości, i jak mówią święci Ojcowie, stają się pomocnikami Boga w zbawianiu dusz.

Mamy, wielbni bracia, silną nadzieję, że wszyscy, którzy szczerzą się mianem katolików, rozważą sobie te nasze słowa, a waszem napomnieniem zachęceni, postarają się o wzrost tego dzieła, które nam tak bardzo leży na sercu, i nie dozwolą, by zabiegi tych, którzy pragną rozszerzyć królestwo księcia ciemności.

przewyższały ich zapal w pomnażaniu królestwa Chrystusowego. Tymczasem błagajmy o pomoc Bożą w tem tak świętem przedsięwzięciu narodów katolickich.“

Tak brzmi serdeczne i przemawiające do serca napomnienie Ojca Św. Czy zdołasz jeszcze odmówić pomocy domowi misyjnemu? Powyższe zapatrywanie Głowy Kościoła na sprawę misyi, czyż nie powinno obudzić i utwierdzić naszych nadziei co do wzrostu nowego domu w Neuland?

Chociaż, mimo niezwykłego rozkwitu, niejedna jeszcze ciemna chmura grozi stowarzyszeniu i słońce względów ludzkich niezawsze mu przyświeca, mimo to stowarzyszenie samo, zarówno jak jego przyjaciele ufają, że dobra sprawa przetrwa czas próby, dla dobra ziemi słaskiej i zbawienia odległych krain i ludów.

Błogosławieństwo skończone. Księża i braciszkanie odmawiają tę cudną ostatnią modlitwę, w której łączą się przez lądy i morza z misyonarzami zgromadzenia w Azyi, Ameryce i Afryce, oraz z członkami trzech domów misyjnych w Europie: „Przed światłem słowa i duchem łaski niechaj pierzcha ciemność grzechu i noc pogaństwa, a niechaj żyje Serce Jezusa w sercach Jego ludu.“

7. Służebnice Ducha Św.

Uczucie wdzięczności za odebrane dobrodziejstwa jest tak naturalnem i wrodzonym ludzkiemu sercu, że śmiało powiedzieć można, że przez samego Stwórcę zostało w nim zaszczipione. Dusze szlachetne, nawykłe postępować zawsze za głosem łaski, dążą nadto pilnie do spłacenia zaciągniętego długu wdzięczności, mają to sobie za święty obowiązek, a zarazem znajdują w tem słodkie zadowolenie.

Jakże często posłyszeć można jednego człowieka, mówiącego do drugiego ze łzą w oku i prawdziwym wzruszeniem: „Da Bóg, przyjdzie czas, że i ja będę mógł odwdziżyć się tobie.“ — I nie zapomina o tem, i przykro mu, dopóki tego nie może uczynić; a jeśli i dla owego dobroczyńcy nastanie chwila próby i cierpienia, z jakąż radością spieszy mu na pomoc. — Zaiste! życzył on przyjacielowi wszystkiego dobrego, a jednak pragnie, by mu wyświadczyć dobrodziejstwo jest tak wielkie — że ten smutek przyjaciela jest dla niego pewnem zaspokojeniem, daje mu sposobność do udowodnienia wdzięczności, do wyświadczenia równego, a może jeszcze większego dobrodziejstwa. A jeśli udało mu się pocieszyć przyjaciela i dopomódz mu, to szczęśliwszym czuje się jeszcze od niego, bo nie tylko spełnił czyn dobry, ale i za odebrane dobrodziejstwo się wypłacił.

Powodowani zatem takimi szlachetnymi uczuciami, powinniśmy i my dobrem za dobre się odpłacać, a ile możności większe jeszcze naszym dobroczyńcom świadczyć dobrodziejstwa.

Okolo 1200 lat temu, gdy w południowej i północnej Europie wiara chrześcijańska na dobre już rozkwitła, i wydawała całe zastępy wyznawców i męczenników, pomiędzy germańskimi szczepami panowało jeszcze pogaństwo i ciemna noc nieświadomości.

Wtedy pobożni misjonarze z wysp Wielkiej Brytanii, już oświeconej prawdziwą wiarą, przejęci litością na widok tych biednych dzikich pogan, pełni współczucia dla ich potomków -- podążyli do niegościnnnej, niecywilizowanej niemieckiej krainy.

Podążyli, aby wypełnić zlecenie Zbawiciela, który nakazał swemu Kościołowi ponieść na świat cały boską swą naukę i łaski, Krwią Jego Najśw. dla nas wyjednane.

Święte natchnienie, miłość Boga, troska o zbawienie dusz, spowodowała tych ludzi, że opuścili drogą Ojczyznę, i bez względu na czekające ich trudy i niedostatki, szli śmiało naprzód. chociaż wiedzieli, że narażają się na męczeństwo, ale zamiast się obawiać, przeciwnie, wzdychali do niego.

Palma męczeńska była ich nadzieją i dotąd jeszcze pozostała najgorętszym życzeniem idących w świat misjonarzy. Dla Boga ze wszystkich sił pracować, pozyskać Mu jaknajwięcej dusz, w tym celu poświęcić i zużyć wszystkie swe siły i zdolności, a w końcu Bogu życie oddać w ofierze — jest szczytem pragnień każdego misjonarza.

Ileż to zawdzięczamy tym pierwszym Bożym posłannikom! Cokolwiek dobrego dzieje się w kraju od przeszło lat tysiąca — to wszystko wyrosło z owego ziarna, które oni posiali i krwią swoją użyźnili.

Od tylu już wieków cieszą się Niemcy skarbem wiary św! A podczas, gdy inne narody wysyłają swych synów w odległe krainy, aby za odebrane dobrodziejstwa Bogu podziękować i odwdziżyć się niesieniem światła ludom pogańskim — Niemcy ani o tem nie pomyślą.

Przez długie lata tylko pojedyncze, drobne dary niektórych gorliwszych katolików wpływały do ogólnego skarbcza rozkrzewienia wiary.

Wreszcie obudziło się poczucie obowiązku, jaki nakłada dług wdzięczności. Coraz hojniej poczęły płynąć datki na cele misyjne, na dzieło św. Dzieciństwa — a w końcu założyciel domu misyjnego w Steyl dał początek wielkiemu swemu dziełu, dziełu prawdziwie opatrnościowemu, powstałemu w tej duszy prawdziwie wybranej, na fundamencie niezachwianej ufności w Boga. Inne zakłady misyjne w Niemczech później dopiero się rozwinęły.

Gdy przed laty pierwsi misjonarze stanęli na naszej ziemi, zobaczyli, że żniwo tu bardzo wielkie. a mało pracowników; — do swej ojczyzny udali się zatem z prośbą o pomoc, a zwłaszcza o przysłanie sióstr zakonnych, któreby się zajęły nauką i wychowaniem dziewcząt, oraz wielu dziełami chrześcijańskiego miłosierdzia.

Ich wezwanie nie pozostało daremne: niewiasty bowiem, chociaż fizycznie słabsze od mężczyzn, odznaczają się niemniejszym bohaterstwem i pogardą śmierci — podążyły też ochoczo na głos misjonarzy.

Widziałeś może, miły czytelniku, obrazek wyobrażający łódkę, a w niej stojące owe pobożne dziewice, w aureoli świętości, całe opromienione uczuciami miłości Bożej i świętego zapału.

Pochodziły one z wysokiego, po części królewskiego rodu, i radośnie wyrzekły się zaszczytów i przyjemności tego świata. Posłyszały wołanie Boże: „Posłuchaj córko moja, patrz i nakłoń ucha twego — zapomnij o ojczyźnie twojej i domu ojca twego“ — i poszły za tym głosem łaski. — Ale nie chciały i nie miały też zapomnieć o swej ojczyźnie, o domu ojca swego — lecz tem gorętsze codziennie zanosily zań modlitwy — zapomniały o tyle tylko, że miłość Boża, miłością rodzinną powstrzymać się nie dała.

Dla tego owe święte dziewice, wszystko porzuciwszy, udały się do dzikich pogańskich krain; dla tego pracowały nieustraszenie nad pomnożeniem chwały Bożej, nad zbawieniem dusz.

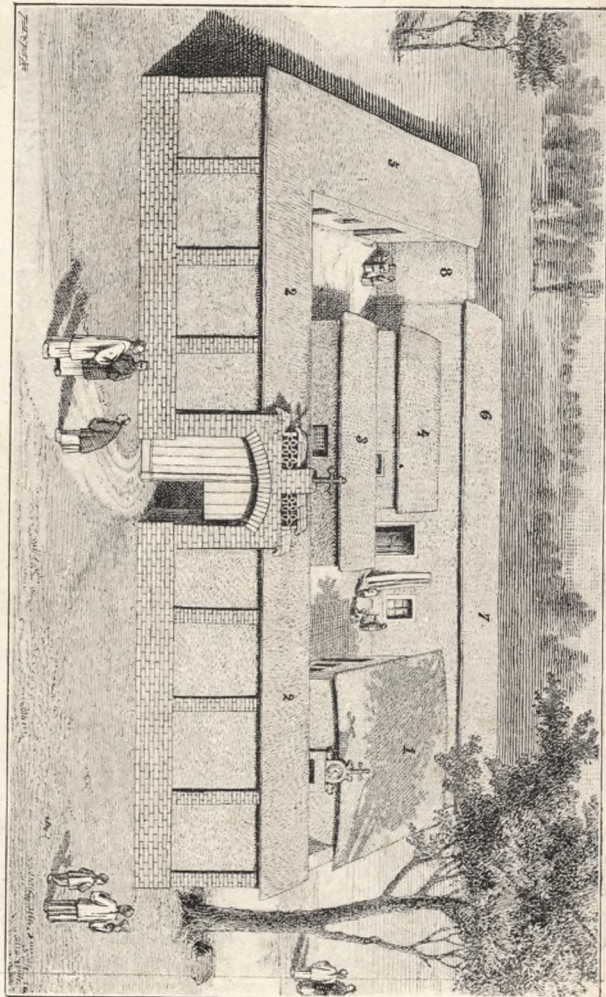
I dzisiejszym misyonarzom dopomagają pobożne chrześcijańskie dziewice; a ich pomoc bardzo jest potrzebną i obfitą w owoce.

Wiedząc o tem założyciel stowarzyszenia Boskiego Słowa, przełożony generalny Ks. Janssen, utworzył również stowarzyszenie sióstr zakonnych, pod nazwą: „Służebnice Ducha św.“ —



Biskup J. B. von Anzer, misyonarz południowych Chin.

Centralna stacja Pucy nad południowych kresach działalności misjonarzy po 80 tu latach.



8. Ojciec św. i dom misyjny św. Krzyża.

W czerwcu 1893 r. Przełożony generalny stowarzyszenia Boskiego Słowa miał posłuchanie u Ojca św. i wręczył mu album z fotografiami domów swego zakonu w Europie, zakładów misyjnych w Chinach, Argentynie i Togo, oraz memoriał, opisujący epokę założenia tych domów, ich działalność i owoce pracy. Ojciec św. z wielkim słuchał zajęciem, żywo się tem zajął i udzielił swego błogosławieństwa wszystkim członkom stowarzyszenia, oraz ich dobrodziejom.

Z Rzymu podążył Ojciec Generalny Janssen do domu misyjnego Św. Gabryela, a następnie do domu misyjnego Św. Krzyża pod Nissą na Śląsku. Tutaj doszło go pismo jego Eminencyi Kardynała Ledóchowskiego, który z wyraźnego nakazu Ojca św. pisał co następuje:

W. Ojciec Arnold Janssen Przełożony Generalny
Misjonarzy w Steyl.

Rzym, 13. Czerwca 1893 r.

Czeigodny Ojcze!

Ojciec św. raczył łaskawie przyjąć memoriał, doręczony przez ciebie na audyencyi 9go tego miesiąca, a opisujący działalność misyi, kolegów i innych dzieł stowarzyszenia, któremi tak godnie kierujesz, i wielkiem było jego zadowolenie z tego powodu. Jego Świętobliwość przekonała się z tegoż sprawozdania, że nie poprzestając na niesieniu światła Ewangelii ludom pogańskim, pracujecie również nad rozbudzeniem pobożności pośród własnych współbraci.

Idźcie na całe świat.

W ten sposób zdołaliście osiągnąć cel podwójnie piękny, to jest szerzenie prawdziwej wiary wśród krain odległych, nie pozostawiając równocześnie odłogiem tej części winnicy Pańskiej, bliżej położonej. Dla tego też Jego Świętobliwość pochwała dzieło, którym керujesz i polecił mi napisać, abyś tak jak dotąd i nadal całym sercem oddawał się jego zarządowi. Ojciec św. nie wątpi, że Przewielebni Księża Biskupi, Ciebie i Twoich synów zechcą darzyć swą ojcowską życzliwością, tem więcej, że pracujecie nad szerzeniem Królestwa Chrystusowego, nie tylko wśród pogan, ale tak samo i nad zbawieniem dusz, ich opiece powierzonych. Dla tego Jego Świętobliwość raczył udzielić najmiłościwiej swe apostołskie błogosławieństwo Tobie, Twoim kapłanom i braciom zakonnym, oraz wszystkim, którzy przez pisma, albo w jaki bądź sposób starają się wspierać wasze misye.

A ja błagam Pana, aby wszelkie dobro udzielić Ci raczył i pozostaje

Przewielebny Ojciec

Twoim najoddańszym sługą

M. Kardynał Ledóchowski, Prefekt,

J. Augustinus arcybiskup Larissy, Sekretarz.

To pismo, tak zaszczytne i pełne najwyższej zachęty, przejmie zapewne radością przyjaciół i dobroczyńców stowarzyszenia misyjnego w Steyl, i nowy wleje w nich zapach do szerzenia misyjnych pism i książek. Ale i dla samego Stowarzyszenia będzie powyższe pismo wielką zachętą do coraz gorliwszej i wytrwałej pracy nad rozwojem tego dzieła, bo niemałe czekają ich jeszcze trudności, coraz nowe i coraz większe ofiary.

9. Radosny dzień w domu misyjnym św. Krzyża.

Uroczystość św. Jadwigi, 15go Października 1893 r. została wyznaczoną na poświęcenie nowego domu misyjnego św. Krzyża w Neuland pod Nissą. Był to dzień radosny nie tylko dla mieszkańców przeprowadzających się do nowego domu, ale i dla przyjaciół i dobroczyńców, którzy się przyczynili do jego wzniesienia.

Nowy budynek oddalony jest o jakie siedem minut od podwórza klasztornego, w stronę miasta, a w przyszłości ma go otaczać ogród. Jest to południowe skrzydło projektowanego w przyszłości kwadratu zabudowań klasztornych, 45 Mtr. długie, a 16 Mtr. szerokie, składa się z suteryn, z trzech pięter i zakończone jest wysmukłą wieżyczką. W przyszłości skrzydło to ma być jeszcze przedłużone o 10 Mtr., a skrzydła poboczne będą o jedno piętro niższe. Na co stawiać tak olbrzymie budowle? pytają zafasrowani i zgryźliwi ludzie. — Odpowiadamy: zakład będzie miał własne gimnazjum, poprzeduje zatem sal odpowiednich, a ponieważ jego uczniami będą wyłącznie mieszkający w domu przyszli misjonarze, a profesorami Ojcowie zakonnici, dla jednych i drugich potrzeba trochę miejsca. W domu kształcą również dla przyszłych misji bractw zakonnych, i dla nich znowu należy mieć pomieszczenie i warsztaty, w których uczą się różnych rzemiosł. Misjonarzom. niosącym światło wiary do zamorskich dzikich krain

towarzyszy zawsze liczny zastęp braci zakonnych, którzy w odwiecznych lasach nie tylko budują stacye misyjne i starają się o utrzymanie Ojców, ale nadto uczą dzikie ludy rolnictwa i rzemiosł, a przykładem swoim wlewają im zamiłowanie do pracy i cywilizują w duchu prawdziwie chrześcijańskim. Wielkiem, różnorodnem jest zatem zadanie każdego domu misyjnego, aby je wypełnić, potrzeba mu koniecznie odpowiedniego pomieszczenia.

To też wznoszenie w Europie domów dla Stowarzyszenia, jak n. p. dom misyjny św. Krzyża, jest pierwszorzędnem zadaniem. Plan i budowę tego domu, tak pięknego w swej prostocie i jaknajdoskonalej postawionego, przeprowadził jeden z kapłanów stowarzyszenia, będący równocześnie doskonałym budowniczym, O. Beckert. Wszelkie prace rzemieślnicze, wchodzące w zakres budowy, dokonane zostały przez braci zakonnych. Wprawdzie cegłę trzeba było kupić, ale zaraz wzniesiono na własnym gruncie cegalnię, w której w przeciągu roku zdolano wypalić 500 tysięcy cegieł do dalszej budowy. Zakupiono drzewo w lesie, a na podwórzu folwarku gospodarczego urządzono piłę parową, dla rżnięcia go na belki i deski. Maszyna do heblowania i piły różnego gatunku, dwanaście warsztatów stolarskich, obsługiwanych przez braci, ułatwiły ze stosunkowo małym kosztem obrobienie drzewa.

Na tym jednym przykładzie udawadniamy z jak małym nakładem, tanio i praktycznie Towarzystwo wznosi wspaniałe budowle. Metr kwadratowy drzewa kosztuje n. p. w lesie 10 M., a belka obrobiona Mrk. 40. Ponieważ bracia sami obrobili to drzewo, jego cena wypadła im zatem o czwartą część taniej niż komubądź innemu Drzwi, okna itd. jeszcze stosunkowo mniej kosztowały, Ponieważ stowarzyszenie posiada i inne warsztaty, jak n. p. slusarski, blachnierski, garncarski, itd., każdy zatem grosz dany na budowę,

opłaca się conajmniej w czwórnasób. Wobec tego nasi czytelnicy nie pomówią zapewne Stowarzyszenia misyjnego o zbytnią śmiałość, że ukończywszy zaledwie pierwsze skrzydło, pełni ufności w Opatrzność Boską, myślą o dalszej budowie, i mają już w tym celu przygotowaną cegłę, oraz wszelkie potrzebne maszyny, warsztaty i narzędzia rzemieślnicze. Gdy w pierwszym roku wzniesiono już pierwszy, najpotrzebniejszy budynek, z dalszemi nie będą tak naglić, ale w skromniejszych rozmiarach wznosić je nadal z wolna, z pomocą Bożą i ludzi miłosiernych.

Z wielką radością i pełni wdzięczności dla Pana i licznych ziemskich dobrodziejów, przenieśli się mieszkańcy domu misyjnego św. Krzyża do nowo zbudowanego domu. O. Rektor Dr. Weber upoważniony przez Jego Eminencyę Księcia Kardynała, biskupa wrocławskiego, poświęcił dom i kaplicę o godzinie 6-ej z rana, a następnie odprawił w niej pierwszą Mszę św., i Pan Jezus w Najsw. Sakramencie zamieszkał w nowym ołtarzu, aby z niego rozciągać swe królestwo. O godzinie 9-ej rozpoczęło się uroczyste nabożeństwo, podczas którego ks. Rektor w następujących słowach przemówił do mieszkańców domu i do licznie zebranych wiernych:

Spraw o Boże, niech za przykładem św. Jadwigi i za jej przyczyną nauczymy się gardzić rozkoszami świata i w objęciach krzyża Twego zwyciężać wszystko, co się sprzeciwia naszemu uświętobliwieniu.

Dzień dzisiejszy, mili Chrześcijanie, jest dla katolickiego Szlązka niezwykle uroczysty, jako 650-ia letnia rocznica chwalebnego zgonu św. Jadwigi, wielkiej Księżnej i opiekunki tego kraju, który gorąco za życia umiłowała. Dzień ten ma jeszcze szczególne znaczenie dla mieszkańców i przyjaciół tego domu, bo dzisiaj zakład misyjny, jedyny w kraju św. Jadwigi, mógł opuścić dotychczasowe, zupełnie niewystarczające schronienie i zamieszkać dom, odpowiednio do celu swego urządzony. Gdy zatem szukałem tematu do mego dzisiejszego przemówienia, myśl moja zwróciła się sama przez się na

św. Jadwigę i na ten nasz dom misyjny — bo też istotnie św. Jadwiga jest dla tego domu pod tyłu względami tak doskonałym wzorem i przykładem, a ufam, że będzie mu również wierną i gorliwą orędowniczką przed tronem Boga. Z pomiędzy licznych cnót św. Jadwigi wybieram dwie, dla nas najwięcej mające znaczenia, t. j. miłość dusz ludzkich i zdumiewającą miłość Krzyża — i o obydwóch pragnę powiedzieć słów kilka. Oby raczył nam w tem pobłogosławić Bóg Duch św. za przyczyną św. Jadwigi i Sw. naszych Patronów. —

Gdy pod koniec 12-tego wieku św. Jadwiga, jako małżonka ks. Henryka, przybyła na Śląsk, Chrześcijaństwo było tu już znanem od kilku wieków — ale u wielu wiara nie zapuściła jeszcze silnych korzeni i obyczaje dużo pozostawiały do życzenia. Bolało nad tem pobożne serce młodej pani tej krainy, i od razu zapragnęła stać się prawdziwą matką swych poddanych, wszystkie wyteżyła siły, aby ożywić i utwierdzić ich wiarę, i stała się prawdziwie misjonarzem i apostołem swego ludu. Pracę rozpoczęła od swego księżcego małżonka, który rycerskiemu zupełnie oddany rzemiosłu, mało się troszczył o zasady wiary św. — a przy pomocy Bożej i za wpływem świętobliwej małżonki stał się cnotliwym, pobożnym księżciem. Ale na tem nie poprzestając, św. Jadwiga myślała o podniesieniu religijnego poziomu w całym Śląsku: w tem celu założyła klasztory w Trzebnicy, Leubus i Heinrichau, a popierała już istniejące w Wrocławiu, w Kamenc i inne. A wszystkie te klasztory stały się ogniskami z kąd się rozchodziła oświata chrześcijańska, środowiskiem katolickiego życia i działania. Ale i to jeszcze nie wystarczało św. Jadwidze: „Miłość Chrystusowa przyniata mię,” mówi o sobie św. Paweł, a słowa te sprawdziły się i na naszej Świętej. Miłość Chrystusowa przyciskała ją do osobistego działania, do pozyskiwania Bogu dusz. To też nie tylko własnoręcznie służyła całym zastępom ubogich, ale sama ich nauczała prawd wiary św.; opowiadając, że pewną biedną ograniczoną kobietę z niezrównaną cierpliwością całymi tygodniami uczyła odmawiać Ojciec nasz. Ogień miłości Bożej, gorejący w szlachetnem jej sercu, wywoływał jak to się zwykle dzieje — ową gorącą miłość bliźniego, a zwłaszcza jej cel najszlachetniejszy i najwyższy, miłość dusz, gorliwość o ich zbawienie. Miłość dusz krótkie słowa, ale jakże pełne głębokiego znaczenia. Miłość dusz to cnota miłości Bożej ze wszystkich najwznioślejsza, a jej ojczyzna nie jest z tego świata. Wprost z nieba ona pochodzi, Bóg sam przyniósł ją ludziom, lgnącym do wszystkiego co ziemskie, znikome. Bo i cóż ściągnęło na ziemię Mądrość przedwieczną? Kto sprawił, że Bóg wszechmogący stał się małym dzieciątkiem

i drżał od zimna wśród nocy zimowej w twardym położony żłobie? — Miłość dusz. Dla czego przez całe swe życie Boski Zbawiciel cierpiał i działał? — Z miłości ku duszom. A gdy Bóg-człowiek do krzyża okrutnie przybity, skłonił swą najświętszą, cierniem ukoronowaną, głowę i zawołał: „Pragnę” — czegoż On wtedy pragnął? Oto według tłumaczenia Ojców Kościoła zbawienia dusz; miłość dusz wywołała zatem to słowo, a gdy je wyrzekł, dopiero wówczas zawołał: „Dokonał się” i skonał. Słowo „Pragnę” jest zatem jakoby ostatnim wyrazem testamentu Jezusa Chrystusa, którym objawia ostatnią wolę uczniom swoim i tym wszystkim, którzy Go miłują, i okazuje jak dalece był trawiony pragnieniem zbawienia dusz ludzkich. Kto też Pana prawdziwie miłuje, kto chce ugasić pragnienie Jego, ten powinien koniecznie pracować nad zbawieniem dusz. I patrzcie jaki odźwięk znalazło to zlecenie Pana Jezusa w sercach miłujących Go uczniów: Miłość Chrystusowa przyniata mię, woła Paweł św. i bez względu na groźne niebezpieczeństwa i prześladowanie, przebiega odległe krainy, byle tylko Panu dusze pozyskać. A ogień tego pragnienia jest tak silny, że aż wywołuje ów zdumiewający okrzyk: „Chciałbym gorzeć zdala od Chrystusa, gdybym tym sposobem mógł zbawić braci moich.” — I za przykładem św. Pawła i innych Apostołów, wielu z Chrześcijań nosiło Panu w ofiarze samych siebie i wszystko, co posiadali, byle Mu tylko pozyskać jaknajwięcej dusz. I zaprawdę, mili Bracia, cóż może być piękniejszego, cóż więcej zasługującego, jak pracować nad zbawieniem dusz, brać udział w zadaniu, w trudach Boga-człowieka, troszczyć się, działać dla najświętszych dla najdroższych pragnień Pana Jezusa? Wszakże do Apostołów swoich powiedział Zbawiciel: „Siedzieć będziecie na dwunastu stolicach i sędzić dwanaście pokoleń Izraelskich” to jest przywilej opowiadaczy Ewangelii św., szerzycieli wiary, pracujących nad zbawieniem dusz. A dalej powiedział: „Kto przyjmuje proroka w imię proroka (t. j. jako sługę Bożego) zapłatę proroka weźmie (Mat. X, 41). Kto zatem wysłańców Bożych, misjonarzy, wspiera w ich wzniosłem zadaniu ratowania dusz, ten podług słów samego Pana Jezusa uczestniczy w ich zasługach i w nagrodzie, jaka ich czeka. Dla tego też weselmy się my wszyscy, najmilsi moi bracia i wychowañcy, że Pan w miłosierdziu swoim udzielił nam łaskę niczem nie zasłużoną powołania do wyłącznej i bezpośredniej pracy nad szerzeniem wiary św. nad zbawieniem dusz, bo takie jest zadanie tego domu. Ale niemniej weselić się mogą i nasi łaskawi dobroczyńcy i przyjaciele, którzy jak to z wdzięcznością wyznają wspierali nas modlitwą, słowem i czynem. Wezmą bowiem udział w zapłacie proroka, to jest dzielić będą z nami wieczną nagrodę za piękne owoce pracy naszej w odległych pogańskich krainach.

Ale Pan Bóg wlewając w nasze serca cnotę miłości dusz, nie daje takowej na próżno i nie samą tylko, ale zarazem darzy nas i tem wszystkim, co może dopomóc do jej rozkwitu i działania na zewnątrz. Miłość ku duszom u Zbawiciela świata dosięgła swego szczytu na drzewie krzyża; tam bowiem świat został odkupiony, z tamąd spływa na nas łaska i siła do pracy nad zbawieniem dusz. Dla tego prawdziwa gorąca miłość dusz, gorliwa praca nad ich zbawieniem rozkwita jedynie w cieniu krzyża Chrystusowego. Życie św. Jadwigi oczywistym jest tego dowodem. Sam już obraz tego znaku zbawienia przejmował ją czcią i miłością. Jeśli dostrzegła jakibądź przedmiot naznaczony krzyżem św., porzucony na ziemię, klękała zaraz i z najwyższem uszanowaniem całowała go i podnosiła, aby przypadkiem nie został znieważony. Nasza święta czciła nie tylko wizerunek krzyża św., ale w sercu miała go głęboko wryty. Kto wypowie jej surowe umartwienia i czyny pokutne, a z jakim poddaniem znosiła srogie cierpienia, przez ludzi jej zgotowane! Ale właśnie wśród cierpień, zaparcia się samych siebie, w sercu pełnem ducha ofiary i wyrzeczenia się, tam dopiero kielkuje i zakorzenia się prawdziwa miłość dusz. I w tym względzie nasz dom misyjny ma niejako prawo udawania się do św. Jadwigi, a ta wielka Święta, śmiem powiedzieć, powinna ze szczególnem upodobaniem na nasz dom spoglądać i nim się opiekować. Dom ten przecież poświęcony pod wezwaniem Krzyża św., a jego patronami Matka Bolesna i św. Andrzej Apostoł, który do krzyża przybity jeszcze głosił Ewangelią i do ostatniej chwili pracował nad pozyskaniem Panu dusz ludzkich. Dom ten stoi zatem w cieniu krzyża, a pomimo, że krótko dopiero istnieje, miał już sposobność ćwiczyć się w dźwiganiu krzyża. I domowi całemu i pojedynczym jego członkom dał już Pan Bóg tę łaskę. Bo każdy, ktokolwiek chce uczestniczyć w pracy Zbawiciela nad zbawieniem dusz, ten nie powinien się wymawiać od najskuteczniejszego środka, wiodącego do tego celu, ale powinien być miłośnikiem krzyża i chętnie przyjmować go na swe barki. Dla tego też, mili bracia i wychowawcy, nie drżycie na widok krzyża, w jakiejbądź postaci wam się ukaże. Ufajcie, i ja ufam, że wielu z pośród was otrzyma kiedyś i zatknie na piersi krzyż misyonarza — ale jeśli chcecie zostać dzielnymi misyonarzami, powinniście też dzielnie wytwać w noszeniu krzyża. Krzyż jest wprawdzie ciężki, przytłacza i uciska plecy dźwigających go. Jeśli i na waszych barkach spocznie kiedy krzyż taki i pod jego brzemieniem wyprężą się wszystkie wasze żyły, i zdawać wam się będzie, że już go dalej nie uniesiecie, że zrzucić trzeba ten krzyż, tak bardzo ciężki, o wtedy trwajcie na modlitwie,

umacniajcie ufność waszą względem tego, który powiedział: „Ufajcie, ja zwyciężyłem świat.“ Pan Jesus, który pierwszy krzyż nosił, umocni słabość twoją, wszakże woła na ciebie: „Jeśli chcesz być uczniem moim, weź krzyż twój na każdy dzień, a idź za mną.“ Najlepszymi, najukochańszymi uczniami Zbawiciela są chrześcijanie, którzy z Nim współpracują nad dziełem, Sercu Jego tak drogiem, to jest nad zbawieniem dusz, i dla tego ich właśnie darzy najcięższymi krzyżami, a z tych krzyży wykwiata bujnie w ich sercach duch ofiarności i gorliwość o zbawienie dusz ludzkich.

Oby Bóg, najmilsi moi bracia, za potężną przyczyną św. Jadwigi raczył zlać obfitość swych błogosławieństw na dom ten, zupełnie Jemu oddany, a to błogosławieństwo niech również spłynie na przyjaciół i dobroczyńców zakładu. W cieniu krzyża powstał ten dom nowy, dla uczczenia krzyża św. został założony. Oby Zbawiciel, umierający na drzewie krzyża, z rany Najśw. swego Serca raczył przelać źródło łask do serc tych wszystkich, dom ten zamieszkujących, którzy tu przypasabiają się do swego trudnego, ale i wzniosłego posłannictwa, niechaj ich serca napełni duchem poświęcenia, miłości krzyża, gorliwości o zbawienie dusz. A wtedy ufajcie będziemy mogli, że na tej Śląskiej ziemi, na której św. Jadwiga tak potężnie umocniła i ożywiła, wiarę św. rozpalą się nowe jej pochodnie, swem światłem rozproszą ciemności odległych krain pogańskich i działać będą na chwałę Boga, dla zbawienia dusz i dla sławy ziemi Śląskiej.“ Amen!

Po Mszy św. wystawiono Najśw. Sakrament a odśpiewanie Tedeum zakończyło piękną uroczystość. W dniu tym zgłosiło się 19 nowych wychowawców, ogólna ich liczba dochodziła zatem do trzydziestu. Wcale to ładnie jak na początek, tem więcej, że co kwartał nowi przybywają, i że zakład otworzył dotychczas tylko cztery klasy gimnazjalne.

Poświęcenie zakładu, wyznaczone dziwnym zbiegiem okoliczności, na dzień św. Jadwigi, wydaje się zupełnie opatrnościowem i wiele daje do myślenia. Św. Jadwiga księżniczka Śląska i jego patronka, za życia swego pracowała zwłaszcza nad fundacyami coraz nowych domów dla Cystersów, którzy przodków naszych nie tylko w wierze utwierdzali, ale nadto szerzyli wśród nich oświatę. Uczyli ich nie tylko modlitwy, ale i pracy, jako to gospodarstwa, rzemiosł,

sztuk pięknych. I obecni misjonarze naszego słazkiego domu zamierzają działać w tymże samym duchu pośród krain pogańskich. Co nam Bóg raczył udzielić przez św. Jadwigę i założone przez nią klasztory, to samo teraz pragnie dawać pogańskim krainom za pośrednictwem słazkich katolików i misjonarzy, z pośród nich powstałych. Dawniej królowie i książęta własnym kosztem wznosili klasztory, którym tyle zawdzięczamy dzisiaj Pan Bóg powołuje; cały lud katolicki do uczestnictwa w dziele rozkrzewienia wiary, do tego dzieła po wszystkie wieki najważniejszego, dla którego zesłał z nieba jednorodzonego swego Syna. Pan Bóg nie daje się nikomu przewyższyć w wspaniałomyślności, i ofiary poniesione dla celu tak uzniosłego, nagrodzi nietylko w niebie, ale stokrotnie już tu na ziemi, dobrami ziemskimi.

10. Czemu nie wspomnieliśmy o świeckich uroczystościach przy poświęceniu nowego domu misyjnego *)

W opisie uroczystości poświęcenia domu misyjnego św. Krzyża nic nie wspomniałem o uczcie wspańialej, o toastach, wznoszonych na cześć wielkich tego świata.

Ale z tej prostej przyczyny wspomnieć o tem nie mogłem, że nic podobnego tam nie było.

Uroczystość miała charakter ściśle i wyłącznie kościelny. Wprawdzie ludzie niechętni i źle poinformowani, widząc że misjonarze dom stawiają, przyszli do fałszywego wniosku, że są zapewne bardzo bogaci. Ale mylą się bardzo. Misjonarze są ubodzy, kochają ubóstwo i przestrzegają je bardzo ściśle — przyzna to każdy, ktokolwiek zna ich choć trochę. Zawiadują sumiennie powierzonymi jałmużnami i dążą zawsze do tego, aby jaknajmniejszymi środkami zdziałać jak najwięcej na polu swego wzniosłego posłannictwa — i to mając na celu, obywają się częstokroć bez przedmiotów, które ludziom światowym wydają się nieodzownie potrzebne. —

Ponieważ nie było przy poświęceniu żadnej świeckiej uroczystości, Ojcowie nie rozsyłali też osobnych zaproszeń, i oprócz mieszkańców domu mało kto wiedział o uroczystości; przemigła cicho i bez rozgłosu, ale jak ufam, w niebie radowano się z niej i błogosławiono domowi.

*) W Październiku 1893 r.

Owa 650 letnia rocznica śmierci św. Jadwigi była zaista pięknym dniem. Przed 650 laty wielka ta Święta, pałająca gorliwością o zbawienie dusz, utwierdzała pośród swych poddanych zasady wiary chrześcijańskiej, przyćmione wojennymi klęskami i zamieszkami, a teraz Słazk na podziękowanie Bogu za tę wielką łaskę, stwarza dom, w którym kształcić się będą, przyszli misjonarze, i aż do dalekich krain pogańskich poniosą światło prawdziwej wiary.

Któryż Słazak nie chciałby w tem uczestniczyć? Jakież serce, prawdziwie katolickie, tego nie zrozumie? Kto nie odczuje wdzięczności za dar wiary św., udzielony przez Boga jego przodkom, a zatem i jemu samemu, i nie chciałby przyczynić się do tego, aby i biedni poganie mogli wreszcie dzielić jego szczęście?

W wigilią uroczystości poświęcenia klasztoru przyjmowano zgłaszających się nowych wychowalców. Niektórzy rodzice, albo opiekunowie sądzą niestety, że wystarcza przyprowadzić synów lub wychowalców, i że już zaraz można ich zostawić w zakładzie. Ale tak nie jest: choćby nawet przybywali z bardzo daleka, tak prędko nie można sprawy załatwić: przy przyjmowaniu wychowalców, albo postulantów na braci zakonnych, Ojcowie obowiązani są zachować pewne przepisane formalności. Proszącemu o przyjęcie przedkładają obowiązki przyszłego życia zakonnego; poznawszy takowe powinien dopiero wypróbować swe powołanie, a następnie podać piśmienne prośbę o przyjęcie, dołączając do niej wymagane świadectwa. Dobrze jest zatem jeśli kto może przedstawić się osobiście, ale ostateczną decyzją o swem przyjęciu odbierze dopiero pismiennie. —

Po pierwszym zatem podaniu, uczynionem ustnie, lub pismiennie, zgłaszający się otrzymuje prospekt, podług których winien doświadczyć samego siebie

— oraz formularze do wypełnienia i odesłania wraz z żądanymi świadectwami.

Dom misyjny łatwy jest do odnalezienia; wychodząc z Nissy bramą cłową, widać go na prawo o jakie dziesięć minut drogi, w szczerem położony polu.

11. O jałmużnie pracy dla Pana Jezusa.

Mówiąc o pracy i chętnem niesieniu jałmużny dla Pana Jezusa, nie mamy jedynie na myśli domu misyjnego św. Krzyża.

W Kościele św. są przeliczne dobre dzieła, powstałe z natchnienia Ducha św., a wszystkie godne poparcia. Do różnych spraw dobrych powołuje też Pan Bóg różnych ludzi, którzy im się oddają z miłości ku Bogu. Ale im cel doskonalszy, tem ich zasługa większą będzie.

To też niechaj nikt, prawdziwie po katolicku myślący, nie bierze nam za złe, że w tej książce wzięliśmy sobie za zadanie popierać zwłaszcza dzieło rozkrzewienia wiary, będące jakoby dalszym ciągiem działania samegoż Zbawiciela i Jego św. Apostolów

Gdy dom misyjny św. Krzyża miał zostać do życia powołany, błogą cieszyliśmy się nadzieją, że to dzieło tak piękne, którego zadaniem jest szerzenie Królestwa Bożego, zdobędzie sobie od razu serca prawdziwie katolickie i nakłoni je do niesienia pomocy według sił i możliwości.

Ale niebawem doswiadczylismy, że nasze nadzieje zawiodły nas, przynajmniej w znacznej części doswiadczylismy, że prawdziwie katolicka cnota miłości dusz, tej miłości, obejmującej świat cały, w wielu sercach wcale nie istnieje, albo w zbyt słabym stopniu aby je pobudzić do czynnej ofiary i pomocy.

Jak w Ewangelii o ojcu, wyprawiającym goły synowi swojemu, który zaprosił gości, a ci nie

przyszli i tłumaczyli się najróżniejszymi wymówkami, podobnie i teraz często się dzieje.

Znałem małżeństwo, cieszące się sławą dobrych katolików: żyli bowiem przykładnie, chodzili codziennie na Mszę św., dobrze wychowywali dzieci. Ludzie ci posiadali ogromny majątek, tak że bez żadnego dla rodziny uszczerbku byli mogli ufundować choćby 60 burs dla uczących się wychowanców zakładu*), albo i własnym kosztem cały wznieść zakład. Nieśmiało odwołano się raz do serca i ofiarności tego bogacza — ale napróżno niestety: „nic nie mógł dla misji uczynić, doprawdy nic zgoła; miał bowiem tylu biednych krewnych.“

Wkrótce potem dzieci tych ludzi bogatych zawarły związki małżeńskie, a oni każdemu dali tylko 75 tysięcy talarów.

Bogate samotne panie „nic też dać nie mogły; miały bowiem jeszcze krewnych.“

Któż więc na świecie nie ma krewnych? Gdyby wielkie, ogół cały obchodzące sprawy Kościoła, ci tylko

*) Fundacją bursy zwiemy dar znaczniejszego kapitału, którego odsetki zużywa dom misyjny na naukę i utrzymanie jednego wychowanka. Skoro jego wykształcenie zostanie ukończone, na jego miejsce wstępuje inny uczeń, w ten sposób czyniacy tę dobroczynną fundacją staje się ojcem duchowym całego zastępu misyonarzy, i źródłem łask nigdy nie wyczerpanych, a szerzących się coraz dalej i dalej. Jakże błogą będzie kiedyś śmierć takiego dobroczyńcy, wspierać go będą przeliczne dobre uczynki, którym on swę ofiarą dał początek, oraz modlitwy i Msze św., tak często odprawiane za dobroczyńców domu misyjnego, a w których oni uczestniczą w miarę swej miłości i gorliwości.

I czyż może być dzieło piękniejsze i więcej radości przynoszące? O gdyby wielu posłusznych wezwaniu miłości Chrystusowej, wspierało w ten sposób zakład misyjny, albo też przyczynić się chciało do dalszej jego budowy, popierać wniosłe zadanie Stowarzyszenia, którego wdzięczność niewygasła odplacać się będzie licznemi modłami i ofiarami Mszy św., nawet i po śmierci dobroczyńcy, skracając i osładzając jego w czyscu cierpienia. —

mieli popierać, którzy krewnych nie mają, to wtedy nie byłby Pan Bóg powinien wcale na ludzi nakładać tego świętego obowiązku. Czyż się jednak nie mylimy? Może się i zdarzyło, że ktoś umierając nie miał zgola blizkich krewnych, ani szczęśliwych spadkobierców?

W istocie znałem takiego młodego, pobożnego człowieka. Z wielką biedą i trudem zebrał ten młodzieniec sumkę pieniędzy, ale właśnie dla tego, że mu to przyszło z takim trudnem, że nieraz przy- mierał z głodu i zimna, serce jego przywiązało się do tej garści złota, nie mógł oderwać się od niego, nawet i wtedy gdy go choroba powaliła na łożo, i gdy już śmierć miała cotylko wyciągnąć po niego swe kościste palce.

Zwracano mu uwagę, aby zawczasu rozporządził owocem krawego swego potu, aby to mienie nie pozostało dla nieba bezowocnem. Przyznawał słuszność tym napomnieniom, ale podobnie jak wielu umierających, nie sądził, że to rzecz tak nagląca. Można jeszcze poczekać z oddaniem pieniędzy, kto wie! Może jeszcze wyzdrowieje! —

Człowieku! czyjeż będą skarby, tak pilnie przez ciebie zebrane? Też jeszcze nocy przyjdzie ci się rozstać ze wszystkim!

I tak się też stało.

Nazajutrz ów młodzieniec leżał martwy na łożu samotnem. Przeminał dla niego czas działania. Nastąpiła noc wieczności, podczas której nic już czynić nie można. O gdyby tak odwołać dzień upłyniony, o gdyby miał choć jedną chwilę do uratowania swych oszczędności, do uratowania ich w ten sposób, aby mu i w niebie służyć mogły!

O jakże ciężkim był teraz dla niego ogień czyścowy, jak palić musiało jego duszę nadmierne przywiązanie do zaoszczędzonych pieniędzy. Teraz poznał wielkość miłości Bożej, pragnienie Boskiego Serca,

aby wszyscy byli zbawieni. A jemu zdawało się na ziemi, że kochał Boga, a nic Mu nie dał: Pan łaknął, a on Go nie nakarmił; pragnął, a nie napoił Go; był nagim, a on Go nie przyodział.

A teraz boleść okrutna, niby płomień, pożera biedne serce zmarłego!

I czyjem będzie to co zbierałeś?"

Tak, widzi teraz dla kogo zbierał!

Jego złoto zabrali miejscy urzędnicy, do skar-bony miejskiej, jego własność sprzedano na licytacji, również na korzyść miasta.

Znaliśmy też biedne pobożne kobiety, które zbierały starannie grosz do grosza, aby krótko przed śmiercią oddać go na dobre cele. Śmierć jednak przyszła prędzej niż się spodziewały, a dopóki czuły w sobie isierkę życia, nie miały siły rozdzielić się z ukochanymi pieniędzmi. I stało się to samo, co z owym młodzieńcem, Pan Bóg nic nie dostał, a krwawe grosze, zaoszczędzone w pocie czoła, kosztem głodu, zimna i tysiącznych ofiar, odziedziczył fiskus.

Niejedni pobożni ludzie chcieli za życia wszyst-kiem rozporządzić i wszystko ułożyć, ale sądzili, że koniec nie jest przecież tak blizki. Zwlekali z dnia na dzień, aż ich śmierć nagle zaskoczyła i majątek odziedziczyli uradowani spadkobiercy; przetracili, albo skrzętnie chowali pieniądze, przeznaczone na chwałę Bożą, na rozszerzenie Królestwa Jego.

W ten sposób postępują nie tylko ludzie świeccy; często kapłani, odkładają rozporządzenie majątnością swoją — aż ich dziedzictwo, Panu przeznaczone, porwą weseli spadkobiercy, a często i fiskus.

A gdy tak Pana opuszczają nawet wierni Jego wyznawcy z nieumiarkowanego przywiązania do swej majątności, albo do krewnych swoich, co dopiero powiedzieć o tych wszystkich, którzy tylko o sobie myślą i dążą jedynie do tego, aby życie urządzić wygodnie i przyjemnie. Chcieliby wprowadzić i

w niebie znaleźć dobre miejsce w nagrodę za to, że od czasu do czasu bywali w kościele, że zowią się katolikami; bo to nie kosztuje, i jest czasem wygodnie.

Od takich „dobrych katolików“ niczego nie można się spodziewać. Oni nie chcą uznać, że Pan Bóg nie pozostawia ludziom do woli, czy chcą nieść ugię potrzebom bliźnich i Kościoła (to jest samego Pana Jezusa); ale że najświętszym obowiązkiem każdego z nas jest wedle sił naszych spieszyć Mu z pomocą.

Ziemia pozostanie zawsze doliną łez; ale ileż to mniej byłoby na niej niedoli, smutku, nędzy moralnej i materialnej, gdyby wszyscy poczuwali się do spełnienia obowiązku, ilu to duszom przyniesliby zbawienie, nad ilu złamaliby panowanie szatana. Opatrzność Boska zna siły, zdolności, środki materialne każdego człowieka, a zwłaszcza każdego katolika, i liczy na nie. Boskie rozrządzenia krzyżuje jednak ktokolwiek mniema, że zdolności i majątek dla tego dane mu zostały, aby mógł błyszczeć i używać: i chce po tej szerokiej drodze wygodnie dostać się do nieba, nie troszcząc się bynajmniej o „obcych ludzi.“

Ale czyż zbyt surowo nie sądzę społeczeństwa? Przecież urządzają co chwila koncerty, przedstawienia amatorskie, bale i tem podobne zabawy na rzecz ubogich, sierot, pogrzelców, lub dla dobroczynnych instytucji.

Istotnie to robią, taką jest dobroczynność pod koniec dziewiętnastego stulecia. Daje ludziom nową sposobność do zabawy, a nadto jedna im wdzięczność i uznanie.

Czyż katolickie pisma nie zbierają składek dla nieszczęśliwych, dotkniętych jakim wzruszającym, sensacyjnym wypadkiem? Tak zbierają i z pomyślnym nawet skutkiem. Ludzie nie zastanawiają się po części gdzie, kiedy i w jaki sposób zostali nakłonieni

do czynienia dobrze. Dają się porwać ogólnemu prądowi, hojnie sypią datki w obec niezwykle wypadków, a nie pamiętają o nędzy cichej, ukrytej, ale o wiele głębszej i przykrzejszej do zniesienia. Najmniej jednak zrozumienia i współczucia mają zawsze dla nędzy duchowej, a ta jest najokropniejsza. Skoro jaka rodzina poniesie straty materialne, a nawet cały utraci dobytek, to każdy uważa jako rzecz zupełnie naturalną, że powinna się ograniczyć i szukać sposobu do życia. I jeśli znajdzie jaki zarobek, to i my na to się godzimy. Ale często znaleźć go nie może; a wtedy wpadają w nędzę straszną, przygniatającą — ale ludzie nie spieszą im z pomocą, pełną miłości, o nie, bo ich nieszczęście jest tak zwykłe; nie robi wrażenia!

I oto w wielu krainach leży odłogiem rola Pańska. Nie pokrywa jej zieleń, ani kwiaty, żadnych też nie przynosi owoców.

I dla czego?

Oto dla braku robotników w winnicy Pańskiej, dla braku ogrodników w tym ogrodzie Pana.

A czemuż ich brakuje?

Nie brak chłopców, którym Pan kładzie w serce ziarno powołania do stanu najpiękniejszego i najbardziej zasługującego, pragnienie korony misjonarza. Ale rodzice, krewni, przyjaciele niszczą często w samym zarodku to delikatne nasienie.

U innych znowu ziarno powołania nie zostało przytłumione, ale brak im środków, a za mało jest dobroczyńców, aby wszystkich wychować i wykształcić.

A cóż się dzieje z biednymi misjonarzami, wysłanymi do dzikich i obcych krain? Oto co pisze jeden z nich: „Cierpimy wielki niedostatek, ale chętnie ograniczymy do ostateczności nasze potrzeby. Przepadły nasze zapasy kukurydzy, i serce nam się kraje, bo naszych biednych czarnych dzieci nie możemy nawet do sytości nakarmić. Z dalszych stron

chęć nam jeszcze przyprowadzić małych murzynków: ale czyż możemy ich przyjąć, nie mając kukurydzy, ani kawałka materyi do pokrycia ich nagości. Łzami zaszkły mi oczy, nic już więcej dodać nie mogę.“

Inny misyonarz opowiada o czarnym malcu, wychowywanym w zakładzie, który za całe śniadanie dostał garstkę orzechów, a tem nie nasycony ciągnął Ojca za sutannę, szepcząc smutnie: „Jeść mi się chce.“

Ale to wszystko tak odległe, ta nędza oczu naszych nie razi, mniejsza więc o nią. Nie widzimy, że żniwo tak wielkie, a robotników mało, a miłośnicze zamiary Opatrzności Boskiej psują brakiem serca i miłosierdzia ci nawet, którzy mają się za dobrych katolików.

A i tak wielu prawdziwie potrzebujących patrzy z sercem rozdartem na swe dzieci, blednące z głodu; i odłogiem leżą w pogaństwie pogrążone krainy, i tyle dusz żyje zdala od celu, dla którego zostały przeznaczone, od Boga, dla tego, że nie masz ktoby ich o wierze św. pouczył, że niejedno powołanie zostało przez świat zwichnięte, albo z braku środków nie wykształcone. I podczas gdy biednym misyonarzom w odległych krainach serce się ściska i łzy oczy im zalewają z żalu, że brak środków materyalnych, ręce im krępuje i nie pozwala spełnić, coby zresztą było tak łatwe do spełnienia — tu w kraju płyną obfite datki, wywołane jakim wypadkiem niezwykłym, jakim kataklizmem natury. Straty z tego powodu bywają wprawdzie znaczne, ale przemijające po części, a nieraz dotyczą ludzi dobrze się mających. Ale dobroczynność, która nie wiedzieć nie chciała o cichej ukrytej nędzy, albo o potrzebach Zbawiciela i Jego Kościoła, odżyła na nowo dzięki przyrodzonemu człowiekowi upodobaniu do wrażeń sensacyjnych, a datki płyną tak obficie, że przewyższają straty poniesione, i odnośne komitety często

nie wiedzą co robić z pieniędzmi. I tak hojnemi są ci sami ludzie, którzy z największą obojętnością słyszeli o założeniu domu misyjnego, albo nawet zupełnie wrogo byli dla niego usposobieni.

A jednak dzieło to tak piękne, najodpowiedniejsze, aby i na kraj nasz ściągnąć błogosławieństwo Boże, rozbudzić w nim ducha religijnego, przyczynić się do zbawienia dusz naszych współobywateli. pracując równocześnie nad nawracaniem odległych pogańskich ludów. —

Prawdziwie katolicka miłość dusz nie wygasła jednak, Bogu dzięki, chociaż niezbyt często ją znajdujemy. Jest to kwiatek, kryjący się pod mchem i zielenią, ale piękny i pełen życia.

Jakże często rozradował mi serce niespodziany widok tego kwiatu. Po części są to drobne dary, dary ubogich, zebrane w pocie czoła i na ich stosunki aż nazbyt hojne. Nieraz najubożsi przynoszą wcale okazałe summy, a w listach przebijają gorące pragnienie złożenia większej, jaknajwiększej ofiary. Nieraz biedny ogrodnik zawstydzają hojnością hrabiego, u którego służy, prosty górnik bogatego właściciela kopalni, strażnik kolejowy wysokiego urzędnika, rzemieślnik milionowego kupca, prosty wieśniak zawstydzają uczonego, służąca wielką panią, strojną w jedwabie; co więcej dzieci, szcędzące skromne kieszonkowe, własnych zawstydzają rodziców.

Na takich datkach spoczywa w szczególny sposób błogosławieństwo Boże, bo to są prawdziwe ofiary. okupione pracą i wyrzeczeniem się istotnych potrzeb życiowych.

Staje nam na myśli na przykład pewien staruszek, który za młodu służył przy koniach, a następnie dzięki niestrudzonej pracy i zapobiegliwości dorobił się małego mająteczku i na starość żył z niego bardzo skromnie z córką, też już niemłodą i chorowitą.

Największą przyjemnością pocziwego staruszka było oszczędzić cośkolwiek dla Pana Boga, z własną ujmą przyczynić się do pomnożenia środków w celu ratowania dusz.

Z upragnieniem wyczekiwał powstania domu misyjnego, jego małe oszczędności miały być zużyte na wzniesienie części fundamentów. Dla niego i dla córki wystarczały procenta, które sobie zastrzegł od złożonej sumki. Wkrótce po otwarciu domu misyjnego spotkałem go przypadkiem. Jakże się wydał szczęśliwy!

„Nareszcie dożyłem tego“ — mówił do mnie radośnie i z tak rozpromienioną twarzą, jak gdyby był chciał powiedzieć: „Teraz puszczaj Panie sługę twego w pokój — gdyż oczy moje oglądały zbawienie Twoje.“ Przepelniony temi uczuciami powrócił do domu i dalej ciche wiódł życie. Latem chciał przyjsć raz jeszcze, aby zobaczyć postęp wznoszących się budowli — ale gdy lato nadeszło, już go nie było na ziemi — już był dokonał naznaczonego od Boga zadania.

Pewnego dnia przyszła do nas uboga krawcowa, wzruszona i uszczęśliwiona przyniosła nam kilkaset marek; przeznaczała je na rzecz budowy, a gdyby miała, co nie przypuszcza, popaść kiedy w niedostatek, to poprosi o zwrot tych pieniędzy.

Wachano się przyjąć taką ofiarę, doprawdy neroiczną ze strony biednej dziewczyny; ale aby nie zasmucić szlachetnego jej serca, wkońcu trzeba było uleść.

Na niej sprawdziły się słowa Zbawiciela, wyrzeczone o ubogiej wdowej, która do skarbony kościelnej wrzuciła grosz jeden: „Zaprawdę, ona więcej dała niż ci wszyscy; oddała bowiem wszystko co miała.“

I niejedni jeszcze tacy się znaleźli, którzy pełni prawdziwej mądrości, owoc ciężkiej pracy w ten sposób dla nieba sobie zabezpieczyli.

Teraz już nie potrzebują się obawiać, że ich śmierć niespodzianie zaskoczy, albo że ich testamentu władze nie uznają, lub spadkobiercy zrzucić potrafią*) Unikną również opłaty drogiego stempla spadkowego i nie potrzebują się obawiać, że w spełnieniu dobrego uczynku przeszkodzi im jaka kradzież bankowa, albo spadek akcyi, i ich samych nawet dochodu pozbawi. (Właśnie gdy to piszę, pewien bogaty bezdzietny obywatel stracił 50 tysięcy talarów, umieszczonych w zagranicznych papierach, a wielu jego znajomych podobne poniosło straty). O zaiste mądrze postąpili ci wszyscy, którzy misyom oddali swój majątek, zabezpieczyli sobie nie tylko wieczne, ale i doczesne interesa.

„Szczęśliwą jestem, że pozbyłam się troski za-wiadowania moim kapitalikiem“ — mówiła nam po śmierci owego staruszka, o którym wspominaliśmy, jego osamotniona, chorowita córka — „Wiem dobrze, że nie wydostałabym nigdy procentów od wierzycieli i mogłabym popaść w ostateczną nędzę.“

*

*

*

Jakże wielką jest nędza królestwa Bożego! O gdyby jej można zapobiedz! Uczynimy to jedynie

*) Doświadczenie uczy, że zdarza się to z testamentami niestety aż nazbyt często: W Berlinie umarła niedawno wdowa, która swój dom i kapitały zapisała kościołowi św. Jadwigi. Ale cóż się dzieje? rząd odmówił zatwierdzenia testamentu, a działo się to w kilka dni po przyznaniu przez centrum na budowę tumu protestanckiego, 10 milionów marek z dochodów państwowych, a przecież do tych pieniędzy i katolicy przyczyniają się płaceniem podatków. Dziwiłem się, że centrum i prasa katolicka tak spokojnie przyjęła ten policzek.

W Wrocławiu przed kilku laty rozstał się z tym światem proboszcz katolicki, który testamentem przeznaczył cały swój majątek na rzecz misyi. Ale co się dzieje?

Władze oświadczyły, że testator nie okrześlił bliżej, o jakich misyach jest tu mowa; i pełne „delikatności summienia“ podzieliły majątek jego pomiędzy misye katolickie i protestanckie.

Mądrze czynią zatem ci wszyscy, którzy za życia, w pełni sił, własną ręką rozporządzają swem majątkiem.

wspólnymi siłami, gdy każdy zdobędzie się na ofiarę, odpowiednią jego stosunkom i obowiązkom. A w miarę jego miłości i gorliwości pomnażać się też będzie własne jego szczęście i zadowolenie wewnętrzne.

„Jałmużna nie zuboży“ — mówi stare przysłowie. Niechże o tem pamiętają e wszyscy, którzy dóbr ziemskich jeszcze potrzebują i pragną je posiadać. Kto jednak postąpił już trochę na drodze doskonałości, cieszy się, że żyje w niedostatku i własnem wyrzeczeniem może służyć sprawie Pańskiej.

Znaliśmy osoby, które największą, prawdziwie dziecinną radością napełniały właśnie jałmużny, świadczone kosztem jakiej osobistej ofiary. Były to prawdziwie ich dary. Oni doświadczali na sobie już tu na ziemi, że słusznie błogosławionymi nazwani są ubodzy duchem, i że ich jest Królestwo niebieskie.

W ten to sposób każdy z nas może pełnić ubóstwo o ile mu na to pozwalają okoliczności i stosunki. Może je pełnić zarówno biedny robotnik i służąca, jak i bogaty mieszczanin, a nawet książę, przyrodziany purpurą. —

Cóż znaczy dar ubogiej wyrobnicy, albo rzemieślnika, a jednak nieraz właśnie ci najubożsi posyłali je za naszym pośrednictwem.

„Chciałam sobie kupić nowy kapelusz — pisze służąca — ale postanowiłam ten stary nosić jeszcze kilka lat, a pieniądze, na to przeznaczone, oddać Zbawicielowi.“ — „Chciałam już w zeszłym roku kupić sobie nowe okrycie — mówiło biedne dziewczę, wolę jednak pieniądze oddać na budowę domu misyjnego.“

Pewnego razu pokazywaliśmy znajomemu panu różne kosztowności, nadesłane na rzecz misyonarzy. Wydziwić się nie mógł, że „jednak na świecie nie zaginął jeszcze duch ofiarności.“ Wpadł mu zwłaszcza w oko zupełnie nowy, złoty krzyżyk, a gdy się dowiedział, że to dar młodej panienki, która go

dostała codopiero, w dniu pierwszej Komunii św., zawołał zdumiony:

„I zaraz go oddała, to rzecz szczególna!“

O bynajmniej, to przeciwnie rzecz bardzo prosta! Tylko ów pan nie miał pojęcia do jakiego stopnia miłość Chrystusowa przyciska serca i jak dusze, tą miłością porwane, pragną oddać Panu Jezusowi, co mają najlepszego, a nawet wszystko co posiadają.

Pewien dentysta, żyjący bardzo skromnie ze swego fachu, co mu pozostaje, przeznaczają na cele misyjne.

Św. Jadwiga chodziła wprawdzie w purpurze, na skroniach nosiła koronę — bo tego wymagało jej wysokie stanowisko; ale zresztą wszystko co tylko mogła, oddawała Bogu, Kościołowi, bliźnim, w potrzebie zostającym. Ta droga Święta jest dla nas wzorem i przykładem niestrudzonej gorliwości w szerzeniu Królestwa Bożego, miłości Boga i dusz ludzkich.

Ludzie, których Bóg obdarzył pierwszym dzieckiem, mówią nieraz: „Teraz już wiemy dla kogo pracować, przynajmniej majątek nie przejdzie w obce ręce.“

Taka mowa brzmi dziwnie w ustach katolickich.

Boski Zbawiciel, który za nas tyle cierpiał i śmierć poniósł okrutną, wzywa nas do współpracy w wielkim dziele zbawienia dusz, cierpi nad potrzebami ludzkości. I jakimże sposobem Jego wyznawcy i uczniowie mogą jeszcze nie wiedzieć dla kogo mają żyć i pracować? a nie mając własnych dzieci, jakże mogą mówić o przejściu majątku w obec ręce, gdy sam Pan Jezus ręce do nich wyciąga!

12. Cella zakonna pośród świata.

Boski Zbawiciel wybrał dla siebie ubóstwo najprzód dla tego, aby swym przykładem oderwać nasze serca od skarbów ziemskich, a zwrócić je do dóbr niebieskich, ale nadto aby oprzeć całe dzieło zbawienia na miłości swoich wyznawców.

Podczas ziemskiego swego żywota, gdy nauczając przebiegał ziemię żydowską, już w ówczas pobożne niewiasty starały się o utrzymanie Pana i uczniów Jego. Własne życie, siły, mądrość, wszystko cokolwiek posiadał, niósł Zbawiciel w ofierze na służbę Ojca swego, dla zbawienia dusz; sam nic nie miał. Troszczył się bezustannie o rzeczy wieczne, a co do zaspokojenia doczesnych potrzeb zaufał zupełnie miłości swoich.

W ślady Zbawicielowie wstępuje ubogi misyjonarz. On również poświęca Bogu i zbawieniu dusz wszystko co posiada: swoją naukę i zdolności, zdrowie i życie: a co do zaspokojenia potrzeb życiowych i środków potrzebnych do rozwoju dzieła misyjnego, polega na miłosierdziu wiernych i ufa, że go takowe nigdy nie zawiedzie —

„Jeśli chcesz być doskonałym — powiedział Zbawiciel do bogatego młodzieńca — sprzedaj co masz, rozdaj ubogim, a chodź za mną.“

Któż jest biedniejszy od człowieka chorego na duszy, który nie zna i nie miłuje Pana swego?

Radę dobrowolnego ubóstwa, udzieloną przez Pana Jezusa, uważa wielu jako w zakonie tylko wypełnić się dającą. Ale mylą się w tem zupełnie.

Nie wszyscy, którzy mają zrozumienie rad Pańskich i chęć wypełnienia ich, mogą się poświęcić życiu zakonnemu. Jednych wstrzymuje brak zdrowia, albo obowiązki miłości synowskiej; inni są zbyt bojaźliwi, albo nie usposobieni do życia wspólnego, lub też innych jakichkolwiek przepisów klasztornych.

Ci wszyscy nie są jednak wykluczeni, od zdobycia zasługi, przywiązanej do zachowywania rad Pańskich, i związania się w tym celu ślubami.

W naszych czasach zapomniano o tem niestety; ale w pierwszych wiekach chrześcijaństwa pełno osób, Bogu poświęconych żyło na łonie rodziny albo też o ile to było podobnem, w zupełnej samotności, i w wiekach średnich znajdujemy ich w pustelniach i celach, ale ani pustelnia, ani cela nie jest bynajmniej do tego potrzebna.

Różne są powołania i drogi Pańskie: w ogrodzie Bożym panuje największa różnaitość, a ta właśnie różnaitość stanowi najwybitniejszą jego ozdobą i piękność.

Zakony i stowarzyszenia są to wielkie, zorganizowanie ściśle wojska i bez nich wielu dzieł Kościoła św. zupełnie nie byłoby można dokonać.

Są jednak stanowiska, na których zakony nie zdziałać nie mogą, sprzeciwiają się bowiem temu ściśle przepisy odnośnej ich reguły.

Dla tego św. Jadwiga nie wstąpiła do klasztoru, przez siebie założonego, chociaż wiodła w nim żywot prawdziwie zakonne: reguła klastorna byłaby jej tylko przeszkodą w usilnem dążeniu do rozszerzania Królestwa Bożego, i wspierania nędzy ludzkiej.

Do pracy na takich oddzielnych stanowiskach powołuje Kościół swe dzieci i żąda od nich wielkiej gorliwości i zupełnego wyrzeczenia się. Wiele osób w świecie żyjących, a Bogu oddanych, składa ślub czystości: gdyby tak chciały do niego dołączyć ślub ubóstwa, o ileż powiększyłyby się ich gorliwość i poświęcenie.

Ślub posłuszeństwa można również wypełniać żyjąc w świecie; ale nie wszyscy mają ku temu sposobność, a nieprzezorność mogłaby stać się tu zwłaszcza bardzo szkodliwą. Boski Zbawiciel każdą z rad swoich udzielił z osobna; i wolno każdemu wypełniać z nich jedną, dwie, lub wszystkie razem.

Bywają nawet zakony i zgromadzenia, które ślubami zobowiązują członków swoich do pełnienia dwóch tylko rad.

Gdyby jednakże jaka Boga miłująca dusza, chciała koniecznie żyjąc w świecie pozyskać zasługę ślubu posłuszeństwa, to może związać się ślubem posłuszeństwa w obec swego spowiednika, a odnośnie do osób swego otoczenia ćwiczyć się w tejsze cnocie, nie wiążąc się jednak wyraźnym ślubem.

Św. Franciszek Salezy radzi, aby przy wyborze spowiednika, względem którego bynajmniej ślubem się nie zobowiązujemy — szukać: „pomiędzy tysiącami i dziesiątkami tysięcy“ — o ileż zatem więcej należy być przezornym, jeśli kto pragnie związać się ślubem posłuszeństwa.

Ale jeśli wybór jest dobry, to dusza bardzo zyskuje na sile ku dobremu, a zasługi jej dobrych uczynków znacznie się pomnażają. Ślub taki pozo-
stawia jednak osobom w świecie żyjącym zazwyczaj trochę więcej osobistej wolności, aniżeli w zgromadzeniach zakonnych.

Ślub ubóstwa zarówno jak i posłuszeństwa w rozmaitej mierze bywa czyniony i praktykowany. W klasztorach nikt nie posiada nic na własność, ale zgromadzenie całe troszczy się o utrzymanie swych członków. Osoba w świecie żyjąca i związana ślubem ubóstwa, nie powinna na starość stać się innym ciężarem; może i powinna troskać się o swą przyszłość i obecne utrzymanie, ale w pewnych tylko granicach, a co nadto, to należy do Boga i do dzieł miłosiernych.

W ten sposób pojęty ślub ubóstwa nie jest bynajmniej trudnym i niewykonalnym dla osób samotnych i niezależnych? Nie potrzebują opuszczać swego mieszkania, stanowiska; mogą się nawet starać o pomnożenie dochodów, ale tylko w tym celu, aby tem więcej czynić dla Pana Boga.

Życie takich osób Bogu oddanych i z miłości ku Niemu wiążących się ślubami czystości, ubóstwa, a niekiedy i posłuszeństwa — nazywamy, ufam nie bez słuszności, celą zakonną pośród świata.

13. Dom misyjny św. Krzyża w maju 1894 r.

W maju zeszłego roku odwiedzaliśmy dom misyjny, w pierwszym jego zawiązku. Majowe nabożeństwo odprawiało się wtedy w prowizorycznej, ciasnej kaplicy, w podwórzu folwarcznem, w domu zamienionym obecnie na warsztaty i mieszkanie braciszków.

Dzisiaj wchodzimy już do nowego domu, obszernego, ale zupełnie zajętego, do ładnej kaplicy, też już prawie za małej. Liczba wychowanców z 14 tu podniosła się do przeszło 40 tu. Zebrali się aby modlitwą i śpiewem nabożnym uczcić Królową nieba, której obraz, świeżemi przystrojony kwiaty, tak miłośnie z ołtarza ku nam spogląda. Ale chociaż liczba mieszkańców domu misyjnego pomnożyła się znacznie, brak nam niejednego znajomego oblicza, spotykanego tu przed rokiem. Kilku braci i postulantów zostało odwołanych; jeden wysłany aż do Chin, trzech do domu misyjnego St. Gabryela dla zapoznania się z językiem hiszpańskim, bo i oni wkrótce opuszczają Europę, aby pracować w misjach na Ekwadorze.

Zanim jednak dzisiejsi wychowanci opuszczają dom misyjny jako księża i misjonarze, upłynie jeszcze lat wiele, lat modlitwy i pracy, lat ofiary, zwłaszcza dla tych, którzy ich wychowują i kształcą.

Jeśli wychowanie chłopców, przeznaczonych do zwykłych życia kolei, wymaga największej staranności i trudów nieprzeliczonych, to tem więcej młodzieńców, przeznaczonych do pełnego ofiar powołania misjonarzy. —

Pierwszy warunek, aby to wychowanie udać się mogło polega na tem, aby chłopcy mieli istotne i rzeczywiste powołanie. To też nie można powtarzać dość często, że tylko ci chłopcy mogą się starać o przyjęcie, których ożywia rzeczywiste pragnienie zostania misjonarzami i którzy są odpowiednio uzdolnieni do nauki. Niechaj nikt się nie zgłasza, którego postanowienie nie jest stałem, i ktoby chciał tylko w tani sposób odbyć nauki, a potem cofnąć się przed ostatecznym krokiem. Takie postępowanie byłoby wprost grzesznem, i nakładałoby obowiązek zwrotu kosztów, przecz zakład poniesionych. Nie należy również nadsyłać świadectw zbyt przychylnych i wyrozumiałych, i w ten sposób okłamywać Stowarzyszenie Misyjne co do swoich zdolności. Powtarzam raz jeszcze: z prośbą o przyjęcie do zakładu misyjnego zgłaszać się mogą jedynie chłopcy uzdolnieni i mający szczerą wolę zostania misjonarzami, i to pragnienie niechaj w podaniu wyraźnie zaznaczają. A może który z ubogich chłopców, chcących Bogu się poświęcić, znajdzie w swej wiosce, lub miasteczku przybranego ojca czy matkę, którzy zechcą ponieść kosztą jego wychowania.

Nieraz spotykam w gazetach ogłoszenia, polecające małe dzieci osobom, któreby je chciały przyjąć za swoje — a takie ogłoszenia nie są bynajmniej bezowocne. A jednak te małe istoty, tak łatwo znajdujące przybranych rodziców, nie bywają zazwyczaj wygodne. Mają pełno wad i złych narządów, chałasuują niemożliwie, zakłócając spokój i porządek domowy; a przytem pełno jeszcze mają wymagań, by je nosić na rękach, lub wozić na spacer w miękkim wysłanym wózku.

Czyż nie są o wiele odpowiedniejszymi do przyjęcia prośby pobożnych i utalentowanych chłopców? Tamte przybrane dzieci bywają dla swych dobroczyńców niemalym ciężarem, a pytanie czy im kiedy

sprawią pociechę — zwłaszcza jeśli ci dobroczyńcy wysokie mają dla nich widoki. Adoptowanie przyszłych misjonarzy nie jest natomiast żadnym ciężarem, a rokuje dla dobroczyńców wielką, na przyszłość radości, daje im sposobność ściągania za pośrednictwem swych wychowawców całe strumienie łask Bożych na nieprzeliczone dusze, i wyjednania dla siebie wspaniałej w niebie nagrody.

Skoro rodzicom winszujemy przyjscia na świat nowego dziecięcia, o ileż więcej można winszować tym, którzy dają światu jednego, albo nawet i kilku misjonarzy, a czynią to ci wszyscy, którzy ufundowali zapisy dla uczących się przyszłych misjonarzy.

Życie wychowawców podzielone jest między pracę a modlitwę, nie brak im również koniecznego wypoczynku. Spełniają lekkie prace domowe, co im służy za wytchnienie po pracy umysłowej: młodzi bawią się w gry na odpowiednim placu przed domem, a starsi używają ruchu i powietrza w obszernym ogrodzie; wszyscy nieraz i dalsze robią przechadzki. Od czasu do czasu Ojcowie gotują im jaką nadzwyczajną przyjemność, albo też monotoność życia urozmaica święto rodzinne, n. p. imieniny O. Rektora, albo O. Prefekta.

Dalsze, tak bardzo potrzebne rozbudowanie domu misyjnego, chwilowo przerwane zostało. Oby Pan Bóg raczył zesłać dobroczyńców temu pięknemu dziełu.

Budowniczy, W. O. Beckert, został niestety odwołany do domu misyjnego św. Gabryela pod Wiedniem i obawiamy się że na stałe. I w domu misyjnym i w okolicy ogromnie żałują tego dobrego Ojca, zawsze uprzejmego, zawsze niestrudzenie czynnego.

W dni powszednie nie był on tak jak inni Ojcowie, stale związany nauczaniem wychowawców, dla tego najczęściej posyłano go z pomocą w pracy



Biskup J. B. v. Anzer z sześcioma w roku 1886 wysłanymi misjonarzami.
Br. Augustina. O. Vilattermann. O. Hemminghaus. Br. Josef.
O. Erlmann. Mgr. v. Anzer. O. Pieper.

Chrześcijańskie sieroty ze swoimi nauczycielami w Puoty.



sąsiednim proboszczom. Obecnie dwaj tylko Ojcowie mogą zadośćczynić licznym wezwaniom o pomoc duchową, i to jedynie w dni świąteczne, lub podczas wakacyi. Wszyscy inni oprócz troski i starania o dom własny, mają nadto w swej kaplicy dużo pracy w konfesyjale, tylu tam zewsząd ciśnie się ludzi.

Obok konfesyjalu widzisz ze zdziwieniem w ścianie umieszczony dzwonek, z napisem, że ktokolwiek pragnie się wyspowiadać, winien za ten dzwonek pociągnąć. Dowód to oczywisty, że tu kapłani, pełni poświęcenia i miłości, o każdej porze ochotnie i z weselem czekają na grzesznika. —

Taki dzwonek to jedno z owych średniowiecznych klasztornych urządzeń, które przydałyby się tak bardzo i w naszych czasach. —

Ten dzwonek tak uprzejmie zaprasza biednego grzesznika i mówi mu: tu będziesz zawsze dobrze widziany, nie potrzebujesz się obawiać, że przychodzisz nie w porę.

Dzwonek ów oznajmia zakonnikom, że tam w kościele czeka pielgrzym, potrzebujący pomocy, chory szukający uzdrowienia u Serca Boga samego.

A ponieważ zakonnicy wiedzą, że tak jest istotnie, ponieważ tak bardzo ukochali biedne zbłąkane dusze, więc spieszą radośnie na każde wezwanie.

Od rana do wieczora kaplica bywa otwartą i duszom, pomocy potrzebującym, wolno o każdym czasie korzystać z tego urządzenia, prawdziwą natchnionego miłością.

A możecie mi wierzyć, że dzwonek często bywa w użyciu. Rano, zwłaszcza w dni świąteczne, albo wieczorem wigilią świąt uroczystych, cisną się do konfesyjalonów całe tłumy ludzi z bliska i z daleka; ale i wśród dnia przychodzą tu często, a nieraz, i z zupełnie odległych stron dusze bezradne, uciśnione, zrozpaczone, walczące, trwożne, chwiejne, albo też do wyższej dążące doskonałości —; wiedzą bowiem,

że tu źródło zbawienia i uzdrowienia, zawsze dla nich otwarte.

A wielu znalazło uzdrowienie i pociechę! Niejedna dusza, która już stała nad samą przepaścią, odnalazła drogę do Boga; złamane serca, podniosły się do Pana; więzy, do piekła ciągnące, tu rozerwano i zrzucano.

W tej skromnej kaplicy powzięto również niejedno wielkoduszne postanowienie gorliwszej służby Bożej, pełnego ofiarności oddania się Panu; tu również popłynęły łzy gorącej wdzięczności i szczęścia nad odzyskanym pokojem duszy.

W zeszłym roku mówiliśmy o kiełkowaniu i pierwszym rozkwicie nowo założonego domu. Dziś już nas radują owoce, przezeń dla nieba zebrane.

Rozwój i kiełkowanie zakładu trwa jednak dalej; długie lata jeszcze upłyną zanim pierwszy z tutejszych młodych wychowalców, uzbrojony krzyżem misyjnym, pójdzie w świat, jako wysłannik wiary św.; a w domu za łaską Bożą rozwijać się będą coraz nowe latorośle i pączki, i wzrastać ku większej chwale Bożej. Zakład jednakże, jak to widzieliśmy, i teraz już przynosi owoce, i to owoce radujące i orzeźwiający serca ludzkie, owoce, które są niejako spełnieniem gorącego błagania, zanoszonego po każdym nabożeństwie do Boga przez zebranych wspólnie księży, braciszków i wychowalców przed Najśw. Sakramentem:

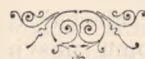
„Przed światłem Słowa i Duchem łaski, niechaj pierzchają ciemności grzechu i noc pogaństwa i niechaj żyje Serce Jezusa pośród serc ludzkich.“ —



Część druga.

Prawda i Fantazya.

(Sen).



1. Do Czytelników.

W następnych rozdziałach pragnę ci przedstawić, miły czytelniku, nie jakieś rzeczywiste zdarzenia, ale „Sen,” który nazwałem „Prawdą i fantazyą,” albowiem w szacie fantazyi chcę was o prawdzie przekonać i ufam, że ta szata prawdy przed wami nie zasłoni, ale ją tylko osłoni i tem miłszą uczyni, a tym sposobem większe dla duszy przyniesie korzyści.

Wypowiadam tu również moje gorące pragnienia. i przedstawiam takowe, jako już spełnione, dla tego forma „Sen” zdaje mi się najodpowiedniejszą. A ty, miły czytelniku, czytając te obrazki, powinienes rozróżnić, co w nich jest prawdą, a co fantazyą. Prawda niechaj ci będzie zachętą do naśladowania dobrego, a do unikania złego przykładu; a obrazy, w fantazyi powstałe, niechaj cię skłonią do współpracy i poparcia domu misyjnego, aby prędzej i lepiej mogło stać się prawdą i rzeczywistością to, o czem autor tych pogadanek marzył nieśmiało w roku 1894.

Te kilka słów wstępnych niechaj posłuży, do tem lepszego zrozumienia mego snu i do jego najpomyślniejszego spełnienia.

2. Przybrane dziecko. (Boże Narodzenie 1894).

W znanem mi dobrze mieście, podobnie jak i we wszystkich innych miastach, żyją najrozmaitsi ludzie, i ktokolwiek ma sposobność zajrzeć do ich serc i do ich mieszkań, ten może czynić najrozmaitsze spostrzeżenia.

Z pomiędzy wielu obrazków, cisnących się pod moje pióro, wybieram pierwszy lepszy, n. p. „Dziecko przybrane.” O wy ojcowie i matki licznych rodzin, pomyślicie może, że to jest temat pogadanki najmniej dla was odpowiedni.

Nie lękaj się jednak, kochany czytelniku, nie chcę powiększać twej troski i biedy, już i tak dotkliwej: posłuchaj tylko, czego się dowiedziałem, zrozumiej mój sen.

Oto zamożna rodzina, składająca się z ojca, matki i dwojga dzieci. Żyją w atmosferze zbytku i bogactwa; wszędzie dobrze są widziani i cieszą się dobrą sławą. —

Nie oszukują ludzi, nie grają w karty, nie trudnią się lichwą, chodzą co niedzielę do kościoła, czasami i na kazanie, bo w N. należy do dobrego tonu być religijnym. Ale kazania to przecież tylko dla grzeszników i prostaczków — a nie dla takich wykształconych, dobrych katolików — słucha się kaznodziei tylko dla formy, ze zwyczaju, ziarno nauki Bożej pada albo między ciernie, albo na drogę twardą, na której bywa zdeptane — a główna rzecz, że w niedzielę ma się nową sposobności, aby się kazać podziwiać, a innych krytykować.

Przed drzwiami tych ludzie przybita tablica z osobliwym napisem, głoszącym, że należą do stowarzyszenia przeciwko żebractwu. Płacą rocznie kilka marnych groszy, i mniemają, jakoby tym sposobem pozbyli się już wszelkich obowiązków miłości bliźniego. Jakżeby się dziwiono w dawnych, dobrych czasach i zachodzono w głowę, czy to możliwe, zakładać stowarzyszenia, odmawiające biedakowi prawa, aby w potrzebie udał się z prośbą o pomoc do bogatszego bliźniego; prawo to tak oczywiste, że nieraz staje się obowiązkiem; byłoby bowiem grzechem, gdyby kto pozwolił raczej dzieciom swoim umierać z głodu, a przez pychę nie chciał wyciągnąć ręki z prośbą o pomoc.

Rodzina owa należy i do innych jeszcze stowarzyszeń, ale mających na celu wyłącznie rozrywkę. Na tych zebraniach matka i córka pojawiają się w coraz to nowych, coraz wspanialszych tualietach — ich sława rozbrzmiewa daleko i pierwsza w mieście modystka cieszy się, że jej raczą powierzyć sporządzanie tych arcydzieł mody.

Pewnego dnia spotkałem tych państwa u wspólnych znajomych — i w ciągu rozmowy wspomniałem o niezbyt zamożnej rodzinie, która hojną jałmużną wsparła codopiero cele misyjne. Powiedziałem to umyślnie w mniemaniu, że ci bogaci ludzie może sobie pomyślą: „Jeśli tamci tyle czynią dobrego, to coś dopiero nam się należy, nam, którzy mamy na tyle zbytecznych i niepotrzebnych rzeczy?“ Ale omyliłem się. Ów pan bogaty, z wielką pewnością siebie i niemniejszym oburzeniem, odrzekł bowiem: „Ależ ci ludzie ukrzywdzili własne swe dzieci!“ —

Pomyślałem wtedy: Tu ludzkie słowa nie zdolają obudzić w sercu szlachetniejszych uczuć! A równocześnie wzrok mój spoczął na kosztownych sukniach, na drogich klejnotach, zdobiących matkę

i córkę — nie spoczął jednak z wyrazem podziwu, ale raczej oburzenia i politowania.

W tem usposobieniu powróciłem do domu, i wieczorem zasypiając miałem jeszcze przed oczyma zbytkowne stroje owych kobiet, a w uszach brzmiał mi głos owego pana, który jałmużnę pobożnej rodziny śmiał nazwać ukrzywdzeniem własnych dzieci. — W tych myślach zasnąłem, a w nocy miałem sen dziwny.

Znajdowałem się wśród rozległej doliny, z jednej strony lasem zamkniętej: w oddali w niepewnem świetle księżyca widniały mury miasta, do którego wiodła droga, przeżynająca ową dolinę: Na polach pały się stada owiec pod czujną strażą pasterzy, chodzących w około z obawy, by nie zasnąć. Naraz posłyszałem pieśń tak słodką i piękną, że aniołowie chyba śpiewać ją mogli.

Spojrzałem w niebo, czy ich tam nie ujrzę — i istotnie pośród obłoków widniały całe zastępy niebiańskich śpiewaków.

„Chwała Bogu na wysokości, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!“

„Oto zwiastujemy wam radość wielką: dzisiaj w mieście Dawidowem narodził się Zbawiciel, a ten jest Chrystus Pan.“

Z najwyższym zachwytem słuchali pasterze zwiastunów radosnej nowiny, a ja dzieliłem ich szczęście.

Ochłonawszy ze wzruszenia, udali się spieszenie do stajenki, w skale wykutej, którą oni, biedacy, oddali na schronienie Panu nieba i ziemi. Podążyłem za nimi; wchodzimy, i jakiż widok uderza nasze oczy! W głębi widać bezrozumne zwierzęta, a bliżej w żłobie, na sianie spoczywa prześliczne dzieciątko, niebiańskim otoczone blaskiem. Co za mądrość widnieje w oczach nieświadomego niemowlęcia! Nieświadome? o nie. Ono tylko mądrość swoją zakrywa

pozorną nieświadomością. Ale jedno, jego spojrzenie wymowniejsze od słów wielu.

„Przyszedłem, aby ludzi zbawić. Przyszedłem, aby rozpalic ogień miłości. Oto przychodzę ubogi i wszystkiego pozbawiony, ogołocony i nic nie mający, liczę bowiem, że moi mię wspomoga.“

I podczas gdy oczy Boskiego Dzieciątka przemawiały do mnie w ten sposób, rączka Jego wyciągnęły się ku mnie, i okrywałem je pocałunkami miłości. Obok żłóbka stała Najśw. Panna i pobożny staruszek, którego czoło opromieniał blask anielskiej czystości, na ich widok zawołałem z głębi serca: „O Boskie Dzieciątko, jakże szczęśliwą i godną zazdrości jest Najświętsza Matka Twoja, która Cię porodziła, a teraz pielęgnuje i miłością otacza; jakże szczęśliwym twój ojciec przybrany, który Cię strzeże i troska się o Ciebie!“ I tak mi było przykro, że muszę opuścić błogosławioną stajenkę, i że nic nie posiadam, czembym mógł wspomódz twardą dolę Jezusa mojego. Wtedy Boskie Dzieciątko spojrzało na mnie miłośnie, usteczka Jego poruszyły się i w sercu posłyszałem słowa: „Ktokolwiek czyni wolę Ojca mego, ten mi jest ojcem i matką.“

„Drżę od zimna a to dla tego, że serca ludzkie są tak chłodne i obojętne. Nagi jestem i pozbawiony rzeczy najpotrzebniejszych, ponieważ ludzie utracili białą szatę łaski uświęcającej. Oto w biedzie jestem i poniżeniu największem, przez wszystkich wzgardzony, dla tego, że ludzie w pysznem zaślepieniu nawzajem sobą gardzą. Chcesz rozgrzać dręczące mnie zimno, o wtedy zapalaj w sercach ludzkich miłość, którą goreje Serce moje; chcesz okryć nagość moją, to staraj się, aby dusze okryły się na nowo szatą niewinności, którą zawsze mam dla nich w pogotowiu. Jestem Synem Bożym, a jednak potrzebuję okrycia, a to dla tego, że dusze utraciły szatę łaski i cnoty. Chcesz mię przyodziać, dopomagaj duszom do od-

zyskania cnoty i łaski.“ Tak przemawiało do mnie Boskie Dzieciątko, drżące od zimna.

Ze łzami współczucia i miłości wzięłem na ręce, Bożą Dziecinę, i przycisnąłem Ją do serca, szepejąc: „O słodki Jezu, weź najprzód moje własne serce, i daj mi serce nowe, jakie się Tobie podoba; racz mię pobłogosławić Boskimi Twemi rączkami. a umocniony pójdę pomiędzy ludzi i kogo tylko spotkam, przyprowadzę do Ciebie, aby Cię kochali i czcili, aby Ci zimno nie dokuczało, a nagość Twoja została okryta. Zobaczę, czy się znajdzie ktokolwiek, ktoby nie chciał być Twoim ojcem i matką, ktoby się nie poddał świętej woli Twojej.“

I złożyłem napowrót ostrożnie Boskie Dzieciątko, maleńkiego Pana i Króla w Jego biednym żłóbku; poprosiłem Najśw. Pannę i św. Józefa, aby mię raczyli również pobłogosławić i opuściłem stajenkę. Na niebie już począł świtać brzask dzienny, tak szybko upłynęły mi godziny nocne na słodkiej rozmowie z Boskiem Dzieciątkiem.

W duszy mej rozpało się gorące pragnienie przyjścia z pomocą Panu mojemu. Sądziłem, że mi to przyjdzie z łatwością, przecież nikt się nie zdoła oprzeć Jego miłości!

Wkrótce spostrzegłem wysokiego, elegancko ubranego pana, który siedząc w parku na ławce, ściągał z nóg pończochy i trzewiki, a następnie boso począł biegać po przemarzniętej trawie. Zdziwiony, tym niezwykłym widokiem, pytałem sam siebie, czy może zostałem przeniesiony w wieki średnie; wiadomo bowiem, że w ówczas niebrakło ludzi, którzy z miłości ku Bogu zadawali sobie różne pokuty i chodzili boso. Ale nie, ubranie jego zrobione podług najświeższej mody. Zbliżam się i oczom własnym nie wierzę, poznając tego samego pana, który mię wczoraj tak na siebie oburzył.

„To dopiero zdobycz! — pomyślałem. — Gdy on pozna i pokocha Boskie Dzieciątko, ileż będzie mógł uczynić dla Jego nędzy, która jest nędzą tego świata.“

Trochę jednak onieśmielony, nie chciałem wyjechać prosto z mostu i szukałem w myśli oń czego możnaby zacząć rozmowę.

Dawniej pogoda dostarczała stałego do rozmowy tematu; teraz już o pogodzie mówić niemodnie; jej miejsce zajęła kuracya kuajpowska; zajmują się nią zarówno w pałacu, jak w chacie. I ja również zagadnąłem owego pana o skutki kuracyi ks. Kneipa. Ożywił się natychmiast i obuwszy coprędzej, siedł obok mnie, szeroko opowiadając o swem zdrowiu i ani przypuszczał, że go prowadzę do zamierzonego celu.

Staliśmy przed stajenką w skale wykutą; serce biło mi jak młotem, tak że zaledwie zdołałem wypowiedzieć: „Proszę pana, wejść tu ze mną na chwilę; nie pożałujesz tego.“ —

Usłuchał, choć niechętnie: a gdy już byliśmy za progiem, stanął zdumiony niespodzianym widokiem Najśw. Rodziny. Wziąłem go za rękę, i przyprowadziwszy do żłóbka, rzekłem cicho Boskiej Dziecinie: „Oto Ci przyprowadzam moją pierwszą zdobycz. Racz do niego jedno przemówić słowo, a przemienisz jego serce. Posiada on bogactwa, wpływy, władzę; może dużo zrobić dla Ciebie.“

Następnie zwróciłem się do owego pana i tłumaczyłem mu, dla czego Boskie Dzieciątko pozostaje w takiej nędzy i poniżeniu, dla czego zimno Mu tak dokucza. Następnie uczyłem, że mniej cierpieć będzie, gdy w sercach ludzkich zapanuje łaska i miłości Boża; i jak my nad tem pracować możemy, a jakie to dla nas szczęściem oddawać Bogu dobra, przez Niego nam dane, aby za ich pomocą zbawiać dusze muzkie, szerzyć znajomość i

miłość Bożą. Takim dziełem pełnionem w uczuciach szczerzego żalu, można najlepiej za grzechy odpokutować. Położyłem szczególny przycisk na ostatnim zdaniu, wiadomo mi bowiem było, że pan ten ma niejedno na sumie mu.

„Kto czyni wolę Ojca mego, ten mi jest ojcem i matką“ — wyrzekła Boska Dziecina, spoglądając przenikliwym wzrokiem w oczy tego grzesznika „sprawiedliwego.“

„Weź pan na własność to Boskie Dziecię“ — odezwałem się przyciszonym głosem — odpokutuj w ten sposób skryte twe grzechy.“

Sam się przeraziłem słów moich, nie wiem skąd mi się wzięła śmiałość, by je wypowiedzieć; ale tak mi było żal duszy tego człowieka; wiedziałem, że zostanie potępionym, jeśli się nie nauczy żałować za grzechy — a zrestą odwagi dodawała mi obecność Dzieciątka Jezus.

Odezwanie się moje źle jednak zostało przyjęte. Ów pan zaczerwienił się z gniewu i zawołał: „Nie jestem przecież pijakiem, ani graczem, ani oszustem, ani mordercą. Jestem dobrym mężem i ojcem rodziny; wychowałem odpowiednio moich dwoje dzieci. Co niedzielę chodzimy do kościoła, pościmy co piątek, dajemy przez to dobry przykład.“

Dla Ciebie, Panie Jezu, nic nie mogę uczynić, albowiem już bardzo dużo Ci dałem. Kupiłem na gwiazdkę dla żony i córek jedwabne suknie i kosztowne biżuterie; a każdej z córek dałem nadto sporą sumę pieniędzy na perfumy i inne drobnostki. Moje własne dzieci są dla mnie bożyszcami; jestem dobrym ojcem, i co dla nich czynię, to jakby dla Ciebie. Pomyśl, Boskie Dziecię, że byłoby to grzechem, gdybym chciał moim dzieciom odbierać część ich spuścizny; nie mogę zatem Ciebie adoptować. Wolno to uczynić ludziom, którzy nie mają dzieci, ani krewnych, których nikt na świecie nie kocha i którzy

też nikogo nie kochają. Znajdą się zapewne i tacy ludzie. Proszę Cię, Boskie Dziecię, spraw niechaj córki moje świetnie za mąż wydam, niechaj będziemy zawsze zdrowi, coraz więcej bogaci, i niechaj dożyjemy do stu lat.“

Mały Jezusek miał łzy w oczach, słuchając słów tego bogacza, a Matka Najśw. poprosiła, aby zamilkł, bo Jej Dzieciątko zmęczone. Pan ów wstał i odszedł obrażony. A ja pochyliłem się nad żłóbkiem i wyrzekłem: „Na pierwsze nie miałem szczęścia; ale nie tracę odwagi; innych tu jeszcze przyprowadzę, a może i ten sam biedak powróci lepiej usposobiony.“

I znowu poszedłem pomiędzy ludzi, wzbogacony błogosławieństwem Boskiej Dzieciny.

3. Przybrane dziecko (Boże Narodzenie 1894 r.).

W głębokiem pogrążony zamyśleniu szedłem przed siebie drogą po za miastem; przebiegałem w myśli znajome osoby, pytając się, czyby która z nich nie zechciała adoptować Dzieciątka Jezus. I nagle przypomniałem sobie pewne małżeństwo, niezmiernie bogate, bezdietne, nie mogło zatem wymawiać się troską o własne dzieci. Ich pobożność zostawiała wprawdzie niejedno do życzenia, ale ufałem, że poruszy ich widok Boskiego Dzieciątka. Nie myśląc, wiele skierowałem me kroki do dzielnicy, zamieszkałej przez ludzi bogatych; pałac wznosił się tam przy pałacu. Zatrzymałem się przed jednym, i pociągnąłem za błyszczący dzwonek. Za chwilę zjawił się służący we wspaniałej liberyi, z pewnem niedowierzaniem zmierzył okiem mój ubiór trochę zaniedbany, na którym pył i rosa poranna wspólne pozostawiły ślady.

Raczył jednak odebrać moją wizytową kartę, i za chwilę znalazłem się w salonie, urządzonym z wyszukaną elegancją. Na meblach pełno było wspaniałych haftów: widocznie pani domu jest pracowita i zręczna.

„Co za szkoda — pomyślałem — że swój czas i umiejętność tak marnym poświęca rzeczom.“

Wkrótce zjawił się pan radzca z żoną, i wszyscy troje zasiedliśmy na miękko wysłanych fotelach, rozmowę zaczynając od koniecznego pytania o zdrowie.

Pani radeżyni była trochę niezdrowa, a teraz nowy ma kłopot: oto choruje Morus i Miś, pies i

kotek, najmilsze ze wszystkich faworytów zarówno z powodu piękności, jaki i wzajemnego zgadzania się ze sobą. Miś nie wypił dziś mleka, a Morus pozostawił nawet pół kielbasy, nad wszystko ulubionej.

Zauważyłem, że zwierzątkom brak ruchu — i że spacer po za murami miasta dla obojga państwa byłby również bardzo zbawienny.

Przyznano mi słusność i razem wyruszyliśmy za miasto.

Ze względu na ociężałe tłuste zwierzęta, krok za krokiem posuwaliśmy się drogą, wśród pól wiodącą. Ciężko mi było na sercu. Jakże zdołam poruszyć tych ludzi! Z roztargnieniem odpowiadałem na zadawane pytania i wciąż biłem się z myślami, od czego tu zacząć.

Nagle spostrzegłem dwie złotowłose, śliczne dziewczynki, czarno ubrane, które wraz z towarzyszącą im boną siedziały na ławce w alei.

„Co za śliczne dzieci — zawołałem. — Widok dziecka wzrusza mię zawsze. Racście wybaczyć moją otwartość, łaskawi państwo, ale mi się zdaje, że daleko stosowniej oddawać swe serce dzieciom, albo w ogóle bliźnim, aniżeli czworonożnym faworytom. Tym sposobem możnaby przynajmniej pozyskać miłość i wdzięczność na ziemi, a nagrodę w niebie, a co to za zadowolenie dla serca, uszczęśliwiać drugih i tu i na wieki.“

Urwałem, sam zdumiony moją śmiałością. Państwo radzcostwo spoglądali na mnie ze zdziwieniem i oburzeniem. Ale nieprzewidziany wypadek odwrócił ich uwagę, a zarazem i burzę, wiszącą nad mą głową. Oto Morus spostrzegł dwie czarno ubrane dziewczynki, począł na nie szczeleć, a nawet rzucił się na jedną z nich i brudną łapką poplamiał i rozdarł jej sukienkę.

Wystraszone dzieci, wybuchły płaczem, pospieszyłem im na pomoc i odepchnąłem nieznosne psisko, zupełnie zapominając o jego właścicielach.

„Przeleżał się, moje biedne dziecko — rzekłem słodko do dziewczynki — i sukienka twoja podarta, a widzę, że inne jeszcze zmartwienie rani twe serduszko!“

„O tak — odparło biedastwo — Naszego tatę znaleziono niedawno w jego pokoju nieżywym, z rewolwerem w ręku. Na ten widok Mama zemdlą, potem chorowała długo, aż wreszcie i ona umarła; a dzisiaj, dzisiaj — dodała szlochając — dzisiaj mają ją pochować.“

„I musimy nasz dom opuścić — dokończyła druga dziewczynka. — Mama biedna tak się troskała, co się z nami stanie. Pewna znajoma pani kupiła nam te żałobne sukienki; co powie, gdy zobaczy, że Elżunia już swoją podarła! — Wysłała nas przed chwilą z Joanną na spacer, bo w domu ciągle płaczemy przy trumnie Mamusi.“

„Jak wam na imie, moje dzieci?“ — zapytała pani radczyni.

„Elżunia.“

„A ja Jadwisia.“

„Są to dzieci baronowej Lutzenstein — dodała bona. — Znajome panie umieszczają je na pensyi w klasztorze. Słyszałam, że mają już wkrótce odjechać.“

Radzca podał bonie sztukę złotą, z prośbą, aby kupiła dziewczynce nową sukienkę. Dzieci podziękowawszy oddaliły się, a my troje szliśmy dalej w milczeniu; aż wreszcie radzca rzekł do mnie:

„Mówiłeś pan, że dzieci sprawiają pociechę. Kilkoro dzieci, to dla nas, nie przyzwyczajonych do hałasu, byłoby trochę za wiele, ale jedno dziewczątko dobrze wychowane mieć tak dla rozrywki i zapełnienia czasu, to wcale niezła myśl.“

„Tak, tak — dodała pani radczyni — ale koniecznie dziewczynka. Młode panienki stanowią zdobę domu rodzinnego; a jak to miło, gdy się podobają, gdy je chwala. Chłopca to ani wystroić nie

można. Chciałabym mieć dziewczynkę, ale z dobrej rodziny. Ta mała, której Morus podarł sukienkę, zdaje mi się zupełnie odpowiednią; mądry pies jakby już przeczuwał w niej rywalkę, i dla tego ją zaczepił. Nie jest to bez znaczenia.“

„Wistocie, wpadłaś na dobrą myśl, moja kochana — odparł pan radzca. — Przyjdzie z pomocą tym dzieciom, należącym do ogólnie znanej rodziny, będzie w świecie dobrze widziane i zjedna nam uznanie.“

„Ależ moi państwo — zawołałem przestraszony tą propozycją — zapominacie, że już się zaopiekowano temi dziećmi, i że miano je oddać na pensyę klasztorną. Zakonnice wychowają je troskliwie i mądrze, a później już samodzielnie dadzą sobie radę i przejdą przez życie.“

Pan i pani spojrzeli na mnie równocześnie z prawdziwym politowaniem, a w ich oczach mogłem łatwo wyczytać, co o mnie myśleli: „Jakie głupstwo, porównywać nędzne i z łaski udzielone wychowanie klasztorne ze stanowiskiem naszego przybranego dziecka.“

Nie dałem jednak za wygraną, ale mówiłem dalej: „Sądzicie państwo, że to szczęściem dla dziecka przyzwyczajając je do wygód i przyjemności, jakie majątek dać może. Wątpię jednak bardzo, czy to się przyczyni do jego prawdziwego szczęścia. Mnie-mam przeciwnie, że daleko pewnej uszczęśliwi je życie czynne i pracowite, z nieodłącznemi troskami i rozrywkami — a zwłaszcza utrwalenie w sercu zasad prawdziwie katolickich, o co zakonnice usilnie starać się będą. Zresztą, to co dla tych dzieci przeznaczono, najzupełniej im wystarczy, a państwo możecie swoim majątkiem uszczęśliwić nie jedno, ale bardzo, bardzo wiele biednych dzieci. O bogatą dziedziczkę dobijają się zazwyczaj łowcy posagów. Tym się zawsze zdaje, że jeszcze za mało dostali i nie mogą się doczekać śmierci rodziców żony, a



O. Ryszard Henle.
zamordowani przez pągan w Czartkaczuang (połud.) 1 50 listopada 1897.



O. Franciszek Nies.

nawet i jej samej, aby cały odziedziczyć majątek. Pytanie zatem wielkie, czy zdołacie państwo uszczęśliwić nawet i to jedno przybrane dziecko; a idąc za moją radą, moglibyście dla bardzo wielu prawdziwe zgotować szczęście.“

„Masz pan dziwne poglądy — odparła radczyni z miną mocno niezadowoloną. — Przyjmując obce dziecko, pragnę nasamprzód własnego zadowolenia, a pan mi ciągle powtarzasz o uszczęśliwieniu innych. Za moje pieniądze przecież mi wolno najprzód sobie zrobić przyjemność. Łowcy posagowi też mię nie straszą; są to fantazyje i przypuszczenia bez żadnej podstawy.“

Widząc tak oczywisty zły humor obojga radcostwa, przykro mi się zrobiło: to też porzucając przedmiot rozmowy, starałem się na nowo, dobrze ich usposobić. A czas już był po temu, zbliżaliśmy się bowiem do grotty, w której spoczywało Boskie Dzieciątko.

Blask niebiański przedostawał się z grotty aż na zewnątrz przez szpary drzwi, źle dochodzących.

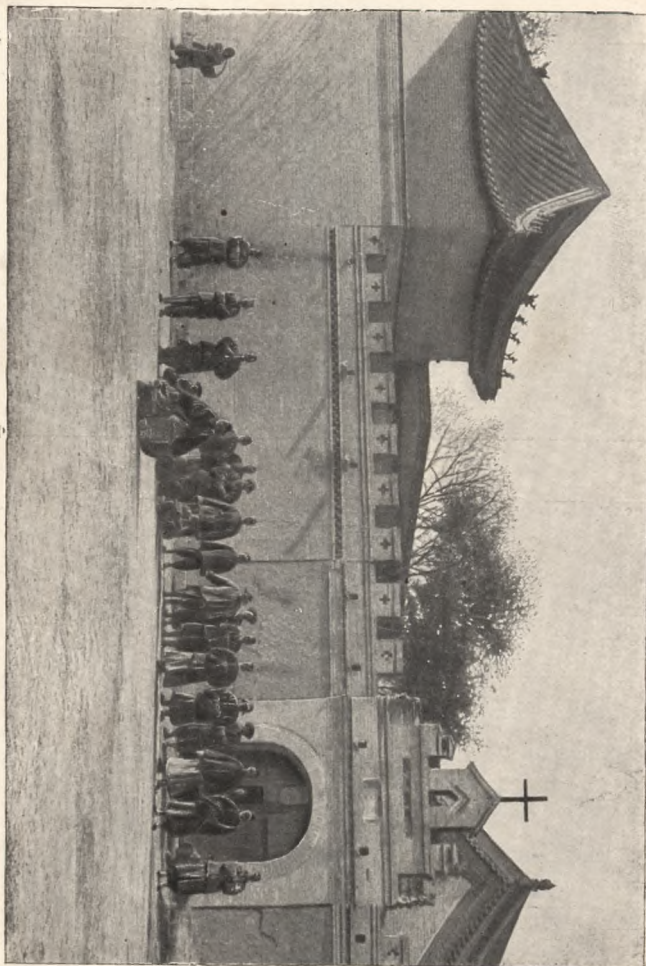
„Moi państwo — rzekłem trochę z obawą — wstąpcie ze mną na chwilę do tej grotty; jest tam Dziecina, tak piękna i można, jak drugiej nie znajdziecie.“

„Możne dziecko tu, w tej stajence, to dziwne doprawdy.“ — Zaciekawieni jednak, mąż i żona weszli za mną; i oto za chwilę ujrzelśmy Najśw. Pannę, klęczącą przy żłóbku i tchnieniem swoim ogrzewającą skostniałe członki Boskiego Dzieciątka.

Na nasz widok usunęła się, by nas do żłóbka dopuścić, a uczyniła to dla tego, ponieważ mówiła sobie. „Boskiego mego Synaczka porodziłam dla całego świata, każdy z ludzi ma prawo do Niego, i każdy może i powinien być Mu ojcem i matką.“

Inna matka byłaby może przypuściła do serca uczucie zazdrości, tak każda inna, ale nie Marya.

Idźcie na cały świat.



Kościółek misyjny obok mieszkania misjonarza w Czantja, poind.
(Na tej stacyi zamordowano O. Nies i O. Henle dnia 1 go listopada 1897 r.)

Ona tylko pragnęła, aby Go ludzie miłowali i byli przez Niego kochani, — wiedziała, że i Ona nie zostanie ukrzywdzoną.

Oczyrna duszy widziałem Serce Boskiego Dzieciątka, Jego Matki Najśw. i św. Józefa, tak wielkie i szerokie, podczas gdy serca ludzkie są ciasne i zimne, a widok ten przejął mnie żalem niewypowiedzianym, współczuciem, miłością.

Ukląknę przy żłóbku i szeptałem małemu Panu Jezusowi: „O Panie mój, ludzie nie znają, nie kochają Ciebie, ale spuść na nich łaskę Twoją, racz ich światłem obdarzyć, skrusz i rozpal ich serca.“ —

„Spełnię twą prośbę — odparła cichutko Boska Dziecina — ale i największa łaska może być odrzuconą, wzgardzoną: nie chcę bowiem ograniczać wolnej woli człowieka.“

Usunąłem się w głąb stajenki, i z tamtąd widziałem jak z Serca Jezusowego wytrysnął promień łaski i ogarnął serce radczyni, a pod jego działaniem prysła lodowa powłoka, otaczająca to serce, i roz płynęła się we łzach miłości. Oświecona światłem niebieskiem, dumna pani poznała, że to biedne Dziecko jest jej Bogiem i Zbawicielem.

Przeżyła już na świecie lat 45, a dotąd wcale się nie troszczyła o Tego, który ją dla siebie stworzył, od którego pochodzi wszystko co posiada; jej serce nie biło dotąd dla Tego, który ukochał ją od wieków. Była otoczona blaskiem, przepychem i wygodą, jakie tylko bogactwo dać może, a tu w nędznej stajence, ubogi, bezradny, spoczywał Zbawiciel, położony na odrobinie siana. Jej psy i koty spoczywały na miękkich poduszkach, w ciepłych pokojach — doprawdy zajmowały w jej sercu pierwsze miejsce przed Panem Bogiem — a Bóg jednak ją kochał i chciał ją zbawić!

Te wszystkie myśli wstrząsnęły sercem radczyni; do żywego poruszona, upadła przy żłóbku na kolana, wołając: „Racz mi przebaczyć, o Boskie Dziecię, odtąd

już Ciebie tylko pragnę miłować. Chciałabym, abyś zostało mojem przybranem dzieckiem i jedynym spodkobiercą. Ale, Ty wiesz, że to nie zależy ode mnie samej, racz więc poruszyć serce mego męża, tak samo jak moje poruszyłeś.“

Dziecię Jezus odparło jednak z bolesnym uśmiechem: „Mąż twój w tejże samej chwili odebrał bogaty strumień łaski, ale wzgardził nią. Jego przyjaciele, wolnomularze, śmialiby się z niego, i prześladowali, a to mu się zdaje ceną zbyt wysoką na okupienie wiecznej szczęśliwości, posiadanie Boga samego.“

Spojrzałem na radcę. Stał przy samych drzwiach, na wzór owych panów, którzy to nie lubią długo pozostawać w kościele, i coprędzej pragną się z niego ulotnić. Toczył właśnie w sercu walkę wewnętrzną, ale niestety zwycięstwo nie przechyliło się na stronę dobra i łaski Bożej. —

„Nie mogę — mówił do siebie — doprawdy nie mogę. Usłuchałbym może, gdyby nie to, że dotąd byłem przewodzącą ludzi, nie chcących nic wiedzieć o Panu Bogu, i gdybym nie należał do związku wolno mularzy! Pragnę jednak zachować zewnętrzne pozory religijności; bo w przeciwnym razie Pan Jezus mógłby mię ukarać i zesłać na mnie jakie nieszczęście.“

Tak myślał ów biedny bogaty człowiek!

Radczyni tymczasem oblewała łzami ręce i nogi Dzieciątka Jezus, gorącemi okrywała je pocałunkami i pytała: „Powiedz o Jezu, co mogę dla Ciebie uczynić?“

Wtem wszedł do stajenki czternastoletni chłopczyzna i ukląkł przy żłóbku. Twarzyczka jego była pełna inteligencji, a oczęta patrzyły tak smutnie, gdy całując nogi Boskiej Dzieciny, wyszeptał: „O Panie Jezu, jakże poganie byliby szczęśliwi, gdyby poznać Cię mogli.“ — Oto Boskie Dziecię wyciągnęło z żłóbka swe drobne rączęta i biorąc dłoń

chłopca, podało ją bogatej pani, mówiąc: „Weź tego chłopca i wychowaj go na księdza i misjonarza, a zanieś on w dalekie krainy moją naukę i miłość moją, i roznieci światło moje tam, gdzie dotąd niestety panują cienie grzechu i niewiedomości.“

A ty będziesz uczestniczyć w tem dobrem, które on czynić będzie, a które rozszerzy się coraz dalej i dalej; będziesz miała udział we wszystkich jego zasługach, trudach i pracach, i z nieba dopiero zobaczysz, jak bogate zbierzesz żniwo z plonu, dziś zasianego.

„Chętnie, chętnie bardzo uczynię to, o Jezu“ — zawołała radczyni, a jej serce zalała radość tak wielka. Jakiej dotąd jeszcze nigdy nie doświadczyła. Miała zostać matką misjonarza, ona która dotąd o siebie tylko dbała, pieściła tylko psy i koty, a przed chwilą chciała z przybranego dziecka tylko dla siebie uczynić zabawkę!

Dziecię Jezus pobłogosławiło bogatą panią i biednego chłopca; Matka Najśw. rękę swą na ich złożyła głowie, a św. Józef łaskawie się do nich uśmiechnął.

Tymczasem radca zbliżył się majestatycznie do złóbka i kłaniając się głęboko, wyrzekł: „Słyszałem za młodu, że miałeś o Panie wyrzec: Ktokolwiek przyjmie jedno z tych najmniejszych w imię moje, mnie przymuje. Otoż przed chwilą poznałem biedną sierotę i przyjmę ją za córkę i uczynię spadkobierczynią mego ogromnego majątku. W ten sposób czynię bezwątpienia bardzo dużo, bo wszystko co posiadam, ostatecznie Tobie ofiaruję, w Twoim imieniu przyjmując to dziecko.“

Zdumiony byłem przewrotnością i śmiałością tego człowieka, który zaspokojenie własnych namiętności odważył się nazwać dobrym uczynkiem i zasługą, dla Pana Jezusa poniesioną.

A Jezus mówił: „Nagości i ubóstwa mego nie pokrywajcie tem, że innego uczynicie bogatym. Moje słowa umyślnie źle tłumaczycie, to też nie mogę dać wam nagrody, jakiej się spodziewacie. Serce twej żony zostało przez łaskę poruszone, nie przeszkadzaj jej w spełnieniu dobrego uczynku, inaczej kara spotkać cię może.“

Radca pochylił się i wyszedł coby prędzej ze stajenki. My jednak pożegnaliśmy się czule z Najśw. Rodziną, unosząc w sercu wesele niebiańskie.

Radca udał się na pogrzeb baronowej Lutzenstein, a my z chłopcem skierowaliśmy się w stronę miasta.

„Skąd ci przyszło na myśl, mój chłopcze — zapytałem — wyrazić twą prośbę Panu Jezusowi słowy: Paganie pragną Cię poznać?“

„Od dawna już, odparł chłopiec, pragnę, zostać przyjętym do domu misyjnego w Neuland i zdawało mi się, że to pragnienie nie mogło być gorętszem. Ale w uroczystość św. Andrzeja, szczególnego patrona domu, gdy z rodzicami udałem się tamże na uroczyste nabożeństwo, moja chęć zostania misjonarzem jeszcze się wzmogła. Ojciec Rektor miał kazanie i mówił, jako św. Andrzej pierwszy przyprowadził pogan do Boskiego Zbawiciela, a twierdzenie swe opierał na słowach św. Jana w rozdziale XII od 20—23 wiersza, gdzie czytamy: „A byli niektórzy poganie z tych, którzy przyszli byli, żeby pokłon uczynili w dzień święty. Ci tedy przyszli do Filipa, który był z Betsaidy Galilejskiej, i prosili go, mówiąc: „Panie, chcemy Jezusa widzieć. Szedł Filip i powiedział Andrzejowi. A Andrzej zaś i Filip powiedzieli Jezusowi.“ — Andrzej przyniósł zatem Panu prośbę pogan: „Chcemy Jezusa widzieć.“

Odpowiedź Pana Jezusa brzmiała: „Przyszła godzina, aby był uwielbion Syn człowieczy.“

Św. Andrzej i wszyscy Apostołowie uwielbiali Pana Jezusa głoszeniem Ewangelii, przykładem swego życia, pracą apostolską, a wrzeczcie cierpieniem i śmiercią. O. Rektor mówił dalej, że u każdego misjonarza, żywym jest pragnienie śmierci męczeńskiej dla swego Zbawiciela; a przy tych słowach i w mem sercu tego samego doznałem. I wszystkie me uczucia i pragnienia, aby Pana Jezusa dać poznać, aby Go wysławiać i położyć zań życie moje, wylało się przy żłóbku Dzieciątka Jezus w słowach: Paganie pragną Cię poznać. Serce moje było zbyt pełnem, abym mógł więcej mówić, a Pan Jezus zrozumiał, co chciałem powiedzieć.“ —

„Co za dziecko — powiedziała radczyni, gładząc kędzierzawą głowę chłopczyny — dumną jestem z takiego syna.“

„A ja także jestem szczęśliwy, że znalazłem tak dobrą matkę. I nigdy z pewnością nie będę dla niej niewdzięcznym; zawsze, przez całe życie modlić się za nią będę.“

„Niech ci to Bóg nagrodzi, drogie dziecko. To co zowiesz dobrodziejstwem, stanowi dla mnie największą przyjemność, i gdyby tylko ode mnie zależało, dałabym ci jeszcze wielu, wielu towarzyszy.“

Kilka zaledwie dni upłynęło, a oboje z radczynią znaleźliśmy się wczesnym rankiem w kaplicy klasztornej. Wszyscy mieszkańcy domu byli już zebrani na porannej modlitwie i na rozmyślaniu, tak pięknem i wzruszającym. Moja towarzyszka wzruszona i pełna skrucy zbliżyła się do konfesyonału.

Po nabożeństwie podejmowano nas bardzo uprzejmie w rozmownicy klasztornej. Radczyni milczała, serce jej było zbyt przepełnione, a łzy szczęścia błyszczały w oczach.

Opuściliśmy wreszcie ten dom błogosławiony, którego zadaniem szerzyć zbawienie i błogosławieństwo. Radczyni przyrzekła Ojcom, że wychowa tego

chłopca, nadto złoży kapitał, którego procenta wystarczyłyby przynajmniej na utrzymanie dwóch biednych wychowalców. Gdyby nawet jej mąż nie pochwalał tego zamiaru, to jednak ufa, że nie sprzeciwi się udzieleniu summy, tak małej w stosunku do ich majątku. —

Po raz ostatni rzuciliśmy wzrokiem na ten dom pokoju i modlitwy, na figurę św. Andrzeja, wieńczącą bramę wchodową. „Paganie pragną Cię poznać“ — powtórzyła pół głosem moja towarzyszka. „Tak — odrzekłem — św. Andrzej o to samo błaga teraz za nas przed tronem Boga, i ufam, zostanie wysłuchany, zarówno jak przed 18 tu wiekami. A w szczególny sposób dla domu misyjnego sprawdzą się słowa: Venit hora ut clarificatur Filius hominis. Przyszła godzina, aby był uwielbion Syn człowieczy.

4. W Ogrodzie Oliwnym (W poście 1894).

Siedziałem na mem zwykłym miejscu przed biurkiem, szukając w myśli tematu do tygodniowej pogadanki, z którą spieszyć należało. Ale czy to z winy influenzy, która mię dotknęła swą ręką ołowianą, czy dla tego, że przez kilka dni z rzędu pracowałem po nocach, i teraz sen upominał się o swe prawa; dość, że nic odpowiedniego znaleźć nie mogłem, i coraz niżej pochylałem głowę — aż wreszcie senność zmorzyła mi powieki, tak dalece, że śnić nawet zacząłem. —

W marzeniu widziałem się przy tem samem starem biurku; kilka świętych obrazków, po części pamiątki lat młodych, wisiało na ścianie, zupełnie, jak przed chwilą, tylko wszystko wydało mi się jakieś starsze, ciemniejsze.

Machinalnie podniosłem rękę do głowy, ale co to znaczy! w dotknięciu poczułem zaledwie kilka miękkich włosów, a na dłoni pozostał włoszek jeden, słabe widać bardzo mający korzenie, i siwy do tego. Miałem wprawdzie już kilka siwych włosów; ale czyżby wszystkie miały zbieleć od razu? W tej niepewności obejrzałem się za kawałkiem rozbitego lusterka, spojrzałem weń, ale o mało nie krzyknąłem wystraszony. Czyż to ja mam być naprawdę tym starcem o rzadkich siwych włosach, o jakie dwadzieścia lat naprzód posuniętym.

„Tak to już naprawdę ze mną daleko“ — pomyślałem, i aby się upewnić, począłem szukać porannej gazety. Leżała na kałamarzu zaschłym, jakby mało

używanym. Wziąłem gazetę do ręki, ale ta ręka tak drżała, że gazetę zaledwie mogłem utrzymać. Rzecz oczywista, że i pisanie z trudnością przyjdzie tej biednej ręce. Nigdy nie mogła się zdobyć na czytelne pismo, i u zecerów zawsze zażywała złej opinii, ale obecnie to już pewnie zupełnie zastrejkowała. Nie, ta ręka już pracować nie może; należy ustąpić młodszym siłom; zestarzałem się na dobre.

W tej chwili spojrzenie moje padło na bierzącą datę gazety; ale wierzyć nie chciałem własnym oczom, i aby lepiej zobaczyć, coraz dalej odsuwałem gazetę, zupełnie tak jak czynił na starość nieboszczyk mój ojciec. Nie myłę się jednak: stoi tam wyraźnie 10 Marzec 1919 r.

Długo w milczeniu przypatrywałem się tej liczbie. Następnie przypominałem sobie datę urodzenia, liczyłem lata, upłynione od tego czasu, i cieszyłem się, że ich koniec już niedaleki. Doświadczyłem bowiem na sobie, tego, co tak często powtarzamy w pieśni „Witaj Królowo“ a mianowicie, że ziemia jest padołem płaczu. —

„Teraz już koniec wszystkiego złego — pomyślałem — Panie Jezu, zmiłuj się nade mną.“

Wszakże Pismo św. nawet mówi, że lata ludzkie mogą dojść do 70 ciu albo 80 ciu najwyżej — a co nad to, słabość i zgrzybiałość. Doświadczenie życiowe tegoż samego nas uczy.

„Supporter la vie, désirez la mort.“ Znoście życie, pragnijcie śmierci — mówi francuzkie przysłowie. Pierwszą część, to jest „znoszenie życia“, miałem już prawie po za sobą, teraz na śmierć cieszyć się należało. Rzecz jednak dziwna: chciałem się cieszyć, a tu łzy cisną się do oczu, po części jako wspomnienie minionych cierpień i krzyży, po części z rozrzewnienia, że bliską już chwilą rozstania, nawet i w starszym wieku tak smutna; po części i

ły obawy przed sądem Bożym. O bo to rzecz straszna, sąd Boga samego.

Pewna pobożna osoba ujrzała raz podczas widzenia wiele dusz stojących przed sądem Boga; a wszystkie na szali sprawiedliwości okazały się zbyt lekkie. Aż wreszcie przyszła dusza, pchająca przed sobą całe paki dobrych uczynków. Osoba, która miała to widzenie, ucieszyła się, mniemając na pewno, że ta wreszcie dusza, wytrzyma próbę sądu. Ale jakże się przestraszyła, gdy owe paki dobrych uczynków, położone na wadze, okazały się lekkie jak piórko, nie miały żadnej dla nieba ceny, były bowiem spełniane albo w stanie niełaski, albo też wbrew woli Bożej.

O tem widzeniu myślałem często w życiu nie bez trwogi, a niemniej i o owych słowach św. Bernarda, który mówi: „Zdanie Pisma św., że nikt nie wie, ażali godzien jest miłości, czy nienawiści — przejmuję mię taką trwogą, że krew krzepnie mi w żyłach, a włosy powstają na głowie.“

I duszą moją podobne miotają uczucia, aż uklęknąłem przed krzyżem, całowałem rany Chrystusowe, wołając z głębi serca:

„O mój Boże, ufam niezachwianie, że dla zasług Pana Jezusa raczysz mi grzechy przebaczyć i udzielić żywota wiecznego, sam mi to bowiem obiecałeś, Boże wierny i wszechmogący; spraw, niechaj ufność moja nie będzie zawiedziona. Amen.“ —

Po tej modlitwie wstałem spokojny i umocniony na duchu. Wzrok mój padł znowu na ową datę 1919, wypisaną na nagłówku gazety. Od roku 1894 ileż to rzeczy zmienić się musiało. Wziąłem dodatek „Katolicka gazeta pismo rodzinne“, w którym dawniej drukowałem moje pogadanki. Na miejscu mego skromnego pseudonimu „bajarza“ jaśniało nazwisko jakiegoś uczonego. Upłynęło całych lat 25; młode siły były teraz u steru, a starzy mogli wypoczywać.

Wypoczywać? Nie, do tego nigdy czasu nie ma, bo gdy czas wypoczynku się zbliża, to równocześnie i wielka godzina ostatecznego obrachunku, i wtedy właśnie mówić sobie należy: „Zbieraj siły, czyni, co ci podobna, bo wkrótce nastanie noc wieczności, podczas której nikt już działać nie może.“ —

W ówczas pod koniec 1893 r. opowiedziałem czytelnikom sen nocy Bożego Narodzenia. I cóż się stało z ludzmi, o których tam wspominałem?

Może się o tem dowiem, wychodząc na miasto. Chwytam więc za łaskę, kapelusz, szukam płaszcza; ostatnie spojrzenie rzucam przez okno. Ale cóż to? to nie jest ten sam stary dom, który zawsze widziałem z mego pokoju, i cała okolica tak inna, widocznie nie jestem w tem samym, co dawniej mieście.

Noc była ciepła, srebrzysto jasna, prawdziwie wiosenna. Nie zwłóczyłem dłużej, ale schodząc poczułem, że nogi zesłabły, nie chcą mię nosić jak dawniej; pamiętam, jestem przecież zgrzybiałym starcem.

I tak idąc powoli śródnocy księżycowej, myślałem o świętym czasie postu, podczas którego właśnie się znajdujemy. o cierpieniu Chrystusowem, obecnie tem żywiej przypominającem się sercom naszym.

Wkrótce jednak tchu mi zabrakło; spocząłem na chwilę na ławce, patrzę, idzie ku mnie starzec pochylony, na kiju oparty. „Ależ to Pan N. N. — zawołałem — witam pana, nie widzieliśmy się tak dawno.“

Patrzył na mnie długo, aż wreszcie zawołał ze łzami w oczach i drżącym głosem: „O poznaję pana, jakże często myślałem o panu i byłbym chciał, jak niegdyś pojsć z nim do stajenki Dzieciątka Jezus!“

Byłem głupcem, to mało, byłem zbrodniarzem, nie chcąc zaadoptować Boskiej Dzieciny, aby nie uszczuplić majątku własnych dzieci. Ale ten brak miłosierdzia został srodze ukarany. Widzę teraz, że nie dopełniłem świętego obowiązku, że dobra moje

były mi przez Boga tylko pożyczone, a ja byłem szafarzem złym i niewiernym. To co odmówiłem Boskiemu Dzieciatku — to straciły i zmarnowały moje córki i moi zięciowie, a ich samych już nie ma na tym świecie. Jedna uciekła z mężem do Ameryki, zrabowawszy moją kasę: statek zatonał i oboje śmierć znaleli w głębi morza. Druga, której mąż został wtrącony do więzienia; w obec grożącej hałby i nędzy, nie umocniona żywą wiarą, na własne tar-gnęła się życie

Spieniżyłem co było w domu, i z tych resztek żyję nędznie, ale i to skończy się wkrótce. Rozpacz targa mem sercem, a łyżę są moją strawą codzienną. Dni moje już policzone na ziemi, i cóż mię czeka? — piekło, bo już nie ma dla mnie przebaczenia. Mam teraz ciągle przed oczyma Boskie Dzieciatko i przypominam sobie, jak Je w ówczas okrutnie ode-pchnąłem, a Ono przecież na to tylko przyszło na ziemię. aby nas zbawić, a od nas żąda tylko szczerzego żalu i miłości. — Tak, dla mnie już nie ma nadziei!“

Nie mów tak, drogi przyjacielu. Pan Jezus i teraz jeszcze równie chętnie cię przyjmie jak niegdyś, jeśli ze skruczą prawdziwą zwrócisz się do Niego.“ —

„Teraz mam ufać, teraz, gdy moje dzici wycho-wałem dla piekła, gdy cały straciłem majątek, zmarnowałem całe życie. Teraz w ostatniej godzinie mogę jeszcze powrócić? Nie byłoby to poczytane za wynik obawy. Nie, teraz nie mogę już powrócić.“

„Tak mój przyjacielu, skoro prędzej tego nie uczyniłeś, to teraz, teraz zaraz, póki nie zapóźno.“

„Już nie mam, cobym Panu mógł oddać.“

„Przeciwnie masz jeszcze rzecz jedną, którą dać Mu możesz: oto serce skruszone i miłujące. Nic więcej od ciebie nie żąda, bo oddając twe serce, wszystko Mu dajesz.“

Pan N. N. zamyslił się, a wreszcie odrzekł:

„Nie, nie mogę; na samą myśl o tem, aby iść do spowiedzi, pot zimny występuje mi na czoło.“

„Kapłan panu wszystko wyrozumie i ułatwi.“

„O Boże — odparł pan N. N., pomimo chłodu nocnego ocierając pot z czoła — nie, nie mogę wszystko, tylko nie to. A zresztą, gdy już trzeba koniecznie to pojdę, ale tylko w ówczas, gdy dużo ludzi będzie do spowiedzi. Ksiądz nie będzie miał czasu mną się zająć i jakoś to pójdzie.“

„O te spowiedzie całych tłumów, gdy każdy ciśnie się i spieszy, to nasze największe nieszczęście; dla iluż były one powodem wiecznego zatracenia.“

Tak rozmawiając, zesłiśmy z pagórka i prze-chodziliśmy obok trzech mężczyzn, na łące leżących i głęboko uśpionych.

Tuż obok wznosiła się prostopadle wysoka skała. a u jej stóp klęczała postać ludzka, nisko ku ziemi pochylona. Ręce miała na piersi złożone, a z czoła spływał pot krwawy, jakiego dotąd nigdy nie wi-działem.

Zdumieni, przerażeni stanęliśmy obaj z panem N. N. Nagle zrozumiałem, kogo mamy przed sobą. i wyszeptalem do mego towarzysza: „To Pan Jezus.“ I obadwaj padliśmy na kolana; oddając Mu hołd czci i miłości.

Wtedy ujrzałem mego Anioła Stróża, o którego obecności niestety tak często zapominamy, i sły-szałem jak mówił: „Pan Jezus teraz właśnie drę-czony jest trwogą śmiertelną za grzeszników, którzy nie chcą odbyć dobrej Spowiedzi św. Tylu już ludzi spowiadało się, a tylu świętokradzko, nieważnie. Przyszli dla oka ludzkiego, jedni bez żalu za grzechy i szczerzego postanowienia poprawy; inni nie wyznali wszystkich grzechów. Nie chcą się dobrze wyspo-wiadać, ani życia poprawić, a patrz jak Jezus cierpi!“

Na chwilę danem mi było przejrzeć wewnątrz duszy Jezusowej. I mogłem zobaczyć niewypowie-

dzianą Jego boleść i trwogę o dusze, które nie chcą się nawrócić, albo się wstydzą dobrze wypowiadać. A ten widok cierpienia Jezusowego tak był straszny, że o mało nie pozbawił mię przytomności. Byłbym upadł, gdyby nie Anioł Stróż, który mię powstrzymał. Spojrzałem na mego towarzysza. Jakby skamieniały, nie mógł oderwać oczu od cierpiącego Zbawiciela. Trwoga śmiertelna malowała się na jego obliczu; widocznie i on miał to samo, co ja widzenie. I ujrzałem jak jego Anioł Stróż zbliżył się nieśmiało do Pana Jezusa, zebrał jedną kroplę krwawego potu, i tą kroplą uczynił krzyż na czole starca.

W tejże samej chwili rysy jego zupełnie inny przybrały wyraz: rzekłbyś odwaga i nadzieja powracają do jego duszy.

„Spiesz się — rzekł mu Anioł — nawróć się do Pana, nie ma czasu do stracenia; ostateczna twoja godzina już blisko.“

A mój Anioł Stróż szepnął mi do ucha:

„Weź go ze sobą, opiekuj się nim.“

I nisko pokłoniliśmy się Panu Jezusowi; nie śmiejąc zbliżyć się do Niego, podczas gdy modlił się i cierpiał. Jezus spojrzał na nas jednak z miłością i współczuciem, czem do głębi wzruszeni, podążyliśmy tak szybko, jak tylko stare lata nam pozwalały.

Zaprosiłem do siebie mego nowego przyjaciela. Dzień następny był dniem radosnym odrodzenia jego duszy, obmytej z grzechów na św. spowiedzi. Uszczęśliwiony powrócił z kościoła i wspólnie sławiliśmy dobroć Bożą. W dwie godziny później zasnął nagle; złożyłem go cpo prędzej na łóżku, ale zaraz spostrzegłem, że śmierć się zbliża.

Uśmiechał się do mnie, pełen wdzięczności; podany krzyżyk do ust przyciskał, szepcząc: „O czemuż poznałem Go tak późno, czemu tak późno ukochałem! O czemuż muszę stawąć przed Nim

tak ubogi, wszelkich pozbawiony zasług! — O Jezu, porusz serca, aby uczyniły to, co ja zaniedbałem, aby lepiej użyły łask, z których nie korzystałem, dóbr ziemskich, które roztrwoiłem. Tyś mi dał całe życie, a ja Tobie ledwie jedną godzinę.“ —

Pełen głębokiej skruchy, pocałunkami okrywał swój krzyżyk, jeszcze raz powtórzył najśłodsze Imię Jezusowe i cicho oddał Bogu ducha.

5. Pobożna Pielgrzymka w roku 1917.

Śmiertelne szczątki pana N. N., spoczęły już w ziemi: nazajutrz po pogrzebie spieszyłem na cmentarz, aby się pomodlić za jego duszę. Nagle do moich uszy doleciała poważna i piękna melodia, pieśni „Stabat Mater“, przez wiele zgodnych śpiewana głosów, i ujrzałem nadchodzący cały zastęp ludzi, różnego wieku i stanu. Na przodzie niesiono krzwy i chorągwie z wyobrażeniem Matki Bolesnej i św. Józefa.

Widok ten ucieszył mnie i zachwycił; rzekłem sobie: Pójdę, i ja za nimi. Matka Bolesna była mi zawsze na krzyżowej drodze życia prawdziwą matką; gdzie tylko ujrzałem Jej wizerunek, cieszyłem się jak dziecko, gdy zobaczy obraz swej matki i dowie się, że ją i drudzy czczą i kochają. Pod opieką tej najlepszej Matki pragnę przeżyć i resztę dni moich, to też jakby pociągnięty magnetyczną siłą, podążyłem za Jej chorągwią. A kochany św. Józef! Nież Mu zawdzięczam! Jakże często przychodził mi z pomocą w sprawach, mających wprawdzie na celu wieczyste dobro, potrzebujących jednak i doczesnej pomocy. Pośród burz żywota obok wizerunku Matki Najśw., przyświecała mi zawsze postać Jej czystego Oblubieńca. A teraz, gdy tak widocznie chyłę się do grobu, tem więcej powinienem chcieć się do św. Józefa, patrona dobrej śmierci.

Przyłączyłem się zatem do pobożnego orszaku, nie wiedząc nawet dokąd zmierza. Chciałem o to zapytać sąsiada, ale wszyscy byli tak skupieni, że nie śmiałem przerywać im modlitwy. —

W miarę jak się rozpatrywałem, coraz nowe dostrzegałem szczegóły, a mianowicie, że każdy z owych ludzi niósł krzyż osobny, własny. Krzyże nie były równe — jedni mieli większe, może dla tego, że mniej ciężkie pomimo rozmiarów, albo też, że ci co je niesli, większą siłą byli obdarzeni — bo nie zdawali się nawet cierpieć najwięcej. Natomiast ludzie, których krzyże były ledwie dostrzegalne, a nawet zupełnie przysłonięte, z trudem poruszali się pod ich ciężarem.

I gdy tak patrzałem na krzyże tych ludzi, danem mi było rozpoznać ich cierpienia i wnętrza każdej duszy.

Był tam pewien proboszcz, bardzo godny i pobożny kapłan: od niedawna objął on zarząd parafii, w której panował duch bardzo niedobry, a pocucie religijne zupełnie zamarło. Wiedział o tem, ale właśnie dla tego tam się zgłosił. Dochody parafii były szczupłe, nikt się też o nią nie ubiegał; ostatecznie postanowiono tam pierwszego lepszego księdza, którego przykład i działanie nie rokowałoby wielkich dla parafii nadziei.

Nasz kapłan był tak szczęśliwy; dawno już żaden krzyż cięższy go nie uciskał. To go niepokoiło, zgłosił się zatem po owe, tak źle osławione probostwo.

Nie chciano wierzyć, że ktoś mógł się starać o to stanowisko, i to jeszcze nie byle kto.

Nikt mu w drodze nie stanął, wkrótce też objął swe urządowanie.

Instalacya odbyła się bardzo cicho; zaledwie kilka osób pospieszyło z powitaniem, a byli to najpobożniejsi ludzie parafii. Rzadko bowiem można spotkać jaką gminę, jaką miejscowość, w której wśród ogólnego zepsucia nie byłoby choć kilku dusz Boga miłujących; one to wstrzymują karzącą Boga prawicę i dla wszystkich wyjednują zmiłowanie. —

Pobożny kapłan wiedział, że miłość wszystko wierzy, wszystkiego się spodziewa, wszystko zniesie,

wszystko przewycięży — ale jego wszystko zawodziło, i wkońcu już wierzyć poczynął, że bywa złość i bezbożność tak wielka, w obec, której staje się bezsilną nawet i miłość, pełna największego poświęcenia.

Szukał krzyża, i oto go miał, ale tak ciężki, że mu w nocy sen odbierał, a za dnia nie dawał chwili wytchnienia.

Czyż miał uciec przed nim? O nie! Chciał wytrwać i jednej jeszcze szukać ucieczki. Marya, Matka Bolesna, opiekunka grzeszników, nieszczęśliwych i uciśnionych, Ona mu pomoże!

Z kilku zatem pobożnymi katolikami parafii postanowił odbyć pielgrzymkę, aby uprosić łaskę nawrócenia dla swych zbłąkanych owieczek.

Pomiędzy duszami, które przyłączyły się do niego, trzy zwłaszcza zauważyłem: delikatną, słabą kobietę, żonę niedobrego człowieka, własnym tylko oddanego namiętnościom. Zaniedbywał on swą rodzinę, na barki żony składał całą troskę o utrzymanie i wychowanie dzieci i nie dbał, że nad siły pracuje w handlu i w domu. Siostra przybyła na kilka dni w odwiedzin, zastępowała teraz w domu biedną kobietę, co jej дозволиło, oddalić się choć na krótko. Widziałem, jak biedaczce było potrzeba oderwać się na chwilę od codziennych ciężkich trosk i obowiązków, jak pragnęła wypłakać się i wymodlić. Tak cierpliwie dźwigała krzyż swój ciężki, czuła, że już długo nie zdoła go unieść, nie szemrała jednak, ale powtarzała w głębi serca: „Panie, bądź wola Twoja!” I tak gorąco modliła się o nawrócenie całej parafii swego męża, o opiekę nad dziećmi, a zwłaszcza nad tym chłopcem, pełnym inteligencji, który obok niej kroczył.

Niedaleko postępowała stara biedna kobieta, krzyż ciężki srodze uciskał słabe i zmęczone jej członki. Całe mienie, krwawo zapracowane, oddała

była córce i zięciowi, którzy przyrzekali na starość troskliwie ją pielęgnować.

Ale wkrótce działo się wręcz przeciwnie. Najprzód dla świętej zgody zniewolona była oddać pokój, który dla siebie zatrzymała. Pokój duży, a w domu dla dzieci mało miejsca; dano zatem matce mniejszą izdebkę.

Ale na tem nie koniec: pewnego dnia powróciwszy z kościoła, znalazła mebelki swe przeniesione do zimnej komory, a córka rzekła jej, że może wygrzewać się w kuchni przy piecu, zrestą dość jeszcze jest silną, by dzieci pilnować, a spać w zimnym pokoju bardzo zdrowo.

Wymówionej żywności i pieniędzy też jej nie oddawano, twierdząc, że może się przecież pożywić przy wspólnym stole, a gdyby czego potrzebowała, to jej kupią.

Przy stole rodzinnym ostatnie zajęła miejsce — a suknie to przecież może nosić po córce; ona młoda pragnie co chwila mieć coś nowego, a starzy ludzie ze strojów nic sobie nie robią; znoszone suknie córki dość jeszcze dobre dla starej matki.

Biedna kobieta odczuwała żywo niegodne postępowanie dzieci; a nadto przykro jej było, że ją ze wszystkiego odarto i odjęto na stara lata nawet jedyną przyjemność czynienia dobre. Od pewnego czasu i siły zaczęły ją opuszczać: przez cały dzień piastować dzieci, to nie dla starej kobiety. — A gdyby tego czynić nie chciała, wymawianoby zaraz, że jest „do niczego.” —

Układała sobie, że w spokoju będzie się mogła na śmierć przysposobić, a tu we łzach i udręczeniu pędzi dni ostatnie. Teraz przynajmniej mieć będzie kilka dni wytchnienia, aby się do woli wypłakać i wymodlić.

Zauważyłem jeszcze starca w biednym zużytem ubraniu; ubogi był i zupełnie do pracy niezdolny.

Usiłował on jaknajlepiej po katolicku wychować swe dzieci, przyzwyczajając do cnoty i bojaźni Bożej. Zniwolonny dać je na służbę, wyszukał najodpowiedniejszą, i zaprowadził do obcego domu niewinne i czyste. Świat zwarzył jednak okrutnie te świeże pączki. Oto jak się stało: dziewczęta oddane były wprawdzie do pocziwych ludzi, ale ci zaspakajając potrzeby ciała, nie troskali się o duszę powierzonych im dzieci innych rodziców.

Swoich własnych dzieci nie byliby zostawiali we dnie i w nocy pod zwierzchnictwem starszych służących, o których dobrze wiedzieli, że są zepsuci i na zły drodze.

Brakło im troski, pełnej poświęcenia, o dusze tych dzieci. Co mówię troski, prostego nawet starania, bo jakże ciasnem i samolubnem byłoby serce pani domu, gdyby to dla niej było poświęceniem mieć je w bliskości siebie, pod swem okiem, aby je ustrzedz przed zarazą zepsucia starszych służących, którym opierać się nie mają siły. I czyżby to było ofiarą, takie młode dziewczęta w wolnych chwilach przygarnąć do siebie, dać im do ręki dobrą książkę i otoczyć je miłością macierzyńską? — Takie postępowanie zdołałoby niejedną od złego zachować i na prostą naprowadzić drogę; gdyby tak postępowano, ucichłyby wkrótce skargi na brak moralności dziewczyn na wsi służących. Ale gdy patrzą na to obojętnie, że młodzież na każdym kroku styka się z występkiem, to nie może być inaczej; do cudów trzeba by zaliczyć, gdyby wśród takiego zepsucia nie miały wkrótce zwiędnąć czyste kwiaty niewinności.

I tak się stało z córkami owego biednego starca.

Matka umarła z żalu; dzieci rozeszły się na wszystkie strony i walcząc z nędzą, zapomniały o starym ojcu. On jednak troszczył się bezustannie o zbawienie duszy swych dzieci; a nadto spotkało go jeszcze nowe, dotkliwe zmartwienie. Ludzie,

którym ciężyla dawana starcowi jałmużna i szukali tylko pozoru, aby się od niej uwolnić, poczęli mu wyrzucać, że skoro tak źle dzieci wychował, to i sam nie jest od nich lepszy, i taką hołotę najlepiej z domu wypędzić. Nie dał sobie tego dwa razy powtarzać, ale oddalił się pokornie, przypisując sobie i swoim grzechom to nowe nieszczęście, które go spotkało.

Wtedy przybył właśnie do wioski nowy proboszcz i rozpoznał od razu szlachetną duszę, bijącą pod lachmanami żebraka. Proboszcz i wzgardzony nędzarz stali się przyjaciółmi, i trudno powiedzieć, który któremu był większą osłodą. Proboszcz wierzył, że modlitwa nieszczęśliwego starca wiele łask Bożych zdoła wyprosić dla jego parafii, to też jego przedewszystkiem chciał mieć w orszaku pątniczym. —

Tam znowu widzę młodą kobietę, uginającą się pod swym krzyżem; sama go sobie wprawdzie zgutowała, ale przeto nie jest mniej ciężkim. Stało się, poślubiła protestanta, a teraz do śmierci związana z człowiekiem, dla którego jest ohydą to wszystko, co drogie jej sercu.

O jakaż to była boleść bezustanna; ileż słów. ile spojrzeń drogiego męża niby mieczem boleści przeszływało jej serce, a dopiero troska o jego duszę, coraz więcej w złem zatwardziała. A dzieci, te biedne dzieci, cóż się z niemi stanie? Czyż je zdoła wyrwać grożącemu widmu niewary? Po ludzku mówiąc: nie. Ona jednak nie traci nadziei: dzisiaj u stóp Matki Bolesnej uprosi tę wielką łaską, że albo zdoła ich wychować na gorliwych synów Kościoła Katolickiego, albo też Anioł śmierci zabierze ich jeszcze za młodu, z nieskalaną szatą niewinności.

Widziałem również pośród pielgrzymów kilku mężczyzn z sercem pałającym miłością Bożą, i dla tego właśnie srodze zasmuconych, że ich żony były tak oziębłe w służbie Bożej. Jakimże sposobem ci

bogobojni ludzie wybrali sobie żony tak niepobożne. Ci panowie byli powołani za młodu do służby Bożej, dali się jednak oslepić wdziękiem pięknej twarzyczki — taki to bywa zwykle smutny koniec ludzi, którzy nie mają siły, iść za głosem Bożym.

W moim sąsiedztwie znalazł się człowiek, który jakoś niechętnie krzyż swój dźwigał i zoczywszę mię, począł się skarżyć: „Każdy z nas musi się napracować i namęczyć, i ledwie z tego wyżyć może. A pan oto siedzi beczynnienie przy ciepłym piecu, naje się do syta i nawet krzyża nie dźwiga.“

Z zamyślenia, w którym byłem pogrążony, zbudziły mię nagle te słowa, a równocześnie i uciskający ciężar krzyża, ledwie go unieść zdołałem.

„O mój przyjacielu — odrzekłem — nie ze wszystkim tak się dzieje, jak sądzisz. Nie wiedziałem, że chleb mój beczynnienie pożywam; i sądzę, że nie zamieniłbyś się ani na mą pracę, ani na mój krzyż.“

„Pan przecież nie masz krzyża.“

Obejrzałem się po za siebie: istotnie mego krzyża nie było widać. Chcąc jednak pocieszyć owego człowieka i skłonić go do cierpliwości, rzekłem mu: „Chętnie zamienię się z tobą. Obejrzyj jednak dobrze to, co uważasz tak godnem zazdrości, abyś nie mówił, że cię oszukałem.“

I prosiłem Anioła Stróża, aby krzyż mój raczył mu pokazać.

Wtedy dopiero człowiek ów spojrzał na mnie z przerażeniem. Nic dotąd nie wiedział o cierpieniach duszy, nie przypuszczał, żeby można pokrywać uśmiechem tak srogie wewnętrzne udręczenie. Jego troska o chleb powszedni wydała mu się nagle nieznaczącą; coprędzej posunął się w pierwsze szeregi, jak gdyby chciał uciec ode mnie jaknajdalej, aby nie być narażonym na niebezpieczeństwo zamiany.

Pielgrzymom towarzyszyli ich Aniołowie Stróże, dodawali im odwagi, pocieszali; ale podpadło mi, że mało kto wdzięczny był swemu niebieskiemu opiekunowi. Po większej części słuchali jego głosu, ale na niego samego nie raczyli uważać.

I ja tak niestety często postępowałem — rzekłem do siebie, i z głębi serca przepraszałem mego Anioła Stróża za wszelkie nieuszanowania, jakie miał ode mnie kiedykolwiek do znoszenia. — W około pielgrzymów uwijało się też wielu djabełków, złych duchów; szeptali im do ucha, pragnąc ich zbuntować i niezadowolenie wśród nich wzbudzić. Ale chociaż bardzo się wysilali, zabiegi te były uwieńczone niewielkim skutkiem: pielgrzymi z całym skupieniem i powagą odbywali swą pobożną wędrówkę; czuwali i modlili się, aby nie popaść w pokuszenie.

Ale dokądże wreszcie zmierzała pielgrzymka?

Okolica tak mi się zdaje znajoma: tam w dali miasteczko, u stóp pagórka wijąca się droga; a na szczycie góry, lasem okrytej, biała kapliczka. Ach wiem już: Marya Hilf w Zuckmantel, to był nasz cel.

Przychodziłem tu nieraz jako dziecko, jako młodzieniec. Co się też dzieje z ówczesnymi memi towarzyszami? Oddawna już doszli do celu, do wiecznego celu; ja sam tylko zostałem wśród ziemskiej pielgrzymki, jakby jaka ruina przeszłości.

Dzień jeden pielgrzymi zatrzymali się u stóp Matki Najśw., a następnie powrócili do domu.

Nie wszyscy jednak: ów pobożny proboszcz, nie-szczęśliwa kobieta z miłym chłopczykiem i kilka innych osób w inną udawało się stronę. Goniąc za niemi oczyma, posłyszałem słowa: „dom misyjny św. Krzyża.“ „Ach to oni tam idą“ — rzekłem sobie, i w tejże chwili postanowiłem do nich się przyłączyć.

Gdy już zbliżaliśmy się do celu, ujrzałem ze zdumieniem, że zabudowania klasztorne znacznie się powiększyły. W posrodku wznosił się wspaniały

kościół, a na jego wieży powiewała chorągiew z wyobrażeniem krzyża św i podwójną datą: 1892 i 1917 roku.

Cóż to ma znaczyć? Ach wiem już! upływa właśnie lat 25 od założenia domu!

6. W domu misyjnym św. Krzyża 1917 r.

Radosny głos dzwonu wzywał nas do kościoła; przyspieszyliśmy kroku i wkrótce byliśmy już u celu. W głównym ołtarzu, świątecznie przybranym, jaśniał obraz Matki Bolesnej — a w bocznych zauważyłem wizerunek Najśłodszego Serca Jezusowego, św. Józefa i św. Jadwigi.

Kościół jarzył się od światła: w przedniej jego części zebrali się ojcowie i bracia zakonni, oraz cały zastęp młodych wychowalców. —

Dwadzieścia pięć lat, to spory kawał czasu; nowi zupełnie wychowawcy zajęli miejsce tych, których dawniej tu widziałem — za to pomiędzy braćmi i ojcami zdawało mi się, że dostrzegam kilka znanych twarzy z dawnych dobrych czasów.

Wprawdzie niewielu było tych znajomych; po części w dalekich znajdowali się krainach, pełniąc obowiązki wzniosłego swego powołania; niejedni poszli już do nieba po palmę zwyciężką, palmę męczenników i wyznawców.

Kościół święcił dziś właśnie uroczystość Matki Boskiej Bolesnej, w domu Bożym zebrało się pełno ludzi, ciężkim krzyżem obarczonych, którzy spieszyli do tej Królowej męczenników, za Jej przyczyną spodziewali się otrzymać siłę, pociechę, lub ochłodę w troskach swoich.

Marya, Królowa męczenników, najodpowiedniejszą jest patronką świątyni, w której tylu misjonarzy zaprawia swą duszę do przyszłego męczeństwa.

A widok tego zastępu bojowników Bożych, których śmierć nie odstrasza, nie jestże najlepszym przykładem i zachętą do cierpliwości dla ludzi, krzyżem obarczonych: to też nie dziwnego, że tak szczerlnie zapełniają nawę kościelną.

Dzisiaj, 19 go Marca, dzień podwójnie uroczysty, święto Matki Bolesnej i Jej oblubieńca Jozefa św.

Przed ołtarzem św. Jozefa, rzęsiście oświeconym, klęczał siwowłosy kapłan i odmawiał głośno piękną modlitwę, którą przez cały marzec codziennie powtarzają w domach misyjnych Boskiego Słowa.

O chwalebny Jozefie św., opiekunie i strózu Najśw. Rodziny, którego opiece sama niewinność Jezus i Panna nad pannami, Marya powierzona była, Ciebie przez ten święty a podwójny, Tobie powierzony skarb, błagam i zaklinam, abym od wszelkiej nieczystości zachowany, czystym sercem i ciałem Jezusowi i Maryi służył jaknajwierniej. Amen.

V. Módl się za nami św. Jozefie.

R. Abyśmy się staligodnymi obietnic Pana Chrystusowych.

Módlmy się za Kościół św. O najmiłszy Jozefie św., potężny Patronie Kościoła św., racz spojrzeć na jego utrapienia i na rozliczne potrzeby dusz, do niego należących, lub żyjących zdala od niego. Przyjdź im na pomoc z Jezusem i Maryą i z całymi zastępami Aniołów i Świętych Pańskich! Pomieśzaj szki bezbożnych, a rozpal gorliwość synów Kościoła, aby mężnie i wytrwale stali przy Jezusie i dla chwały jego Najśw. Imienia walczyli i zwyciężali, niosąc mu w ofierze mienie swe i życie, ciało i duszę swoją. Amen.

O św. Jozefie spraw, abyśmy nie ubiegali się za dobrami przemijającymi, ale wiecznych tylko pragnęli i w ten sposób zasłużyli stać się prawdziwymi Twemi dziećmi. Amen.

Najśw. Serce Jezusowe niechaj żyje i panuje w sercach naszych i w sercach wszystkich ludzi. Amen.

* * *

„Stabat Mater Dolorosa,” rozbrzmiał głos z chóru. Spiewał kapłan może 60 letni, którego znałem z dawnych czasów i ucieszyłem się, odnajdując go dzisiaj.

Po śpiewie nastąpiło kazanie, którego treścią było rozważanie boleści Matki Boskiej i czystego Jej Oblubieńca, oraz przyczyny ich cierpień, to jest grzechów ludzkich. Kaznodzieja przemawiał w sposób

idący prosto do serca, to też z oczu przytomnych popłynęła niejedna łza prawdziwej skruchy.

Solenne nabożeństwo ukończonem zostało; wierni opuścili świątynię; moi towarzysze pielgrzymki zwieźdzali dom misyjny, a ja skierowałem me kroki przed kościół, na plac obszerny, ślicznie urządzone. W środku wznosiła się grota z figurą Matki Bolesnej, a w około wśród drzew i krzewów urządzono stacye drogi krzyżowej i siedmiu boleści Maryi.

Jeszcze się nie nacieszyłem tym widokiem, gdy już w drzwiach klasztornych ukazali się moi towarzysze pielgrzymki. Pilno im było powracać do domu, ale wszyscy wydawali się pocieszeni i zbudowani: chłopiec zwłaszcza promieniał, pełen nadziei, że wkrótce powróci tu jako wychowaniec klasztoru.

Pożegnałem moich nowych przyjaciół, nie chciałem mi się bowiem opuszczać tych miejsc drogich; a dawne plany poczęły na nowo budzić się w mej głowie. Przemyślałem, jakby je najłatwiej i najprędzej urzeczywistnić; najprędzej zwłaszcza, bo stary już byłem i mało czasu miałem przed sobą.

W tych myślach pogrążony, usiadłem na ławce obok stojącej. Wkrótce zauważyłem panią, w starszym już wieku, wychodzącą z kościoła. Jej twarz jaśniała pokojem wewnętrznym, piękność duszy przebijała się wyraźnie na zgrzybiałych rysach, dając im jakby technienie wiecznej młodości. Nieraz już mię odpychały i niemiłe robiły wrażenie twarze młode i piękne na pozór, ale zimne, z wyraźnem piętnem duszy pełnej egoizmu złych myśli i uczuć. Ale twarz tej staruszki jaśniała pięknnością prawdziwie niebiańską, pięknnością duszy czystej i Bogu oddanej — to też pociągała mię niewymownie. Zauważyłem ją już poprzednio, zdawała mi się taka znajoma, ale nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie i kiedy ją widziałem. Wzrok wewnętrzny, przenikający dusze ludzkie, na chwilę mi dany, opuścił mię znowu,

i byłem zniewolony jak inni śmiertelni, uciekać się pokornie do mej pamięci i szukać w niej skąd, znam tę panią.

Właśnie w tej chwili przechodziła obok mej ławki, i nagle zrobiło się jasno w mej głowie. Poskoczyłem ku staruszce, wołając:

„Witam panią radczynię! Jakże dawno nie widzieliśmy się. Miło mi bardzo spotkać tu panią.“

Zdziwiona spojrzała, ale poznawszy mnie uśmiechnęła się radośnie, a nawet zdało mi się, że ła jasna zabłysła na chwilę w jej oku, gdy mi mówiła:

„O co za radość niespodziewana! Ileż ja panu zawdzięczam, gdyż to pan zaprowadziłeś mnie niegdyś do żłóbka Dzieciątka Jezus, i tam doznałam szczęścia, z którym się wiąże całe moje przyszłe szczęście; łaski pierwszej w całym szeregu innych obfitych łask, którymi odtąd Pan Bóg tak obficie darzyć mnie nie przestaje.“

Usiedliśmy na ławce w ciepłych promieniach wiosennego słońca, i z niemal zajęciem słuchałem zwierzeń mojej starej przyjaciółki.

Radca przyjął do domu sierotkę po baronowej Lutzensteiu, ale zamiast ją wychować, zepsuł do szczętu. Jej starania, by dziecko na dobrą naprowadzić drogę, okazały się bezskuteczne, bo psuł je wpływ przeciwny i zła wola dziewczynki.

Wyrostała na piękną pannę, chęć błyszczenia i używania była podstawą jej życia, a celem jaknajświeńsze zamążpójście.

To pragnienie dzielił radca; wkrótce też znalazł wymarzonego zięcia ze starej hrabiowskiej rodziny i w dodatku posła do parlamentu. Uszczęśliwiony wypróżnił dla niego większą połowę dobrze wypchanego worka, ale i z pozostałych pieniędzy ciągle dawać było trzeba, aż wreszcie coraz nowe żądania wyczerpały zupełnie jego cierpliwość.

Odtąd i zięć kochany przestał się krępować. Nie podobał mu się sposób wyrażania i manieri teścia; w wykwitnych swych salonach zauważył już niejedną ironiczny uśmiech gości wysoko urodzonych. Dość długo to znosił, teraz, gdy już nie ma od niego do wydostania, niechaj powraca do siebie.

I powiedział mu to tak bezwzględnie i szorstko, że stary radca, do żywego zraniony opuścił czemprędzej dom niewdzięcznego zięcia. Wkrótce z żalu i wzruszenia na dobre się rozchorował. Takie nagłe ciosy, które człowieka przygniatają, prawie miażdżą, bywają często dla duszy zbawiennymi, do nowego pobudzają życia.

Dla radcy miały ten pierwszy dobry skutek, że zaszczyty i bogactwo, nad wszystko dotąd cenione, zbrzydły mu zupełnie.

W chorobie, najtroskliwiej przez żonę pielęgnowany, poznał dopiero i ocenił jej prawdziwą pobożność i cnotę, którą dotąd tak wysmiewał i lekcewał.

Dążność ku dobremu błogim pokojem przepęłniała jej serce, podczas gdy on czuł tylko smutek i próżnię, niczem nie zapełnioną.

I gdy tak leżał bezwładny na łożu boleści, rozpaczając nad zmarnowaniem życia, oto cicho, cichutko uchylono drzwi pokoju, i do łoża, zbliżyła się jakaś wysmukła, młodzieńcza postać. Przybyły zwrócił na chorego starca, spojrzenie pełne miłości i współczucia już tem samem wlewając w jego serce balsam pociechy. Dziwnie pociągnięty słodyczą młodego człowieka, radca z trudem wyciągnął do niego, drżącą prawicę i wyrzekł słabym głosem:

„Witam, witam serdecznie! Coż to pana sprowadza do łoża starca chorego i życiem złamanego?“

„Miłość i wdzięczność, panie radco. Jestem pierwszym przybranym synem pańskiej małżonki, naszej dobrej matki, i przychodzę panu podziękować,

że jej pozwoliłeś na spełnienie tego pięknego dzieła, które tylu ludzi uszczęśliwi już tu na ziemi, a zwłaszcza w wieczności.“

„Miłość i wdzięczność za jałmużnę tak małą w porównaniu do majątku, jaki dawniej posiadaliśmy, i do olbrzymich sum, zmarnowanych przez moje przybrane dziecko. Miłość i wdzięczność mnie, który dobre uczynki mojej żony zaledwie znosiłem i na nie niechętnie zezwalałem.“ Tak mówił chory, głos jego drżał ze wzruszenia, a łzy obficie płynęły z oczu. „Tyle dawałem memu przybranemu dziecku i niewdzięcznością mi tylko odpłaca. a pan, dla którego nic nie uczyniłem, mówisz mi o miłości i wdzięczności?“

„Tak, panie radco, a nadto chciałbym pana pocieszyć i szczęśliwym uczynić. Przecież to moje powołanie nieść ludziom pokój i szczęście. Aby spełnić to zadanie, opuszczę wkrótce na zawsze ojczyznę, dom misyjny, gdzie przeżyłem tyle lat szczęśliwych, moich przyjaciół i dobroczyńców, i udam się do obcej krainy, pełnej trudów i niebezpieczeństw, pomiędzy nieznanych dzikich ludzi. Pragnę im zanieść szczęście i pokój, i w tym celu chętnie opuszczam co mam najdroższego na ziemi, chętnie chcę ponosić wszelkie cierpienia i nędze, a nawet jeśli potrzeba, życie moje położyć w ofierze. Może teraz pan zrozumiesz o ile goręcej jeszcze pragnę zapewnić mu szczęście prawdziwe i pokój wewnętrzny, a tem samem wypłacić, choć w części dług wdzięczności, jaki względem Państwa zaciągnąłem.“

Słowa te tak żywo poruszyły chorego, że nie zdolał zaraz na nie znaleźć odpowiedzi.

„Tak młodym jesteś — wyrzekł wreszcie — serce twe pełne szlachetnych uczuć, czemuż chcesz opuścić ojczyznę? Przecież i tu dosyć ludzi, których mógłbyś uszczęśliwiać: cóż cię zapędza w odległą krainę?“

„Ten oto — odrzekł młody misjonarz, wskazując na krzyż misyjny, który codopiero otrzymał z rąk biskupa — Miłość Chrystusowa przyciska mnie! Wprawdzie i tu są ludzie, łaknący szczęścia, które tylko ksiądz katolicki udzielić im może; ale w ojczyźnie łatwiej znajdą się inni kapłani. Mnie Pan w swej dobroci niezrównaniej raczył dać powołanie na misjonarza, odpowiednie siły, naukę — moim obowiązkiem jest zatem, iść za głosem Bożym i nieszczęśliwym opuszczonym ludom nieść światło i łaskę Bożą.

„Od tak dawna już Pan Jezus umarł za nas na krzyżu. Nie jestże naszym najświętszym obowiązkiem wszystkimi siłami starać się, aby ludzkość cała została obmyta we Krwi Chrystusowej, aby przez nią zmartwychwstała i żyła? Cóż odpowiemy na sądzie ostatecznym, gdy Pan wskazując na narody pogańskie i heretyckie zapyta nas: Co uczyniliście dla ich zbawienia? Ileż czasu na to Wam dałem? Zaprawdę byłem głodnym, a nie nakarmiliście mię. Pragnąłem, a nie napełniliście mię; byłem nagi, a nie przyodzialiście mię.

„O panie radco, o ile to ode mnie zależy, pragnę oszczędzić i sobie i ludzkości tego słusznego wyrzutu. Moja zacna opiekunka, a żona Pańska, spełniła co od niej Bóg żądał, tak samo moi przełożeni i nauczyciele; Kościół dał mi świętą i wielką władzę kapłańską, biskup wręczył mi krzyż misjonarza: czyż ja tylko nie mam czynić tego, co do mnie należy, aby dusze najbardziej opuszczonych braci obmyć we Krwi Chrystusowej.“

„Twoje zadanie najcięższe ze wszystkich, młody moj przyjacielu,“ odparł radca.

„Chętnie jednak biorę je na siebie, a odjeżdżałbym w dalekie krainy z radością w sercu, gdybym i panu mógł dać zakosztować owego szczęścia,

miłości i łaski Bożej, jakie chcę zanieść biednym poganom.“

„Niechaj się stanie, jako pragniesz“ — odparł starzec, do głębi wzruszony. —

I pozostał sam na sam z młodym kapłanem. Radezyni tymczasem znajdowała się w kościele przy grobie Pańskim, gdyż był to właśnie dzień wielkiego piątku. Przed Najśw. Sakramentem na pobożnem rozmyślaniu i żarliwej modlitwie spędziła godziny, podczas których Pan Jezus cierpiał i umierał na krzyżu. Wiedziała, że jej syn przybrany miał teraz właśnie stanowczą z jej mężem rozprawę, i te trzy godziny konania Chrystusowego i ona przeżyła w trwodze śmiertelnej. Jak usilnie błagała Boga, jak mężnie walczyła z piekłem! Za powrotem do domu błogi i pocieszający widok przedstawił się jej oczom. Radea, wsparty na poduszkach, trzymał w ręku wizerunek Ukrzyżowanego i spoglądał nań z miłością, zalewając się łzami. Obok w milczeniu siedział młody misjonarz.

„O czemuż tak późno Cię poznałem, czemu tak późno ukochałem“ — wzdychał starzec — „czemuż nie przyjąłem Cię, o Panie Jezu, wówczas gdy ze złóbką na mnie wołałeś! Jakże byłbym teraz bogatym w zasługi; ileż radości byłbym Tobie zgotował, ile szczęścia zapewnił bliźnim. Niewypowiedzianą mą boleść, że tego nie uczyniłem, racz o Panie, przyjąć jako pokutę za grzechy moje.“ To mówiąc starzec łzami szczerego żalu i miłości oblewał stopy Chrystusowe.

Radezyni zbliżyła się do łóżka, a po jej twarzy rozpromienionej, po łzach radości, chory poznał dopiero, że od dawna z niewypowiedzianą tęsknotą wyglądała tej chwili błogosławionej.

„Deo gratias! Bogu dzięki“ — szeptały jej usta — Oby Bóg nagroził ci, co dla nas uczyniłeś,

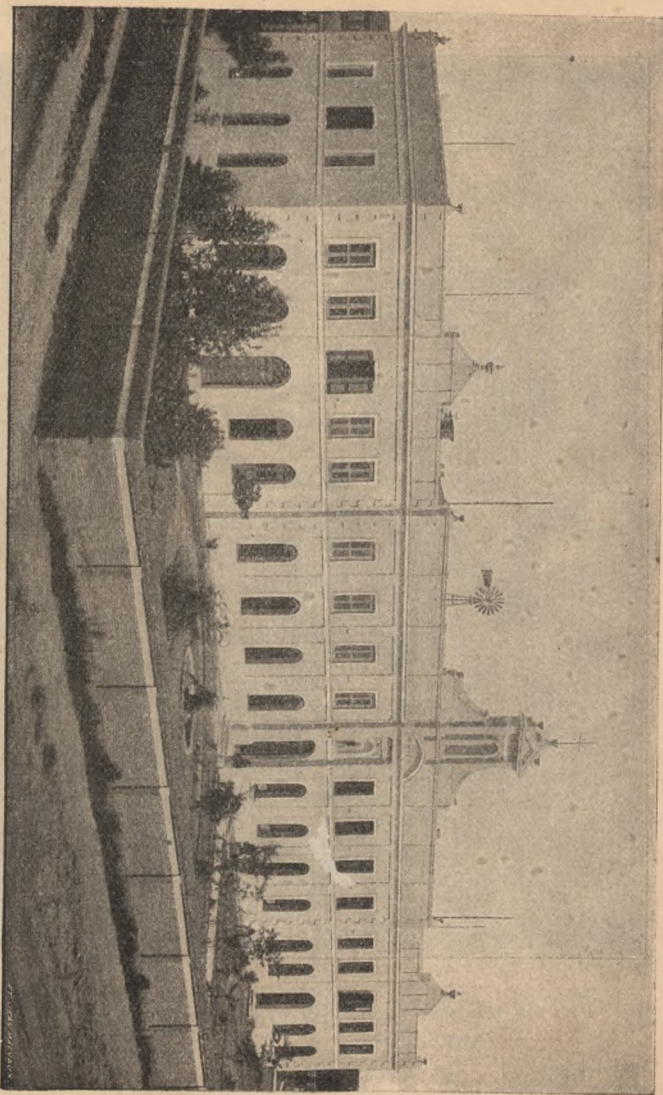


Pierwsi misjonarze wysłani do Argentyny w roku 1889.

O. Henryk Becher.

O. Herm. Locken.

Kollegium św. Józefa w Esperanza, Argentyna.



W domu misyjnym św. Krzyża 1917r.

chr. 76B
129

mój synu przybrany.“ Jakże chojnie odpłaca Bóg to trochę, co dla Niego uczyniłam.“

Wielki piątek! W tym dniu niegdyś na górze Kalwaryjskiej Baranek Boży ofiarował się za grzechy ludzkie, a przez śmierć i Krew swoją zwyciężył potęgę piekła. A dzisiaj, gdy obchodzono pamiątkę tego wiekopomnego zdarzenia, oto w sercu chorego radcy został zwyciężony nieprzyjaciel zbawienia, a moc jego złamana. Krew Chrystusowa obmyła duszę grzesznika i uczyniła ją białą jako śnieg. I oto gdy nastał poranek Wielkanocny, i wesołe Alleluja brzmiało w około, i on do życia przywrócony, z wielką skruchą i miłością przyjmował Pana w Komunii św.

W ciągu dnia zesłabł bardzo; udzielono mu zaraz ostatniego Namaszczenia, a wieczorem gdy dzwoniło na Anioł Pański młody misjonarz jeszcze siedział przy łożu chorego i razem z jego żoną odmawiał modlitwy za konających. Na odgłos dzwonu przerwali je, by odmówić przepisanej przez Kościół na czas Wielkanocny piękną modlitwę:

Wesel się Królowo Anielska, Alleluja!

Albowiem któregoś nosić godną była, Alleluja!

Zmartwychstał jako był przepowiedział, Alleluja!

Módl się za nami do Boga, Alleluja!

Ciesz się i wesel się Panno Maryo, Alleluja!

Albowiem prawdziwie zmartwychstał Pan, Alleluja!

Konający drzącymi usty powtarzał za nimi, Alleluja, a gdy ostatnie wymówił, duch jego uleciał a serce bić przestało.

* * *

Opowiadanie radeżyni, a zwłaszcza pełne miłości nad nimi, zrządzenia Boże poruszyły mię do żywego. Milczeliśmy przez chwilę, wreszcie odezwałem się:

„Podziwiam miłosierdzie Boże nad panią, i tak bojną za dobry uczynek nagrodę, ale może zechce

Idźcie na cały świat.

mi pani jeszcze odsłonić, co jeszcze dla niej samej Pan Bóg uczynił?”

„Chętnie to zrobię — odparła — tem więcej, że pan właśnie masz prawo pytać mię o to. Po zgonie męża cały mój majątek oddałam temu domowi, zastrzegając sobie, aby do śmierci płacono mi pewną summę, potrzebną do skromnego utrzymania. W pobliżu wyszukałam sobie mieszkanie, i czas mi przechodzi na modlitwie i pracy dla celów misyjnych.”

„Dziwna rzecz! i ja dla siebie myślałem właśnie o tem samem! Oddawna już ukochałem święte ubóstwo; chciałem się związać ślubem odpowiednim, ale coś mi zawsze stało na przeszkodzie. Dziś jednak już mię nic nie wiąże; znalazłem tu biedny mały pokój, który mi do śmierci wystarczy.

Ciesz się pani ze mną, że i ja tu wreszcie znalazłem, czego pani już od dawna używa, to jest:

Celę zakonną pośród świata!

Tego samego jeszcze dnia zdołałem przeprowadzić mój plan najnowszy i ostatni; a gdy nadeszło piękne święto Zmartwychwstania Pańskiego, tak mi było wesoło na sercu, jak nigdy dotąd.

Ale jak też uroczyście i pięknie było obchodzone to święto w domu misyjnym, w ślicznym jego kościele, pośród zakonników pełnych poświęcenia i miłości Bożej. Serce moje, przepełnione radością, było zaledwie z ziemią związane.

Alleluja śpiewał kapłan przy ołtarzu! Alleluja powtarzali wierni, zebrani w kościele! Nieustające nigdy Alleluja rozbrzmiewało w niebie pośród aniołów i wybranych! A ja biedny ziemski pielgrzym miałem je wkrótce z niemi powtarzać. Wprawdzie zawsze wierzyłem i ufałem, że tak będzie — ale z taką jak dziś swobodą i radością nigdy jeszcze nie powtarzałem: Alleluja!

7. Jakoby nie nie majacy, a jednak wszystko posiadający!

Spokojnie dni mi płynęły w mojem skromnem mieszkaniu, czułem się szczęśliwym, jak nigdy w życiu. Krzyż, który mię niedawno przygniatał, stał się łatwiejszym do niesienia, tyle miałam tu duchowych pociech i radości.

Często siadywałem na owej ławeczce przed kościołem, wygrzewając się w promieniach wiosennego słońca, tak miłego starym kościom. Jasno było na świecie i jasno w mej duszy; czułem się szczęśliwym i spokojnym jak dziecko. I pojąć nie mogłem, że byłem tak szczęśliwym jeszcze tu na ziemi, tak szczęśliwym, że i zamarzyć o tem nie mogłem! —

Pomiędzy mojem radosnem dzieciństwem a obecną starością bez troski, stał się długi pas życia, pełen trosk i cierpień. Przywykłem już do różnorodnych krzyży, a gdy czasami słońce pomyślności przyświecało mi trochę radośniej, dziwiłem się temu i pełen niepokoju pytałem sam siebie, jakież czeka mię cios nowy, od dawnych przykrzejszy. I nagle stałem się znowu tak szczęśliwy, tak bez żadnej zgoła troski, jakgdyby powróciły moje lata dziecinne. Co mówię? Byłem jeszcze szczęśliwszym niż za młodu.

Duchowe, niczem niezmacone szczęście chrześcijanina, z Bogiem ściśle połączonego, stokroć jest wyższem od bezwiednego szczęścia dziecka, którego życie duchowe nie jest jeszcze uświadomione i rozwinięte. Jest to zaledwie brzask poranka, poprzedzający światłoienne.

Religijne poczucie i życie dziecka słusznie nazywać można snem szczęśliwym, a uświadomioną pobożność chrześcijanina, pełną radości rzeczywistością.

Ale czyż tak jest na prawdę? Czyż nie wspominałem codopiero o życiu, pełnem krzyży i smutków? Istotnie! Ziemia jest doliną łez, a cierpienia spotykające nas za życia, przyćmiewają wesele, jakie powinno napełniać serce każdego, prawdziwie pobożnego, chrześcijanina. Krzyże i cierpienia nie zdołają pozbawić go zupełnie tego szczęścia; ono osładza gorzyc życia, podtrzymuje odwagę, wzmacnia siły, i duszę słodką napełnia pociechą. Szczęście to nie może jednak odjąć nam cierpień, albo nieczułyimi na nie uczynić — i to też nie jest bynajmniej jego zadaniem.

Sercu ludzkie stworzone do szczęścia wiecznego, niczem nie zamąconego, słusznie dopiero w ówczas zowie się szczęśliwym, gdy go już nie uciskają krzyże i cierpienia.

Takie dni są rzadkie i niezawsze dla duszy zbawienne. Słusznie też woła poeta: „Najtrudniejszym do zuiwienia bywa cały szereg pięknych dni.“ Ztąd też pochodzi owo dziwne uczucie niepokoju, jakiego zazwyczaj doznają osoby, srodze przez los uciśnione, gdy nagle cieszyć się mogą niczem niezakłóconem szczęściem.

I ja na sobie doświadczyłem tego niepokoju; teraz jednak już go się pozbyłem i nic w tem dziwnego: wszakże już stoję nad grobem i życie moje dobiega do końca. Dobroć i miłosierdzie Boże pozwala mi na progu wieczności zakosztować trochę szczęścia i pokoju, i zmęczonemu walką życiową daje umierać w pokoju. —

Szczęście moje inne jednakże miało jeszcze przyczyny:

Póki sił starczyło pracowałem nad posiewem pewnych dobrych nasion, i pomimo roli nieodpowie-

dniej, poninno wiatrów przeciwnych i niepogody, ziarna te wzeszły i rozwinęły się w ciepłych promieniach błogosławieństwa Bożego, a teraz ich piękność i miły zapach radują Serce Boga i szczęściem napełniają duszę lichego siewcy.

W sercu mem nosiłem marzenie, miłość świętą: a teraz sen stał się rzeczywistością, upragnione szczęście istotnym moim udziałem.

Tak, posiadałem wreszcie nieoceniony skarb świętego ubóstwa, i nikt już nie mógł mi go wydrzeć.

„Skoro mamy pożywienie i dostateczne przyodzienie, czegoż więcej jeszcze chcieć możemy?“ — pyta św. Franciszek Salezy. I ja już od dawna nie pragnąłem niczego więcej, i wszystko co nadto oddałem Panu, i oto stałem się ubogim z miłości dla Zbawiciela i dla dusz, Krwią Jego odkupionych.

W mojem ubóstwie czułem się bogatym.

Ale czyż ubóstwo nie rodzi żadnych potrzeb?

Pamiętam, że miałem niegdyś obrazek przedstawiający osobę, siedzącą za stołem, wspaniale zastawionym winem i owocami, a usługiwał jej sam Pan Jezus. U spodu obrazka stały słowa Psalmisty: „Przed oczyma mojemu zgotowałeś mi ucztę . . , jakże wspaniałym jest mój kielich.“

Czyż tej duszy było jeszcze czego potrzeba?

Są wprawdzie ziemskie przyjemności, ale taka dusza już ich nie pragnie. Słodzyc niebieskiego pokarmu sprawia, że wszelkie inne rozkosze wydają się czeze i gorzkie.

I ze mną działo się podobnie jak z owym człowiekiem, na obrazku przedstawionym, i ja wołałem z głębi serca: Przed oczyma mojemu zgotowałeś mi ucztę . . , jakże wspaniałym jest mój kielich.“

Ale czyż ubóstwo nie pociąga za sobą pogardę u ludzi, zwłaszcza gdy ten co je wybrał jest człowiekiem w świecie żyjącym i nie należy do żadnego zgromadzenia zakonnego?

Mogłoby tak być! Ludzie prawdopodobnie zważać nie będą na człowieka, który nie prowadzi otwartego domu i żyje biednie w kilku małych pokoikach, jakby jaki prosty wyrobnik; w niektórych „wyższych“ sferach może go nawet nazwą dziwakiem i głupcem, i wstydzić go się będą próżne i głupie głowy. Ale cóż mię to obchodzi? Nie dbam doprawdy o cześć i względy takich ludzi! Za wyższemi ubiegam się zaszczytami!

Wszakże najpotężniejszy ze wszystkich mocy przyjmuje mię łaskawie, zaprasza mię często do swego stołu? W najściślejszej ze mną pozostaje przyjaźni, towarzyszy mi na wszystkich drogach żywota.

Ale przecież człowiek potrzebuje i ziemskiej pociechy?

Istotnie człowiek nosi w duszy nienasycone pragnienie szczęścia i tylko obfitość niebieskiej pociechy może nas uczynić obojętnymi na brak ziemskiego szczęścia. Święty Tomasz a Kempis powiada: „Postępuje z łatwością kogo łaska niesie. Kto się cieszy pociechą niebieską, ten łatwo się wyrzeka ziemskich radości. Ale jest rzeczą wielką i bardzo wielką wyrzec się zarówno i ziemskiej i niebieskiej pociechy.“

Nierzadkie bywały w mem życiu chwile, gdy pozbawiony wszelkiej pociechy, przypominałem sobie to zdanie, aby się zachęcić do wytrwania; ono mi mówi, że w godzinach zupełnego opuszczenia możemy Bogu dowodzić naszej wierności w sposób najwięcej zasługujący. A skoro burza przemienie i niebo znowu się wypogodzi, o wtedy nie chcielibyśmy za nic w świecie, aby nie istniały te cierpienia, a z niemi i doświadczenia i zasługi, przez nie zdobyte.

Dni cierpienia jednakże już dla mnie minęły.

I jako w jesieni bywają dni piękne i słoneczne, gdy nam ani zimno ani upał nie dokucza, ale pełne

słodkiej i balsamicznej woni, tak i ja cieszyłem się teraz jesienią dni moich.

Minęło już skwarne lato, z nieodłącznemi burzami i walkami; minęły dni prześladowania, krzywd i samowoli, których nieraz stawałem się ofiarą; przeminęły dni zupełnego opuszczenia.

W sercu i życiu, kołatanem burzami, nastała cisza i przypomniały mi się słowa przyjaciela, usłyszane przed jakimiś 45 laty: „Umierać będziesz pewnością w pokoju, skoro za życia tak srogie staczałeś walki.“ Słowa te w proroczym wymówione duchu, tak żywo wraziły się w moim umyśle, jakbym je słyszał wczoraj dopiero.

I oto na schyłku dni moich, proroctwo spełniać się poczęło, serce moje zalewało szczęście niebieskie i ziemską pociecha, jakoby powiew wieczności, abym ja biedny śmiertelnik, czujący się tak blizkim zgonu, mógł spokojnie zejść z tego świata.

Wspominałem i o ziemskim szczęściu, na czemże takowe polegało?

Oto w domu misyjnym znalazłem, jak już mówiłem kilku miłych przyjaciół; inni czasowo tu przybywali, aby brać udział w ćwiczeniach duchowych. Ci przyjaciele byli to po części osobiści znajomi, lub też czytelnicy, z którymi w piśmiennych pozostawałem stosunkach. Nadto porobiłem tu nowe, bardzo miłe znajomości, z osobami Boga szczerze kochającemi i oddanemi sprawie własnego zbawienia; i przyznaję, że ich towarzystwo stanowiło dla mnie niemałą pociechę. Zawsze miałem serce bardzo tklive i wrażliwe na uczucia prawdziwej przyjaźni, i to nietylko dla ściślejszego kółka osób wybranych, ale dla wszystkich dusz dobrych, pałających zapalem dla Boga i spraw Jego. Na starość, gdy już stałem u proga wieczności, z umysłem dojrzałym i wzbogaconym doświadczeniem długiego żywota, uczucie to nie osłabło bynajmniej, ale przeciwnie bardzo się wzmogło.

Czułem lepiej niż kiedykolwiek, że wszyscy braćmi jesteście, i że wkrótce, bardzo już niedługo, mamy się wszyscy połączyć przed tronem Boga, aby wiecznie cieszyć się posiadaniem i sławieniem Pana.

A niebieska pociecha? czyż ona nie polega na posiadaniu Boga samego? A jeśli sam Boga nie opuszczę, nie mogę mówić, jakoby nie był ze mną!

Gdy Apostołowie z Boskim swym Mistrzem płynęli po jeziorze Genezaret, a wzburzone jego fale groziły zatopieniem wątej łodzi, słabym i mało-dusznym uczniom nie wystarczała obecność Zbawiciela. Wystraszeni zbudzili Pana, skarżąc się i wołając: „Panie ratuj, giniemy.“

I z nami pośród nawałności życia nieraz dzieje się tak samo. „A Pan rozkazał wiatrom i morzu i uciszyło się.“

Podobnie i łódka mojej duszy żeglowała teraz spokojnie po morzu żywota, i mogłem się radować posiadaniem Boga mego. A do tej radości przyczyniała się w znacznej mierze myśl, błogim pokojem przepełniająca duszę:

„Życie twoje nie upłynęło daremnie, i ty choć w drobnej mierze przyczyniłeś się do rozszerzania Królestwa Bożego, nic dla siebie nie zatrzymując, całe twe mienie oddałeś Panu i miłemu Mu dziełu rozkrzewienia wiary, ratowania dusz ludzkich!

Czyż nie byłem zaprawdę bogatym? Moje ubóstwo nie było istotnem bogactwem? O tak! doświadczałem na sobie prawdy tych słów Apostoła narodów:

Jakoby nic nie mający, a jednak
wszystko posiadający.



Część trzecia.

Dom Misyjny św. Krzyża.

Zarządy jego przeciwników. Działanie
Zgromadzenia. Zasługi i nagroda łobroczyńców.



1. Leniwi Zakonnicy.

Znane są powszechnie słowa św. Ignacego, tak często powtarzane przez niego. Jednakże pragnienym jeszcze je tu przytoczyć: „Dla tego dzieje się tak źle na świecie, że nikt się nie zastanawia.“ Brak zastanawiania jest powodem, że człowiek dąży do rzeczy doczesnych, a zaniedbuje wieczne. Brak zastanawiania sprawia, że uwielbiamy dary zewnętrzne, a cnót nie umiemy oceniać.

Z braku zastanawiania przypuszcza często prosty człowiek z ludu, że on sam tylko skazany jest na pracę i biedę. Nie ma on wyobrażenia o duchowej pracy, która większego natężenia wymaga, i dla tego myśli o ludziach, którzy się pod ciężarem tego duchowego powołania uginają, że ci nie mają nic do czynienia i życie wygodne prowadzą.

Wielu przypuszcza, że praca autora nie jest większą od zajęcia kancelisty, praca nauczyciela nie jest warta, a pracę kaznodziei oceniają tylko podług pięknego wykładu i miłego głosu.

Jałmużna udzielona na chwałę Bożą, na rozszerzanie wiary, na wykształcenie misjonarzy nie ma u wielu ludzi żadnego znaczenia, przeciwnie oceniają oni więcej jałmużnę, którą się daje biednym dla zaspokojenia ich doczesnych potrzeb, chociażby nawet była użyta na rzeczy zbytkowne.

Tłum bezmyślnych ludzi ocenia zakony pielęgnowujące chorych, lecz dla bohaterskich czynów misjonarzy nie ma żadnego uznania. W oczach takich ludzi tylko materyalne rzeczy mają jakąś

wartość, ale słowa: Rozszerzenie wiary, ratowanie dusz, wywołują szyderczy uśmiech, a „w lepszym towarzystwie“ nie znajdują żadnego współudziału.

Z braku zastanawiania wypływa obecny duch czasu, zmateryalizowany, któremu i pobożni ludzie niekiedy hołdują; to sprawia, że nie znajdziesz wśród społeczeństwa żadnego współczucia.

Bez współczucia patrzymy na niedolę milionów, bez współczucia przechodzimy obok ludzi pogrążonych w ciemnościach pogaństwa i nie tylko, że nie ceniśmy pracy misjonarzy ale nadto, prześladujemy ją; a nieokrzesani i prości ludzie powtarzają, za wykształconymi obelgi i złorzeczenia na tych, którzy wyrzekłszy się wszystkiego, w dalekich krajach oddają krew i życie, lub też tu, w własnym kraju, pracują póki im sił starczy nad zbawieniem dusz i kształceniem misjonarzy.

Pewnego razu zapytano nas bardzo seryo, co robią właściwie kapłani i braciszczkowie w domu misyjnym?

Czybyśmy mieli nie zrozumieć tego pytania? owszem najzupełniej. Pytający nie mógł sobie wyobrazić, aby tam było cośkolwiek do czynienia.

I nie była to zła osoba, ale bezmyślna, przeto dała się pouczyć. Może i ty, kochany czytelniku, spotkasz podobnych ludzi. Jeżeli ci się to zdarzy, zapytaj ich, czy łamiemy sobie głowę nad tem, co ma do czynienia nauczyciel w gimnazyum.

Kapłani domu misyjnego św. Krzyża udzielają wychowancom nauk gimnazjalnych i jest ich w domu tylko tylu, ile koniecznie potrzeba do utrzymania klas gimnazjalnych.

Kapłani nie tylko zajmują się nauką, ale mają jeszcze wiele innych obowiązków do spełnienia, tak że prawdziwie zadziwiającem jest, jak mogą temu wszystkiemu podołać. Niestety dzieje się to często kosztem ich zdrowia.

Nietylko kształcą swych uczniów, ale ich wychowują i dozorują. Nietylko kształcą ich umysł, ale także serce obyczają i całą ich istotę. A to nie da się tak w lot zrobić, to wymaga natężonej uwagi wiele prywatnych nauk, duchowych wykładów, i rzeczywiście dzieje się to w sposób daleko mozolniejszy, aniżeli w instytucjach, gdzie młodzież wychowuje się tylko na zacnych ludzi, na dobrych chrześcijan, albo na kapłanów, przeznaczonych do pracy we własnej ojczyźnie.

Dom misyjny to zupełnie co innego, aniżeli zwyczajny zakład, albo nawet duchowne seminarium: powinien on być koniecznie osadą bohaterów. Tak misjonarz powinien dorość do swego wielkiego zadania, misjonarz musi być bohaterem, przewycięzać się i robić ze siebie ofiarę w sposób, w jaki nikt inny tego czynić nie potrzebuje.

Może bywają cierpienia, które więcej gnębią, aniżeli męki, na jakie są wystawieni niektórzy misjonarze, ale tych cierpień nie ponosi się dobrowolnie: i w tem leży niesłychana różnica. Czego w żaden sposób sami nie możemy oddalić, to naturalnie znosić jesteśmy zniewoleni, ale dobrowolnie wystawiać się na męki dla chwały Bożej, dla zbawienia bliźnich, dla ratowania dzikich pogan, których nigdy nie widzieli, a którzy zamiast podziękowania zamordują ich okrutnie. Pożegnać na zawsze ojczyznę rodziców, przyjaciół, mówiąc im „Do widzenia w niebie“ — to jest czyn bohaterów, wobec którego jakże błędną ziemscy bohaterowie, którzy idą w dalekie kraje, aby zabijać, a nie leczyć i wzbudzać do życia.

Na te same ofiary, co wychowawcy wskazani są także i braciszczowie. Dla tego trzeba na nich szczególniejszą zwracać uwagę i otaczać troskliwą opieką. potrzebują oni nawet jeszcze staranniejszego wychowania, zbywa im bowiem na jasnym poglądzie, który daje nauka, a obfite łaski, które kapłanowi wlewa

powołanie, braciszek, musi możłonie zdobywać.“ Dla tego aspirantów na braci i na kapłanów trzeba odrębnie wychowywać i rozwijać, nauka, wykład katechizmu z osobna udzielany im bywa.

Wiele również czasu i trudów zabiera w domu misyjnym pielęgnowanie muzyki i ćwiczenia śpiewu kościelnego, przez co wychowawcy i braciszczowie uświatniają służbę Bożą, budują dusze i podnoszą uabożeństwo.

Najważniwszem polem działania dla misjonarzy jest słuchanie spowiedzi, tak domowych, jako też obcych, a nawet poza granicami domu, gdy zostaną przez innych księży do pomocy zawezwani. Często wzywają ich z kazaniami, a i w swojej kaplicy miewają regularnie nauki. Ileż te osób żąda piśmiennych albo ustnych rad i nauk w trudnych i rozpaczliwych sprawach duszy. Trzeba odpowiadać na liczne zapytania, odnoszące się do zgłaszających się i już przyjętych członków zgromadzenia, trzeba utrzymywać z władzą rządową liczną korespondencją, odnoszącą się do papierów każdego członka zgromadzenia; a leż trzeba pisywać w sprawach domowych do władz rządowych, do osób prywatnych i kupców; prowadzić książki. Uczą nadto przyszłych misjonarzy pływać, wiosłować, a zimą jeździć na łyżwach, a nakoniec ci „leniwi mnisi“ utrzymują praktyczny chów ryb.

To co powyżej było przytoczone, wykazuje ci, kochany czytelniku, działanie księży domu misyjnego bynajmniej nie w sposób wyczerpujący, jednak dostatecznie, abyś zmienił swój sąd o tych leniwych mnichach, że nie jedzą swego chleba w próżniactwie.

2. „Leniwi Zakonnicy.“

Wychowawcy zakładu misyjnego uczą się pilnie, nawet gorliwiej, niż w gimnazyach, czego dowodzi większa liczba prac piśmiennych i wypracowań. Równocześnie starają się przełożeni utrzymać w nich pokorę, a chcąc ich zaprawić do praktycznego życia i wpoić w nich niektóre wiadomości gospodarce, zajmują ich rozmaitemi lżejszymi pracami domowymi, zmieniając często ich obowiązki. Tym sposobem wychowaniec misyjny uczy się obchodzić równie dobrze z miotłą, ścierką od kurzu, szczotką do szorowania lub czyszczenia butów, jak z gramatyką, a podczas gdy inni młodzieńcy uczą się palić cygara lub papierosy, on wprawia się w rozniecaniu ognia w piecach; podczas gdy inni studenci popychają kule bilardowe, wychowaniec misyjny w towarzystwie swoich rówieśników, struże kartofle, przygotowując szybko ilość potrzebną do wspólnego posiłku.

Naukę turniej zaprowadzono teraz w szkołach, jako koniecznie potrzebną. Ciało nasze jest rzeczywiście tak usposobione, że zdrowo mu, gdy się może rozruszać, szczególnie w dniach młodości. Ale te ćwiczenia fizyczne nie koniecznie właśnie na turniejach mogą polegać. W domu misyjnym św. Krzyża umieją zastąpić gimnastykę pięknie i pożytecznie. W ogrodzie są najrozmaitsze prace, zupełnie siłom wychowawca odpowiednie. Tego rodzaju gimnastyka ma jeszcze tę korzyść, że przynosi pożytek, a u przyszłego misjonarza budzi zmysł praktyczny.

Krótko po otwarciu nowego domu oprowadzano nas po raz pierwszy po ogrodzie. Pomiędzy większemi zagonami warzywa i kartofli były przeprowadzone ganki, z których jeden obsadzono drzewami, ale które jeszcze niestety, nie dawały cienia. Najpiękniejszą rzecz znajdziesz na końcu ogrodu. Jeśli jesteś poetycznie usposobionym, jeśli masz bujną fantazyę, lub jesteś tak szczęśliwym, że umiesz odczuwać piękności przyrody lub dzieła rąk ludzkich, to znajdziesz tam coś, co ci się wyda stawem lub jeziorem. Może przestraszysz się tego opisu, bo jeżeli tak jak ja lubisz ubóstwo i prostotę, to pomyślisz, iż taki zbytek jest zbyt wspaniały na ubogi dom misyjny. Aby cię uspokoić, opowiem, jak to „jeziorko“ powstało.

Dawniej na tem miejscu był tylko wilgotny, mało przynoszący pożytku, szmat ziemi, mieścił on jednakże w sobie skarb wielki, który trzeba było zużyć. Skarb ten składał się ze zwiru, który musiano sprowadzać z wielkim kosztem na drogę wiodącą do domu misyjnego. Na drodze tej bowiem przy dżdżystej porze roku lgnęli ludzie, zwierzęta i wozy, a bez gruntownej naprawy tej „drogi“, która miała raczej pozór bagna, można było tylko w lecie, i to przy bardzo suchym czasie, dostać się do domu misyjnego. O sprowadzeniu materiału na żwirówkę, ani myśleć nie było można. Musiał go dostarczyć ów kawał ziemi a zmysł estetyczny misjonarzy nadał powstałemu otworowi malowniczy wygląd. Środek pozostawiono nietknięty, a gdy woda napełniła wokoło wykopane miejsce, powstała — „wyspa.“ —

Nie zdziwisz się pewnie, że owo jezioro i wyspa miała dla młodzieży siłę przyciągającą i że swawolne chłopcy chętnie, by chcieli dostać się na tę wyspę!

Młodzież umie sobie radzić: bardzo ładny most, własnoręcznie przez wychowawców w godzinach wol-

nych zbudowany, prowadzi od brzegu do wyspy, nad brzegiem wyspy zasadzili lilie wodne i inne rośliny. Nie zapomniano także i o św. Janie Nepomucenie, prosty obraz za szkłem, jaki na razie chłopcy dostać mogli, przedstawia ukochanego Świętego, umieszczono go na moście, otoczonym zwyczajną poręczą brzoową.

Nicdaleko tego zwirowego dołu, albo jeziora, jeżeli cię te szumne słowo nie razi, wznosi się „pagórek,” jest to pozostały żwir, a wychowawcy zamyślają z czasem stworzyć tam małą Kalwaryę.

Tuż obok, w rogu ogrodu stawiają w godzinach wolnych grotę, w której umieszczoną będzie figura Matki Boskiej Bolesnej, umyślnie na ten cel ofiarowana.

Jesteś więc, kochany czytelniku, zaspokojony co do wychowawców, a teraz ukażę ci także pracę braciszków.

Najpierw jasnem jest, że do utrzymania porządku takiego domu nie wystarcza praca wychowawców, przeto i braciszki swoje rąk przyłożyć muszą.

Wprawdzie mieszkańcami tego domu są duchowni, ale posiadają oni ciało i nie mogą żyć powietrzem, a że jest ich wielu, (teraz, w jesieni 1894 r. dochodzi do stu osób) a liczba ta ciągle wzrasta, i z każdym kwartałem przybywa nowy zastęp wychowawców, to też potrzebni są, braciszki. znający się na kuchni, piekarni, inni znów, którzyby umieli robić boty i znali się na krawiectwie. Kaplica i pielęgnowanie kwiatów także na ich głowie spoczywa. Przy fście jest także niezbędna obecność jednego z braciszków. Prócz tego zajmują się polem, ogrodem i gospodarstwem, również i stolarstwem, wyrabiają najpotrzebniejsze sprzęty domowe, ołtarze i ławki, jest tu także i maszyna parowa, która rżnie deski, w końcu zajmują się i ślusarstwem. Rano o godzinie



Pierwsze, do Argentyny wysłane misyonarki w r. 1895.

Siostra Agata.
Siostra Andrzej, przełożona.

Siostra Ksawera.
Siostra Scholastyka.



Pierwsze misyonarki wysłane do Togo w roku 1896.

Siostra Małgorzata. Siostra Franciszka. †
Siostra Bernarda przełożona. Siostra Wincentyna.
zm. w maju r. 1897.

4 $\frac{1}{4}$ wstają księża i braciszczowie, i zbierają się na wspólne ranne pocierze i rozmyślanie. Potem zaczytują się msze św. Dzień cały schodzi im na ciągłej pracy i modlitwie. Wypoczynek polega na przechadzce po ogrodzie i na wzajemnej wymianie myśli. Nasze objaśnienia chociaż nie wyczerpujące, dostateczne są aby poinformować dokładnie tego, któryby się zapytywał, co robią z czasem członkowie domu misyjnego.

Inne znowu głosy wyrażają obawę, że rzemiosła, które traktują braciszczowie, robią konkurencją rzemieślnikom krajowym. Uwagi tego rodzaju są dziwne.

Pomijając już to, że wszelkie przedmioty wyrabiane w domu misyjnym, są wyłącznie przeznaczone dla tego domu, zatem podobna obawa nieuzasadniona, zapytujemy się jednak, czy członkowie zgromadzenia nie mają tego samego prawa co my, co inni mieszkańcy kraju, wykonywania swego rzemiosła, i w ten sposób zarabiania na chleb.

Gdyby zakonnicy byli pozostali w świecie, musieliby szukać i znaleźć utrzymanie w różnych zawodach. Czyż dla tego nadużyli ludzkich praw, że poświęcili się zakonowi i wyrzekli się własnego ogniska? Czyż zamiast utrzymywania własnej rodziny przez ręczną pracę, nie wolno im wspierać dzieła rozszerzenia wiary?

Ale jak wyżej powiedziano, tutajsze rzemiosła służą tylko potrzebom domu. Tylko przez książki i pisma, które w Steyl są wydawane, (wychodzą w skromnej i trwałej oprawie) zdobywa sobie zgromadzenie część dochodów, co powinno znaleźć uznanie u wszystkich. Ojciec św. wyraził pochwałę dla tej galezi działania w zgromadzeniu, a tym, którzy się zajmują wydawaniem pism zgromadzenia, jako też wszystkim przyczyniającym się w jakikolwiek sposób do ich rozszerzenia udziela swego błogosławieństwa.

I rzeczywiście tam, gdzie chodzi o dzieło rozszerzenia naszej wiary św. żaden księgarz, ani wydawca nie powinien zazdrosnem okiem patrzeć, chociażby nawet z tego powodu sprzedał kilka mniej kalendarzyków lub książek. Któż chciałby zazdrościć Bogu, kto chciałby odmówić napoju pragnącemu Zbawicielowi? A On tak gorąco pragnie zbawienia dusz. Aby zaspokoić to pragnienie -- pracują w zgromadzeniu Boskiego Słowa i w domu misyjnym św. Krzyża. Modlą się i pracują aż do sił wyczerpania ci, których często obwiniają i wyszydzają jako

Leniwych zakonników."

3. „Dwie ryby i pięciore chleba, co to jest na tak wielu!”

Często mówiono już o tem, że nasz wiek powinien się nazywać wiekiem kolei żelaznej. Można by go także nazwać wiekiem koszar, więzień, domów poprawy, albo wiekiem waryatów i samobójców, osób nerwowych, opłacających podatki, albo wiekiem rachunków. Co się też dzisiaj nie oblicza? Choćby kto nie miał ochoty do liczenia, nic to nie pomoże, państwo zmusza go do rachowania, każdy musi liczyć, a gdy nie umie, czynić to musi za niego kto inny, chociażby jego dochody nie wystarczały na opłacenie obcego rachmistrza i zachwianemi przez to zostały.

Słyszemy nieraz rodziców mówiących: „Mój syn musi dobrze rachować, to rzecz główna.”

„Uczy się bardzo dobrze, mówią inni, umie zupełnie dobrze rachować.”

Gdy chłopiec dobrze rachuje, to ludzie wnoszą zaraz, że będzie przebiegle dążyć do zrobienia majątku, nie zadowolni się małą rzeczą, ale pragnie czegoś wielkiego; on chce być bogatym i zostanie nim.

Zanim chłopiec osiągnie to, czego rodzice sobie dla niego życzyli, kości ich może już od dawna będą spoczywały w grobie i nie będą się cieszyć tem, czego tak gorąco pragnęli; gdyż tam w górze rzeczy ziemskie mierzą się inną miarą, i to cośmy tutaj tak bardzo cenili, tam staje się rzeczą bożwartościową.

Syn więc jest już bogaty i stara się być coraz bogatszym. Dla czego to? Czyż do zycia

ludzkiego tak wiele jest potrzeba i czyż potrzeby ciągle wzrastają?

Niekiedy tak jest, im kto więcej posiada, tego wymagania niesłychanie się zwiększają. Upodobanie w wykwiwnym jedzeniu, ubraniu, w urządzeniu domu, w przyjemnościach, często nawet w grzechach dochodzi do zenitu, a potem następuje przesyta, wstręt do życia — koniec okropny.

Ale często nie zwiększają się potrzeby, ale przeciwnie ograniczają się. Jedno tylko wymaganie, z dnia na dzień wzrasta, to pragnienie pieniędzy, coraz więcej pieniędzy.

Podobni rachmistrze przedstawiają sobie wszystkie możliwe niepowodzenia, jakie zająć mogą i w danym wypadku chcą mieć pieniądze i pomimo zapełnionych szaf mniemają, że im na nic nie starczy i myśl ta przyprowadza ich nieraz do obłąkania lub wczesnej śmierci. — Takie wypadki nie są rzadkie.

Wiemy z doświadczenia, że ludzie pragną dla siebie i swojej rodziny ogromnego majątku, który nigdy nie zdaje się być za wielki.

Powinno się przypuszczać, że taki mądry i logiczny rachmistrz zrozumie także potrzeby innych ludzi i wielkich zgromadzeń, i dojdzie łatwo do wniosku że wielkie przedsięwzięcia więcej kosztują, aniżeli małe i że wielu ludzi więcej ma potrzeb aniżeli kilku. Dwie ryby i pięć bochenków chleba, nie byłby to mały obiad na kilka osób, ale Apostoł, myśląc o „obcych“ lepiej liczył, aniżeli nasi teraźniejsi ludzie, którzy tylko dla siebie liczą i tylko własne potrzeby rozumieją, przeto też zaraz dorzucił „to zamało na tak wielu“ i nikt mu nie zaprzeczył, aby zapas dla 5000 ludzi był wystarczający.

Jakoby dwoma rybami i pięciu bochenkami i chleba na 5000 ludzi, jest wporównaniu to, co katolicy dotychczas uczynili dla dzieła rozszerzenia wiary. Weź do ręki atlas, albo globus i patrz na kraje

i części ziemi, które się roją tysiącami, tysiącami ludzi, którzy oczekują także od ciebie, od twej hojności, od twej ofiary, od twej miłości Boga i dusz tego szczęścia i łask, które nam przypadają niezasłużonym sposobem, tego szczęścia, z którego my korzystamy, jako dzieci świętego katolickiego Kościoła.

Wnijdźmy do mniejszego kółka, przypatrzmy się misyom i domom misyjnym Słowa Bożego, do których należy także dom misyjny św. Krzyża. zliczmy zasoby, które sobie częścią sami zdobyli, częścią zaś wpłynęły im przez dobroczyńców, i porównajmy je z polem działania, które się rozszerza po wszystkich częściach ziemi, wtenczas znów możemy powiedzieć „Dwie ryby i pięć bochenków chleba, to za mało na tak wielu.“

A gdy się przypatrzmy domowi misyjnemu św. Krzyża, licznym budowom, do jego rozwoju tak potrzebnym, całemu zastępowi ojców, braci i wychowawców, gdy zważymy, że ich liczba coraz się będzie powiększać — a gdy z drugiej strony policzymy jałmużny dobrodziejów, i datki zebrane przez naszą gazetkę — o wtedy pomimo uznania dla dobroci ofiarodawców, mimo podziwu w obec ich ofiarności — jesteśmy jednak zniewoleni nieraz zawołać: Dwie ryby i pięć chlebow, co to jest dla tak wielu?“

Przekonany jestem, że pobożny czytelnik, pełen gorliwości o rozszerzenie chwały Bożej, zawoła z nami: „Dwie ryby i pięć chlebow, cóż to jest dla tak wielu? — o gdybyśmy tak więcej posiadali, aby módz więcej rozdawać.“

Inaczej jednak mówią ludzie bezmyślni i obojętni dla rzeczy Bożych, owi wielcy rachmistrze, ale tylko dla własnej kieszeni, którzy coraz więcej dla siebie samych potrzebują. Dzieło rozszerzenia wiary, dobrodziejstwa świadczone przez innych, a zwłaszcza przez ubogich, zakłuczają ich pozorny spokój sumienia.

Wstydzą się w głębi serca własnego samolubstwa i skąpstwa; czują się upokorzonymi przez ludzi, na których nawykli spoglądać z góry, z pewną pogardą. I głos wewnętrzny mówi im, że to jednak nie tak zupełnie dowolną jest rzeczą, czy zechcą wspierać dzieło rozkrzewienia wiary, czy nie, ale jest to święty obowiązek każdego katolika.

Budzące się głosy sumienia trzeba jednak uciszyć za jaką bądź cenę, należy koniecznie usprawiedliwić się w oczach świata — skąpstwo niechaj nie będzie skąpstwem, egoizm nie egoizmem. Dla tego też mówią:

1. Misyjonarze są bogaci.

2. Dom misyjny tyle już dostaje, że więcej dawać mu nie potrzeba.

3. Misyjonarze bogatsi są ode mnie.

4. Mają już taki dom wspaniały, a jeszcze budują, muszą być zatem bardzo bogaci.

Bezpodstawność i głupota tych twierdzeń została już wykazaną w poprzednich rozdziałach; chcemy jednak jeszcze obszerniej na nie odpowiedzieć, a zarazem wykazać potrzeby Stowarzyszenia i obszerne pole jego działania, w obec czego to co posiadają zakonnicy jest zaledwie:

Dwoma rybami i pięciu chlebami na 5000 ludzi.

4. W „bogatym“ domu misyjnym św. Krzyża.

Misyjonarze są bogaci — mówią nieraz ludzie. I cóż rozumieją pod tym wyrazem „bogactwo?“ — Przynajmniej tyle, że ktoś ma więcej dochodu niż mu potrzeba na skromne utrzymanie.

Otóż misyjonarze żyją naprawdę bardzo skromnie, biednie nawet, a pomimo tego nie mają żadnych innych środków oprócz bezgranicznej ufności w Boską Opatrzność, w miłosierdzie bliźnich; prócz gotowości, zapracowania przez pisma i wydawnictwa w części przynajmniej na swe utrzymanie.

Drugi zarzut opiewa: „Dom misyjny dostaje z różnych stron tyle jałmużn, że mu to zupełnie wystarcza, więcej nie potrzebuje.“

Na to twierdzenie odpowiadamy pytaniem, ile też mówiący potrzebuje dla siebie, i jaką w ogóle sumę uważa za niezbędną do wyżywienia ciężko pracujących ludzi, albo rozwijających się, zawsze głodnych chłopców? Sumę tę niechaj pomnoży najprzód przez sto (tyle jest obecnie osób w domu misyjnym), a potem przez 365 — a będzie miał odpowiedź ile potrzeba rocznie na utrzymanie domu. —

Należy jeszcze doliczyć wydatki: 1^e na utrzymanie kaplicy, na zakupno aparatów i kielichów do Mszy św., obrazów, ołtarzy, 2^e na książki, na urządzenie domu i kuchni. Żytków tam nigdzie nie znajdziesz, a nieprzyjaciele domu, wypoczywający na miękkich łóżkach, przyznają może, że i tam każdemu z mieszkańców należy dać siennik, poduszkę i dere do przykrycia.

Może też niechętnie przyjąłby kawałek suchego chleba; a potrawy chce mieć przyrządzane na świeżem maśle i ciekawy będzie ile funtów masła wypada na osobę w domu misyjnym św. Krzyża. Nie umiem tego dokładnie oznaczyć, ale pewno niewiele, skoro wystarcza tam własny nabiał i masła wcale nie kupują.

A ile też mięsa potrzebuje dla siebie ów człowiek? Zadziwiłby się, za jak małą sumę wychodzi go na osobę w domu misyjnym św. Krzyża, i to tylko w dni mięsne; i zapewne nie chciałby żyć tak samo. — Należy jeszcze pamiętać, że w domu misyjnym osób bezustannie przybywa i że nie posiada on stałych dochodów, ale żyje z dnia na dzień, a doprawdy śmiesznem jest twierdzenie jakoby już nie więcej nie potrzebował.

„Misyjonarze mają więcej ode mnie” — mówi jeszcze niechętny oponent. Jako odpowiedź na podobne twierdzenie może służyć to co powyżej wyłożyliśmy; ale małe jeszcze dodamy słówko. Gdyby nawet serca bardzo bogatych ludzi zostały poruszone, co niestety bardzo, a bardzo jest trudnem — i gdyby odstąpili swe bogactwa domowi misyjnemu, to jeszcze i w ówczas każdy z ojców misjonarzy pozostanie równie jak dotąd ubogim. W życiu misjonarza nie się nie zmieni (może tylko dla poratowania sił, nadmierną pracą wyczerpanych, możnaby w ówczas czynić trochę więcej) — ale za to dom misyjny będzie mógł przyjąć większą liczbę wychowanców, wzniesć budowle, niezbędne do ich pomieszczenia, i kościół dość obszerny dla domowników i dla wiernych, napływających tak licznie ze wszystkich stron. Gdyby tak poczyniono dużo fundacyi na wychowanie przyszłych misjonarzy, to przynajmniej częściowo byłaby zaspokojoną troska o ich wyżywienie i możnaby więcej czynić dla zaopatrzenia dalekich

stacyi misyjnych, i dla wyposażenia odjeżdżających misjonarzy.

Każda wysyłka misjonarzy jest niezmiernie kosztowną. Do kosztów podróży doliczyć jeszcze należy zakupno wszelkich aparatów kościelnych, oraz naczyń, sprzętów, przyborów, niezbędnych do najskromniejszego życia pośród zupełnie dzikich ludów. Do Tokio zabrali nawet misjonarze cały dom drewniany, zupełnie obrobiony i rozebrany na pojedyncze części. Każdy kapłan misjonarz powinien mieć przynajmniej pięć ornatów odpowiednio do pięciu liturgicznych kolorów, przepisanych na różne uroczystości Kościelne.

Misjonarz zniewolony do przebywania pośród dzikich, po części biednych pogan, nie może liczyć na żadną z ich strony zapomogą, ale przeciwnie, chcąc ich przyciągać i nauczać, musi najprzód okrzyć ich nagość, rażącą oko. A chcąc na nich wywrzeć wpływ trwały, należy koniecznie przygarnąć i żywić te małe, pół dzikie istoty, które tak samo bywają głodne i jeść wołają, jak ich współbracia w Europie; mniej są tylko wybredni i zadowolnią się odrobiną ryżu i kukurydzy.

Widzimy zatem, że misjonarze choćby nawet odebrali miliony, pozostaną równie biednymi, równie pełnymi wyrzeczenia, w potrzebach swoich ograniczonymi aż do ostateczności. Ale mając pieniądze, mogliby kształcić więcej misjonarzy, wychowywać więcej dzieci pogańskich, zakładać więcej klasztorów, szkół, domów rekolekcyjnych, wznosić kościoły, słowem więcej dusz prowadzić do Boga, do wiecznej szczęśliwości, wlewać w ich serca pokój i szczęście. To też nie miej za złe, kochany czytelniku, ludziom pobożnym, jeśli poruszeni łaską Bożą — podług sił swoich, wspierają dom misyjny, a często czynią to nawet kosztem heroicznych ofiar.

Nie pragniemy bynajmniej odwozić nikogo od zapewnienia sobie spokojnej starości: byłoby to nie-

rozsądnie, gdyby kto innym stał się ciężarem; ale ta troska nie powinna być przesadną, ani zbyt trwożliwą.

Oschłość serca tylu ludzi nieprzychylnych i niechętnych domowi misyjnemu, budzi w naszych sercach żal gorzki. Mamy zwłaszcza za złe kupcom i przemysłowcom, którzy pragnąc być dobrymi katolikami, zamiast z własnym uszczerbkiem wspierać cel tak wzniosły, chcą na misjonarzach dobrze zarobić, a potem jeszcze głoszą, że muszą oni być bardzo bogatymi, gdy tyle wydają, n. p. na zakupno materiałów do budowl.

5. Ubodzy porywają Królestwo niebieskie, podczas gdy bogaci stają przed Sędzią Przedwiecznym z próżnemi rękoma.

Ludzie twierdzą jeszcze: „Misjonarze mają już tak wielki dom, a jeszcze budują.“

A jakżebyś chciał, miły czytelniku, zamknąć całe kolegium z nieodzownemi klasami, sypialniami, salami rekreacyjnymi, z kaplicą, mieszkaniem dla misjonarzy, w ciasnej lepiance, a może nawet w stajence.

Bardzo być może, że sam zajmujesz mały domek, lub mieszkanie, ale policz z ilu też członków składa się twoja rodzina, nie potrzebują oni ani klasy do nauki, ani kaplicy. Pokoik niejednej biednej szwaczki większy jest od celi zakonnika w domu misyjnym św. Krzyża; w tej celi zaledwie obrócić się można. A całe jej umeblowanie składa się z wąskiego łóżka, stołu, krzesła i kufra do rzeczy. Wychowawcy mieszczą się w wspólnych salach, a swoim, nazwać mogą jedynie miejsce przy pulpicie w sali nauk i skromne łóżko w sypialni. Braciszki nie mają również cel osobnych, tylko łóżko *) na wspólnej sali, tylko miejsce za stołem w refektarzu i przy odpowiednim warsztacie.

Uspokój się zatem, miły czytelniku, w domu misyjnym nikt doprawdy nie mieszka zbyt wspaniale i wygodnie. A ponieważ tego roku dla braku funduszy nie było można budowy dalej prowadzić, po raz też ostatni przyjęto znacznie większą liczbę wychow-

*) Łóżka są o siebie oddzielone niskim parawanem.

wańców; na Wielkanoc 1895 r. już tylko na kilku będzie miejsce; reszta zgłoszonych zniewolona czekać cierpliwie; liczni panowie, zgłaszający się ze wszystkich stron dla odprawienia rekolekcyi, czekać też muszą dopóki dom misyjny, który już dzisiaj tak wielu zdaje się zbyt wielkim, znacznie się nie powiększy.

Tym głosem niechętnym i sądom niemądrym ludzi bezmyślnych z największą pociechą możemy przeciwstawić mądre zdanie pewnego ubogiego człowieka, zawarte w jego liście, pisanym do O. Rektora domu misyjnego św. Krzyża.

Człowiek ten zajmuje bardzo skromną posadę u bogatego milionera, dobrego katolika, ale z tego rodzaju ludzi, którzy chodzą do kościoła, przystępują do św. Sakramentów — ale na żadną ofiarę, zwłaszcza gdy idzie o własną kieszęć, zdobyć się nie mogą.

Namówisz ich może na podróż, na kosztowne rozrywki, ale daremnie wspominać im będziesz o jakiej ofierze na dobre cele.

A jednak nie możnaby prawie nazwać ofiarą, gdyby taki bogacz zatrzymał, ile potrzebuje do życia bez troski, a nawet dostatniego, a resztę oddał Panu Bogu. Nie możnaby tego nazwać prawdziwą ofiarą, skoro spełniłby tylko ścisłą powinność dziecka Kościoła św. (jest bowiem obowiązkiem każdego katolika przyczyniać się gorliwie do wielkiego dzieła rozkrzewienia wiary). — Przez wyrzeczenie się jakiejś części dóbr ziemskich, możemy sobie zbierać obfite w niebie skarby, możemy rozradować Serce Jezusa, wywołać radość całego nieba, wyrывая piekło dusze bliźnich naszych; możemy już tu je uszczęśliwić, zapewnić im wieczne zbawienie, a sobie zgotać radość najczystsza, najprawdziwsza.

Ow służący milionowego pana (który swoją drogą ani grosza nie dał jeszcze na cele misyjne), pisze zatem w wyżej wspomnianym liście: „Przykro

mi, że przy wymienianiu w gazecie składek na cele misyjne, małe tylko summy zawsze spotykam; znak to oczywisty, że tylko ubodzy wspierają wasz dom misyjny. Ale tem większe błogosławieństwo Boże przywiązane będzie do tych pieniędzy, z trudem zebranych.“ —

Istotnie w naszych czasach wielkie dzieła opierają się przeważnie na pomocy ludzi biednych i mało znaczących. Bogaci schodzą z tego świata ubogimi, z próżnemi rękoma stają przed Sędzią Przedwiecznym, podczas gdy spadkobiercy rozdrapują ich spuściznę i swarzą się o nią pomiędzy sobą. Zdarzało się już, że bogaty skąpiec, nie chcąc nikomu pozostawić ukochanych nad wszystko pieniędzy, w ogień je rzucał przed zgonem, albo usiłował podstępnie zabrać ze sobą do grobu. I tak pewna bogata wieśniaczka na łożu śmiertelnem błagała dzieci, aby ją pochowały w czepku, który miała na sobie. Dzieci przyrzekły; później mniemały jednak, że ubliżałoby to ich matce chować ją w starym i brudnym czepecu — a zdjawszy go, znalazły zaszyte w nim pieniądze, z którymi stara kobieta nawet po śmierci nie chciała się rozstać*).

Inna kobieta za życia sama sobie trumnę przygotowała; wszyscy sądzili, że czyniła to z wielkiej pobożności, a tymczasem, gdy ją do tej trumny po śmierci składano, posłyszano brzęk dziwny, i przy bliższem obejrzeniu trumny, znaleziono ukryte w niej pieniądze, tak przez zmarłą ukochane.

Św. Augustyn jeszcze niezupełnie do Boga nawrócony i bój srogi z samym sobą toczący, posłyszał, że dwaj młodzieńcy wyrzekli się całej swej majątności, aby pełnić trzy rady ewangeliczne i Bogu zupełnie oddać się na służbę. Zachwycony tym

*) Powyższe zdarzenie, jakkolwiek wydaje się nieprawdopodobnem, jest zupełnie prawdziwe.

czynem, zawołał: „O biada nam! Ubodzy porywają Królestwo niebieskie, podczas gdy my, dumni z naszej wiedzy, tarzamy się w zmysłowości.“ Tak samo bogacze mogliby powiedzieć: „O biada nam! Ubodzy porywają Królestwo niebieskie, a my z naszym złotem, z naszymi dobrami, jesteśmy ubodzy i pozbawieni wszelkich zasług i bodaj, czy na sądzie ostatecznym nie posłyszemy tych słów straszliwych Pana Jezusa:

„Byłem nagi (w osobie biednych grzeszników, pogan i niewiernych, nie miałem szaty godowej) a nie okryliście mię, byłem spragniony (zbawienia ich dusz nieśmiertelnych) a nie напоiliście mię; łaknąłem (abyście się wzbogacili zasługami i dobrami uczynkami) a nie nakarmiliście mię.“

I cóż uczynił ów ubogi służący bogatego milionera? Oto przysłał Misyjonarzom polisę swego zabezpieczenia na życie, wraz z nadmienieniem, że ją będzie regularnie opłacał, aby skoro za życia nie może wiele dawać, przynajmniej po śmierci był dobroczyńcą domu. Z miłości ku Bogu postanowił nie wstępować w związki małżeńskie, ale wszystkiem co zarobi, pragnie wspierać działanie misjonarzy.

Inna biedna wyrobnica, zostająca w służbie u milionowego magnata, przyniosła misyonarzom całe swe oszczędności, a gdy ich przyjąć nie chciano, błagała natarczywie, zapewniając, że na starość zupełnie jej wystarczy renta i przytułek w domu ubogich. —

Czyż to nie są prawdziwie heroiczne ofiary?

Ktoby jednak zdołał przejrzeć te dusze szlachetne, byłby zniewolony przyznać, że św. gorliwość o zbawienie drugich i prawdziwe a chętne miłosierdzie i ofiarność już tu na ziemi wlewają w serca taką radość, pokój, zadowolenie, jakich zresztą nie nam tu dać nie może. Jest to jakby odbłysek wiecznej światłości pośród cieniów tej ziemi,

przedsmak szczęścia, w niebie nas czekającego. Gdybyś mógł, miły czytelniku, poznać tę radość i jej zakosztować, wołałbyś z pewnością: „O jakże pomyślną i szczęśliwą uczynili zamianę; za odrobinę dóbr swoich kupili cenną perłę, przewyższającą wszelkie ziemskie skarby!“

6. In hoc signo vinces 1894. W tym znaku zwyciężysz.

Drogi czytelniku, nie chciej nas tylko fałszywie rozumieć, nie mniemaj, jakobyśmy pragnęli namawiać cię do ofiar heroicznych, o jakich codopiero wspominaliśmy. Nie, nie jest to bynajmniej naszym zamiarem! Takich ofiar żądać nie można, one są owocem łaski Bożej i chętnego współdziałania z nią ludzi dobrej woli. Ale jeśli nie zachęcamy do tych wzniosłych czynów, to jednakże wolno nam takowe podnosić, podziwiać i ich przykładem pobudzać się do wielkodusznego pełnienia zwykłych cnót chrześcijańskich, do dobrych uczynków, podjętych z miłości Boga i dusz ludzkich.

Pobożna kobieta, kilkakrotnie już przez nas wspomniana, która razem ze starym ojcem całe swoje niewielkie mienie oddała domowi misyjnemu, żyje obecnie z wypłacanych jej przez misjonarzy procentów — które zupełnie wystarczają na skromne utrzymanie. I czemuże się teraz zajmuje? Oto czas, który nie spędza w kościele, poświęca ręcznej pracy na drutach dla domu misyjnego i dla misji w dalekich dzikich krajach. — Pracę swą i modlitwę Bogu poświęca; i tak dobrze uzbroiwszy duszę swoją, spokojnie śmierci wygląda. Słusznie, bo na skale niezachwianej utwierdziła dom swój.

I nietylko do niej, ale do wszystkich, którzy wedle sił i możliwości pomagają do rozszerzania wiary, do zbawienia dusz, do tych wszystkich zastosować można powyższe słowa. Zbierają oni plon istotny,

plon bogaty, gromadzą go sobie na wieczność całą! — Wielki to znak łaski Bożej, jeśli kto czuje się pobudzonym do ofiarności na rzecz rozszerzenia wiary św., Królestwa Bożego. —

Jeśli łaska taka daną nam została, dziękujmy za nią Bogu, bądźmy posłuszni jej głosowi; jeśli jej nie posiadamy, to prosimy o nią — bo i łaskę Bożą należy sobie wyprosić.

Nie lekajmy się być zbyt wielkodusznymi względem Boga; On bowiem w hojności nie da się prześcignąć swoim stworzeniom, a ma z czego dawać.

W domu misyjnym św. Krzyża odprawia się przez cały czerwiec bardzo uroczyste nabożeństwo do Serca Jezusowego. I dom ten oddany zupełnie na służbę Boskiego Serca; dla spełnienia Jego celów i pragnień chce istnieć i pracować.

A cóż może być piękniejszego, lepszego, szlachetniejszego jak pracować dla Pana Jezusa, dla Niego znosić wzgardę i cierpienie — a jeśli zażąda i życie swoje nieść Mu w ofierze.

Podczas nabożeństwa czerwcowego na część Najśłodszego Boskiego Serca braciszkanie śpiewają pieśń piękną i budującą, która prosto z serc naszych zdaje się płynąć do Boga, a poczyną się od słów:

„Czemuż poznałem Cię tak późno, o Piękności nieskończona, Czemuż prędkiej moim Cię nie niezwałem, najwyższe szczęście, prawdziwy spoczynku!“

Na pamiątkę tego nabożeństwa pozwolisz nam może, kochany czytelniku, zapisać do twego pamiętnika słówko małe; a jakże wielką byłaby nasza radość, gdybyś to zdanie czasem sobie przypominał i powtarzał; w niem bowiem mieści się cała mądrość chrześcijańska:

„Wszystko dla Jezusa!“

„Jezus po nad wszystko!“

„Nic, co się nie podoba Jezusowi!“

Od niedawna zaprowadzono w domu misyjnym nowe nabożeństwo sześciu niedziel ku czci św. Alojzego. Na tę uroczystość przybrano obraz świętego młodzieniaszka, a kazanie było poświęcone cnocie czystości.

Nieczystość jest największym złem, największym nieszczęściem ludzkości; ona to zaludnia piekło, ona porywa tysiące dusz, ona jest najzaciętszą nieprzyjaciółką spraw Bożych. Serce czyste — albo też obmyte we Krwi Chrystusowej, jest gruntem najspodobniejszym do żarliwej i czynnej miłości Bożej.

A kto Boga prawdziwie miłuje, ten dzieli również pragnienia Najśłodszego Jego Serca, ten będzie miał prawdziwie katolicką cnotę miłości dusz, będzie chciał przyczyniać się do ich zbawienia, aby kiedyś nie stanął z próżnemi rękoma przed sądem Bożym, ale pozyskał Panu dusz jaknajwięcej i mógł śmiało powiedzieć: „Oto są, Panie, te dusze, które w dobroci swojej pozwoliłeś mi wyrwać z przepaści złego — a tu są dusze, które mi poleciłeś do wyższej doprowadzić świętobliwości — oto żadnej nie brakuje.

Już w starym Testamencie żądał Bóg od wybranych swoich, aby pracowali nad zbawieniem współbraci i aby za nich Jemu się ofiarowywali. Dla tego Prorok Ezechiel woła z takim wzruszeniem i upragnieniem: Oto szukałem człowieka, któryby jako mur postawił się między mną a Bogiem moim — i nikogo nie znalazłem. I oto Pan sam skarży się przez usta Proroka: I szukałem z nich męża, któryby . . . stanął zastawiony przeciwko, mnie za ziemią, abych jej nie rozproszył: a nie znalazłem (Ez. XXIII, 30). Skoro Pan w starym Testamencie żądał już tak wielkiej miłości bliźniego i skarżył się gorzko, że jej nie znalazł, czegoż zatem nie żąda, czego się nie spodziewa od nas, którzy obficie zazwyczajmy owoców i łask Odkupienia?

A obojętność i brak serca tylu katolików sprawia niestety, że dziś jeszcze woła Pan Jezus: „Nie zastępowaliście na przeciw, aniście zastawili muru dla domu Izraelowego, abyście stali w bitwie w dzień Pański (Ez. XIII, 5).

Na froncie domu misyjnego, po nad figurą św. Andrzeja, opiekuna domu, umieszczono w zagłębieniu wizerunek patronki kaplicy, Matki Boskiej Bolesnej. Widzimy Ją u stóp krzyża, a na Jej łonie spoczywają zwłoki Boskiego Syna, siedem mieczy przeszywa Jej serce — a jednak spogląda tak miłośnie, z taką litością na mieszkańców domu, na jego dobroczyńców i współpracowników, na świat cały.

Chrońmy się pod Jej opiekę, w Jej macierzyńskie ramiona. Nie można bowiem skuteczniej, łez Jej osuszyć i bólu uśmierzyć, jak korzystając z łask, wysłużonych nam cierpieniem i śmiercią Chrystusową, a dopomagając innym do zbawienia.

Wtedy i my przyczynimy się do spełnienia tego, o co tak gorąco modlą się codziennie w domu misyjnym: „Przed światłem słowa i duchem łaski niechaj znikają ciemności grzechu i noc pogaństwa, i niechaj żyje Serca Jezusa w sercach ludzkości. Amen.“

A jeśli w sercu wszystkich ludzi żyć będzie Serce Jezusa, to przez to samo zakręluje w niem Bóg w Trójcy jedyny.

To też do powyższej modlitwy dodawajmy prośbę! „Niechaj Trójca św. żyje w nas i w sercach wszystkich ludzi.“

Gdyby dom misyjny św. Krzyża pozyskał w nas wszystkich gorliwych przyjaciół i współpracowników, mógłby swe zadania i cele spełniać w coraz szerszym zakresie; mógłby przyjmować coraz więcej wychowalców, wysyłać większą liczbę misjonarzy, którzyby w odległych ziemiach spełniali posłannictwo Chrystusowe. Poniosą oni coraz dalej i dalej krzyż

Pański i utwierdzą go tam, gdzie jeszcze dotąd nie jest znany i kochany, a tym sposobem i my wspólnie z nimi zwyciężymy potęgę piekielną. —

Krzyż jest niejako chrzestnym podarkiem dla każdego odjeżdżającego z domu misjonarza; zwycięstwo krzyża celem jego dążenia; krzyż jego znakiem.

I w tym znaku zwycięży!
In hoc signo vinces!

7. Tu są sami dobrzy katolicy 1894 r.

Czemu to misjonarze osiedlili się na Śląsku i właśnie w tak zupełnie katolickiej jego części, w pobliżu Nissy? Mogli byli wybrać sobie inne miejsce, tu są zupełnie niepotrzebni.“

Doprawdy, wierzyć się nie chce, aby katolicy mogli stawiać podobny zarzut, ale skoro go istotnie uczyniono, chcemy nań odpowiedzieć w kilku słowach.

Pierwszy dom misyjny wzniosł papież Grzegorz XV w samem centrum świata katolickiego, w Rzymie. I ani wtedy, ani później nikt się nie dziwił, czemu właśnie w Rzymie zostało założonem olbrzymie seminarjum dla misjonarzy, skoro tam wszyscy są, a przynajmniej do niedawna byli, dobrymi katolikami.

Powody, dla których w krajach czysto katolickich wznoszą domy misyjne, są tak jasne i zrozumiałe, że dotąd nie było potrzeby ich tłumaczyć, ani nad niemi się zastanawiać. —

Przypatrzymy się tylko zadaniu takich domów misyjnych, a raczej domów wychowawczych dla przyszłych misjonarzy: nie mówimy tu bowiem o stacyach misyjnych, jakie bywają zakładane w krajach pogańskich, albo niekiedy i w krajach katolickich, jako punkt środkowy dla dawania misji i do pomagania świeckiemu duchownictwu w pracy duszpasterskiej.

Pierwsze zadanie wychowawczego domu misyjnego, jakim jest właśnie dom św. Krzyża, stanowi wychowanie i kształcenie chłopców i młodzieńców,

powołanych od Boga do bohaterskiego i pełnego zaparcia się posłannictwa kapłanów misjonarzy.

Któż bowiem może przypuszczać, aby na kapłanów można było wysyłać i w dalekie posyłać krainy jako krzewicieli wiary, chłopców słabych, nie wykształconych i źle wychowanych? Albo może kto powie, że tych chłopców, tak młodych, można posyłać do pogańskich krain i tam ich dopiero kształcić? Pominąwszy już, że zakładanie wychowawczych domów w krajach pogańskich pociągałoby za sobą nieprzewidywane trudności — podobne żądanie byłoby dowodem niepojętego braku serca względem tych szlachetnych dzieci.

Ci młodzieńcy, pełni zapału dla wzniesłego swego powołania, są jednak fizycznie i umysłowo słabymi jeszcze i nierozwiniętymi; brak im sił, aby już teraz ponosić ofiary, do których spełniania w przyszłości, umacniają się i tak chętnie gotują.

Nie jeden ojciec liczy na młodego syna, że mu kiedyś w pracy pomoże i stanie się podporą jego starości. Dla tego bierze go ze sobą w pole, lub do warsztatu, uczy tajemnic i sposobów swego twardego rzemiosła, ale nie składa już teraz na słabe barki chłopięcia ciężarów, które sam z łatwością może udźwignąć. Wie bowiem dobrze, że pracę należy do sił stosować i że przedwczesne przeciążanie dziecka, może zważyć kwiat młody, a nawet życia go pozabawić. —

Podobnie dzieje się i z chłopcami, kształconymi na misjonarzy. Przedwczesne oderwanie od ojczyzny, rodziców, przyjaciół; niebezpieczeństwa i trudy nieodłączne od życia w dzikich krajach — to wszystko przewyższałoby ich siły i odwagę, i zważyło w samym rozkwicie piękny kwiat wzniesłego powołania.

Nie można zatem wychowawczych domów misyjnych wznosić w innych częściach świata, ale należy zakładać takowe w okolicach czysto katolickich:

1) Ponieważ powołanie do pełnego poświęcenia zawodu misjonarzy powstaje w sercu tylko wybranych dzieci Kościoła, przeważnie u dzieci pobożnych rodziców, a przez styczność z domem misyjnym i znajomość takowego, budzi się nieraz takie powołanie, wzmacnia się i staje o wiele żywszem.

2) Bliżkość wychowawczego domu misyjnego ułatwia znacznie rodzicom ofiarę rozstania. Przez długie lata mogą syna widywać, wiedzieć co się z nim dzieje, a tymczasem nabierają zaufania, że powołanie jego prawdziwe i przez wytrwałą, a bezustanną modlitwę umacniają serca do przyszej ofiary. Rozstanie stanowcze byłoby o wiele boleśnieszem, gdyby zaraz miało nastąpić, gdyby wiedzieli, że syn ich jeszcze zbyt słaby do tak ciężkiego powołania.

3) Bliżkość szkoły przyszłych apostołów jest potężnym głosem dla sumienia katolików, aby i oni przez czynne poparcie domu misyjnego przyczyniali się do nawrócenia i zbawienia pogan.

Wiemy jednak, że jeżeli wychowanie misjonarzy jest głównem zadaniem domu misyjnego, to wszelako nie jedynem, ale dom każdy ma jeszcze tyle pobocznych celów, a działalność jego tak zbawienna, że staje się błogosławieństwem dla całej okolicy i powstanie jego należy powitać z największą radością.

Owi przeciwnicy domu, którzy to mówią „Tu są sami dobrzy katolicy, czemuż misjonarze nie osiedlają się w innej miejscowości“ — czyżby oni mieli być katolikami tylko z nazwiska, a duchem zbliżonymi do zwolenników walki kulturowej, występujących przeciwko powrotowi zakonów, tych zwłaszcza, których szczególnem zadaniem praca kapłańska nad zbawieniem dusz. —

Mielizby nie wiedzieć, że misjonarze są zakonnikami, a że od lat dwudziestu świeccy i duchowni katolicy walczą wytrwale, aby uzyskać zupełną wolność dla zakonów i zakonników?

Wszakże i państwo i zwolennicy walki kulturalnej dość głośno wołają: Wy katolicy, nie potrzebujecie zakonów, macie dość świeckich księży.

A duchowni i świeccy odpowiadają na to jednogłośnie! „Zakony są nam potrzebne, i koniecznie mieć je musimy, nie tylko jako pomoc w obec ciągłego braku świeckich księży — ale również dla tego, że zakony będące kwiatem i ozdobą Kościoła św., swoją pracą i przykładem nas wszystkich pociągają do dobrego.“ Powyższe zdanie wypowiedzieli świeccy księża bez żadnej zgody zazdrości, a najszlachetniejsi z pośród nich szczególnie kładli na to nacisk. Gdy zatem przy powstaniu domu misyjnego niektóre głosy zamąciły tę piękną jednogłośnieść, sprawiły tylko niespodzianą, a wielką radość gazetom, zawsze wrogo dla katolicyzmu usposobionym. Była to dla nich zdobycz prawdziwa, to też głośno wołać poczęli, że teraz dopiero przekonują się, że i w katolickim obozie nie pragną powrotu zakonników. Pewien liberalny dziennik w południowych Niemczech, posłyszawszy o napaściach, czynionych na dom misyjny, a mniemając, że takowe mogą jedynie pochodzić ze strony wrogo dla Kościoła usposobionej — wyrażał żal swój z powodu walki, jeszcze niezaniechanej.

„Potrzebny nam jest przykład i działalność zakonników“ wołają katolicy.

Nie jest bowiem rzeczą małą wyrzekać się we wszystkim samych siebie, jak to czynią ci bohaterzy Chrześcijaństwa. Życie całe ugruntowane na trzech radach ewangelicznych i ujęte w karby ścisłej reguły i przepisannego na każdy dzień porządku, jest życiem bezustannej ofiary i wymowną nauką dla duchownych i świeckich, aby i oni przejmowali się duchem poświęcenia, gorącej miłości dla Boga i bliźnich.

Ale jeśli przykład każdego zakonnika jest budującym, to tem więcej przykład tych zgromadzeń,

które ożywione duchem ofiary, poświęciły się wyłącznie nawracaniu pogańskich ludów. —

Czyż znajdują się serca obojętne w obec zastępu bohaterów, śmiało śmierci w oczy spoglądających i gotowych każdej chwili wszystko opuścić, oddać się dobrowolnie na wygnanie, na stanowiska trudne i niebezpieczne, by tam utwierdzać krzyż Pański, głosić Ewangelią i dawać za nią w ofierze własne życie i krew swoją?

Pociąga nas każdy przykład, a tem więcej kapłanów, bo cóż wznioślejszego nad cnotę, umocnioną godnością kapłańską? Słowa uczą, ale czyny porywają: o kapłanach można to zwłaszcza powiedzieć. Dla tego działalność zakonników, a zwłaszcza misjonarzy jest tak skuteczną. Pierwszym warunkiem działania na dusze jest błogosławieństwo Boże, a takowe bywa zwykle udzielane w miarę miłości i poświęcenia pracujących kapłanów.

Owocem życia pełnego miłości Bożej i ducha ofiary jest zawsze miłość dusz ludzkich; bez tego owocu ani miłość Boga, ani miłość ofiary nie byłaby prawdziwą i stałą. Znajdujemy też tę miłość dusz u wszystkich świętych, i słusznie nazwać ją można charakterystycznym znamieniem świętości.

Pan Bóg nie tak nie kocha i niczego więcej nie pragnie jak zbawienia dusz ludzkich, to też najmilszą jest Mu ofiara, podjęta dla ich dobra.

A gdzie znajdziemy ten owoc miłości dusz piękniejszym, powszechniejszym, jeśli nie w zgromadzeniu misyjnym?

Chciaż ojcowie misjonarze, wychowujący przyszłe pokolenie krzewicieli wiary, już tem samem niezmiernie są zajęci, to jednak ich miłość dusz jest tak wielką, że znajdują jeszcze czas na pracę w konfesyjnych, na kazalnicy, w przyległych nawet parafiach, gdzie ich do pomocy wzywają — a ta praca stanowi ich największą radość i pociechę.

Dom misyjny św. Krzyża od dwóch lat zaledwie istnieje, a ile to dusz zawdzięcza mu zbawienie, ukojenie i łaski przeliczne. Czegoż dopiero można się po nim spodziewać, gdy się tak rozszerzy, jak dom misyjny w Steyl.

O tym ostatnim mówić jeszcze będziemy, i ufam z Bożą pomocą, że wszyscy zapragną mieć u siebie taki dom dobroczynny, że dadzą się pouczyć nawet ci, którzy powtarzali zdanie powyżej przytoczone, a dziwnie brzmiące w ustach katolickich — i razem z nami wołać będą:

„Tu jest kraj czysto katolicki*), dla tego dom misyjny jest tu bardzo odpowiedni; dzięki Bogu, że go posiadamy.“ —

*) Wyrażenia jak: „kraj czysto katolicki“ albo „sami dobrzy katolicy“ nie można dosłownie przyjmować, ale wiele dałoby się niestety o tem powiedzieć. Złe zrozumienie pragnień Serca Jezusowego, zupełna obojętność na wielką sprawę szerszenia Królestwa Bożego nawet u tak zwanych dobrych katolików budzi poważne powątpiewanie, czy oni naprawdę są tak dobrymi katolikami. A jeśli to się spotyka na zielonym drzewie, czegoż można się spodziewać po suchym? Istotnie w sercach ludności, osławionej ze swego przywiązania do katolicyzmu, dostrzedz można rany głębokie i niebezpieczne, nad których uleczeniem pragnie współpracować zgromadzenie Wielebnych Ojców misjonarzy.

8. „I w własnym kraju mamy dosyć pracy (1894).“

Kraje pogańskie takie odległe, bliższa ciału koszula od sukni.“

Na podobny zarzut już poprzednio odpowiedziliśmy, ale raz jeszcze chcemy się z nim rozprawić.

Istotnie w kraju dość mamy do czynienia i to tak dużo, że gdybyśmy chcieli czekać, aż tu pracy zabraknie, to owe nieszczęsne, dalekie ziemie, w których dotąd panują ciemności pogaństwa, nigdy nie dostałyby owoców odkupienia.

Wówczas gdy Pan Jezus rozkazał uczniom swoim iść na cały świat i głosić wszystkim ludom słowo zbawienia, Palestyna na była jeszcze wcale nawróconą.

Apostołowie nie pomyśleli jednak, aby się tem przed Mistrzem zasłaniać.

Chociaż nie byli jeszcze otrzymali Ducha św., i Boski Zbawiciel nieraz skarżył się na ich brak zrozumienia rzeczy Bożych, to jednak byli przekonani, że Królestwo Chrystusowe powinno obejmować świat cały i że postępowałiby wbrew woli Pańskiej, gdyby wszyscy chcieli zostać w Judei pod pozorem, że tam jeszcze dużo pozostaje do czynienia.

Nie zapomnieli jednak o własnej ojczyźnie, jej to najpierw poświęcili swą pracę; wkrótce jednak przekroczyli granice ziemi żydowskiej, i pomimo, że ich było tak mało, pomimo trudów i niebezpieczeństw, nieodłącznych w ówczes od każdej dalszej podróży

— widzimy ich, niosących w najodleglejsze strony światło Ewangelii.

I gdyby inaczej postępowali, gdyby późniejsi misjonarze nie byli wiernie naśladowali ich przykładu, ale czekali choćby tak długo aż zapobiegą najpilniejszym niedostatkom w gminach chrześcijańskich -- to dotąd bylibyśmy prawdopodobnie pogrążeni w barbarzyństwie, a może wielu z nas nie cieszyłoby się już życiem; wiadomo bowiem, że pogańscy rodzice nie zadają sobie trudu, by wychować wszystkie dzieci, ale zabijają je po urodzeniu.

Gdybyśmy nawet należeli do żyjących, duchowo bylibyśmy umarli. I chociaż Chrystus poniósł za wszystkich śmierć okrutną i pragnął zbawienia dusz naszych, przez nieposłuszeństwo wybrańców Jego światło Ewangelii byłoby zamknięte w zbyt szczupłych granicach. Troska o zbawienie dusz we własnym kraju nie uwalnia nas od obowiązku popieranie misji zagranicznych; a obowiązek ten w naszych czasach jest świętszym niż kiedykolwiek. Dla czego? Odpowiedź na to pytanie nader łatwa.

Czyż to nas nie boli, nie wstydzi, że całe rozległe krainy, dotąd jeszcze nie zaznały błogich owoców Odkupienia? A jednak upłynęło już całych 19 stuleci odkąd Zbawiciel umarł za nas na krzyżu.

Wprawdzie Kościołowi nigdy nie brakło apostołów, i gdyby poganie chętnymi byli w przyjmowaniu wiary św., nie niszczyli bezustannie zaledwie rozkwitających gmin chrześcijańskich, nie prześladowali i zabijali misjonarzy, to zapewne lepiej działałoby się u nich.

Nie można jednak zaprzeczyć, że zawiniły tu i ludy chrześcijańskie; gdyby się więcej zajmowały dziełem rozkrzewienia wiary i z niem współpracowały, inaczej przedstawiałyby się obecnie postać ziemi, a statystyka ludów chrześcijańskich byłaby daleko pomysłniejszą.

Gdy zatem dotąd niejedno zaniedbano, tem więcej jest naszym świętym obowiązkiem starać się o szerzenie Królestwa Bożego. Gdyby Bóg w chwale swojej mógł jeszcze cierpieć, to zapewne największą boleścią napełniałby Jego Serce widok tyłu pogańskich ludów, a z drugiej strony obojętność i brak serca katolików, którym zupełnie wystarcza, że sami są dziedzicami szczęścia niebieskiego i nie myślą spieszyć z pomocą biednym poganom.

Ale jeśli Boga, w ścisłym znaczeniu tego słowa, nie możemy zasmucać, to wolno nam radować Jego Serce Najśw. — a spełnimy to najlepiej, pracując nad rozszerzeniem Królestwa Bożego, nad zbawieniem dusz.

Świat nasz ma się wyrażnie ku końcowi, przemawiają za tem różnorodne znaki. Gdy zatem Chrystus ukaże się jako sędzia straszliwy, cóż powie, gdy większą część ziemi ujrzy pogrążoną w pogaństwie?

Karzące Jego spojrzenie nie spocznież zwłaszcza za to na duszach wybranych? O zapewne, ci wszyscy, którzy kochali Pana, którzy spoczywali na Jego piersi, a nie zaspokoili palącego Jego pragnienia, by dusze zostały zbawione, ci zwłaszcza wołać będą:

„Góry spadnijcie na nas, pagórki przykryjcie nas.“

Obowiązek pracy i ofiarności dla misji zagranicznych odpowiednio do majątku i pobożności każdego z nas, nie ogranicza bynajmniej pracy nad zbawieniem dusz w krajach katolickich, ale przeciwnie wielokrotnie się przyczynia do podniesienia takowej. Każde spełnienie obowiązku, każde szlachetne dzieło ściąga na nas obfite łaski i nagrodę niebieską. Gdy zatem chrześcijanie starają się gorliwie, aby Imie Pańskie było znane i czczone w dalekich krainach, to i oni sami coraz więcej ukochają to słodkie Imię. Następnie, jak już wspomnieliśmy, przykład bohaterskich misjonarzy nie może pozostać bez zbawionego wpływu na bliższe otoczenie. Po-

bożność i zapal święty rozbudzi się w sercu młodzieńców, jedni zapragną poświęcić się pracy apostołskiej, ale wielu innych pobudzi to wzniosły poświęcenie do wyboru stanu duchownego we własnej ojczyźnie.

W ten sposób dom misyjny nie tylko nie umniejsza kleru dycezyjalnego, ale przyczynia się do jego wzrostu, i sam przez swych kapłanów gorliwie pomaga w pracy w winnicy Pańskiej. —

Pobożność i cnota wzrosną wtedy, a razem z niemi duch ofiarności i miłosierdzia. Co dawniej wydawano na zbytki i rzeczy niepotrzebne, odtąd poświęcać będą na dobre uczynki, a zwłaszcza na potrzeby Kościoła w kraju i za granicą.

Wspieranie misji zagranicznych i kształcenie misjonarzy jest naszym świętym obowiązkiem; uznamy to zastanowiwszy się, że biedni poganie nie mogą sami starać się o swoje zbawienie, a tymczasem w kraju katolickim, kto tylko ma trochę dobrej woli, kto tylko się zdobędzie na małą ofiarę, nawet wśród najbardziej niesprzyjających okoliczności, może znaleźć co mu potrzeba do zbawienia duszy.

Ale w naszych czasach dzieło rozkrzewienia wiary dla tego zwłaszcza jest tak niezmiernie ważnem, bo teraz właśnie nastąpiła chwila przełomu dla całych części świata: budzi się ciemna Afryka, oto Chiny wyrzekają się swego odosobnienia, a inne kraje Azji łączą się z narodami europejskimi. Tak, teraz nastąpiła chwila stanowcza! Jeśli my katolicy w tyle beczynnie pozostaniemy, to wszystkie te kraje i części świata staną się łupem sekciarstwa, martwego i bezowocnego; biedni poganie otrzymają zaledwie powierzchowne pojęcie o chrześcijaństwie, mało co więcej nad imię chrześcijan; poznają występki cywilizacyi, a nie nauczą się skutecznej z niemi walki — i tak nowe barbarzyństwo stanie się tam gorszem, bardziej wyrafinowanym niż było poprzednie.

Niedawno mieliśmy pod ręką statystykę sum, po większej części z Anglii napływających, któremi rozporządzają misye protestanckie, a porównanie ich ze środkami misji katolickich smutnem jest dla nas i upokarzającym. Zaprawdę można tu powtórzyć słowa Pana Jezusa: „Synowie tego świata roztropniejsi są w swoim rodzaju nad Syny światłości (Luk. XVI.).

Czyż wstydić się nie powinniśmy, my katolicy, że protestanci przewyższają nas ofiarnością?

Nie ludźmy się dłużej przynajmniej! Jeśli nadal pozostaniemy równie opieszałymi, to całe kraje, całe części świata, na wieki będą stracone dla Kościoła, dla nieba. Stracone, i z czyjej winy? Straszna to prawda, myśl pełna grozy i wyrzutów sumienia. Z naszej winy krwawi się Najśłodsze Serce Jezusa! A na sądzie ostatecznym jaki czeka nas wyrok? — Jakby uderzeniem sztyletu będą dla nas słowa Jezusowe: „Byłem nagi, a nie przyodzialiście mię; byłem spragniony, a nie napoiлиście mię; łaknąłem, a nie nakarmiliście mię.“

Chcąc uniknąć tego największego nieszczęścia, nigdy nie kończąc się zgryzoty, należy „wstać wcześniej“ i z całym zapalem popierać wielkie dzieło rozkrzewienia wiary.

To jest ów kosztowny olejek, który za przykładem św. Magdaleny możemy wylewać na głowę Chrystusową; to jest maść wonna do namaszczenia świętych stóp Jego, najlepsza chwała, jaką świadczyć Mu możemy.

Nieraz przedkładano dobrodziejom domu misyjnego, zwłaszcza z ludu pochodzącym, że lepiej uczynią, jeśli swą jałmużnę dadzą ubogim, a nie misjonarzom.

Podobny zarzut nigdy jednak nie wyszedł z ust prawdziwie pobożnych, choćby ludzi najbiedniejszych: ci biedacy, udarowani łaską i przyjaźnią Bożą, czują

się stokroć bogatszymi od tych, którzy żyją zdala od Boga, narażeni na to, że Go nigdy nie znajdą, nigdy nie posiadą. Widzieliśmy już przykłady heroicznego dla misji poświęcenia właśnie wśród ludzi najuboższych, którzy dobrze zrozumieli, że nędza doczesna, choćby największa, niczem nie jest w porównaniu z nędzą duchową, z brakiem łaski Bożej.

Jak niegdyś wdowa ewangeliczna włożyła do skarbony kościelnej grosz ostatni, tak i dzisiaj widzimy ubogich, którzy ofiarują Bogu z radością krwawicę potu swego i cieszą się, że z miłości ku Bogu mogą wspierać biedniejszych od siebie. Wyrzekli się chętnie przyjemności i wygod, jakie pieniądze dać może, żyją biednie, byle tylko przyczynić się do szerzenia chwały Bożej, do zbawienia dusz.

Ale i pomiędzy ludźmi dobrze się mającymi znajdujemy serca szlachetne, które by tem hojnej móżd przyjsć z pomocą misjom zagranicznym; do ostateczności ograniczają własne potrzeby i żyją tak skromnie, że owi ubodzy, którzy to niechętnie patrzą na wspieranie dzieł Bożych i woleliby sami otrzymać te pieniądze, daleko więcej sobie pozwalają.

Gdy Magdalena wonnemi olejkami skrapiała stopy Chrystusowe, dały się słyszeć głosy, a pomiędzy niemi i zdrajcy Judasza, które ganiły czyn jej pobożny, twierdząc, że lepiej, aby pieniądze oddała ubogim. W tych słowach mieściła się ukryta wymówka dla Jezusa, że przyjmował hołd pokutującej grzesznicy.

Zbawiciel jednak, przenikając serca szemrzących, ujął się za Magdalena, czyn jej pochwalił i równocześnie sam się usprawiedliwił, mówiąc: „Ubogich zawsze między sobą mieć będziecie.“

Skoro zatem Zbawiciel pochwalił hołd złożony Mu przez Magdalena, to tem więcej uznaje i chwali misjonarzy i dobrodziej dzieła misyjnego, albowiem cześć, którą Jemu oddajemy pracując nad zbawieniem

dusz, jest Panu najmiłsza. Tym sposobem oddając Panu chwałę, zaludniamy niebo, wyrrywamy szatanowi dusze nieśmiertelne, i na te dusze, stworzone przez Boga Ojca, odkupione przez Boga Syna, zlewamy łaskę Ducha św.

9. Co dotąd zdziałało zgromadzenie Boskiego Słowa*).

Niepodobno jest objąć całej działalności Zgromadzenia; ma ona przede wszystkim na celu dobro dusz i zakrytą jest przed okiem ludzkim, Bogu jednak dobrze znaną: dopiero na sądzie ostatecznym ujawnioną zostanie ku chwale misjonarzy i ich dobroczyńców, a na zawstydzenie przeciwników, nieprzyjaciół i tych wszystkich, którzy nie rozumieli miłości dusz, a bez tego ich miłość ku Bogu nie była też prawdziwą i głęboką.

Nie możemy zatem powiedzieć jak ciężkie grzechy zostały powstrzymane pracą misjonarzy, o ile przyczyniali się oni do wzrostu cnót i dobrych uczynków, jak wielką miłość ku Bogu i bliźniu rozpalili w duszach ludzkich, w ilu duszach tę świętą miłość zbudzili, lub utwierdzili. Dojrzeć nie możemy, jak dobroczynna ich działalność rozszerza się przez innych coraz dalej i dalej, i rozszerzać się i wzrastać będzie aż do dnia ostatecznego.

Sam zatem Bóg wraz z Aniołami i Świętymi w niebie ocenić tylko może błogą działalność zgromadzenia Boskiego Słowa. Pobieżne i powierzchowne zestawienie czynów dokonanych przez Misjonarzy znajdujemy jednak niekiedy w pismach, przez nich wydawanych („Kalendarz św. Michała, Mały posłannik

*) Powyższy rozdział napisany w roku 1894, został przerobiony do nowego wydania w roku 1899 — aby i najnowsza działalność Stowarzyszenia mogła tu być wspomniana.

Serca Jezusowego, Św. Miasto Boże). Podają oni takowe dla okazania przyjaciołom i dobroczyńcom, że nie tracą czasu, nie stoją z założonemi rękoma.

Takie zestawienie jest wszelako bardzo suchem i niedokładnem: nie nam bowiem nie mówi o błogich owocach, zdziałanych pracą misjonarzy w duszach ludzkich, nie o radości, jaką napełnili Serce Jezusowe i niebo całe, nie o pokoju i szczęściu, jakie dali zakosztować biednym grzesznym duszom.

Rozpatrując zatem suche liczby statystycznego zestawienia, zastanówmy się nad wspaniałym rozrostem nasieria Bożego, nad bogactwem łask i błogosławieństw, z nieba na ziemię ściągionych.

Zgromadzenie Boskiego Słowa założone zostało w roku 1875 — przyłączyło się zaraz do niego kilku kleryków, blizkich wyświęcenia na kapłanów, dzięki tej okoliczności już 18go Stycznia 1882 było można, wysłać do Azji pierwszych misjonarzy. Ojciec św. zlecił nowemu zgromadzeniu pracę w Chinach południowych w Szantongu, wówczas zupełnie jeszcze pogańskim, gdzie w roku 1885 został ustanowiony wikaryat apostolski.

Wkrótce po przybyciu dwaj pierwsi misjonarze (Najprzewielebniejszy ks. Biskup Anzer i O. Freinademetz) mieli szczęście, cierpieć dla Jezusa srogie katusze, a nawet krew swą przelać, jakkolwiek Pan Bóg zachował ich przy życiu. W dzień wszystkich Świętych 1897 r. dwaj gorliwi misjonarze O. Franciszek Nies i O. Ryszard Henle ponieśli śmierć okrutną, zamordowani przez pogańskich żołnierzy, pałających nienawiścią ku wierze św.; a w listopadzie roku następnego O. Jerzy Marya Stenz całe dwa dni był srodze męczony przez nieprzyjaciół wiary.

Pomimo rozlicznych przeciwności i trudności stan misyi w Szantung jest bardzo zadawalniający. Ze sprawozdania pierwszego tamtejszego biskupa, wspo-

nnianego już ks. Anzera wyjmujemy następujące zestawienie:

Na Wielkanoc 1898 r. w południowym Szantungu znajdowało się:

1. Ochrzczonych żyjących chrześcian	10 940
Od 18go stycznia 1882 do Wielkanocy 1898 zmarło Chrześcian	3 141
Liczba wszystkich, którzy przyjęli Chrzt. św. wynosiła zatem	14 081
2. Katechumenów przyspasabiających się do Chrztu św.	27 869
3. W roku ubiegłym ochrzczone	
a) Pogan	1 694
b) dzieci rodziców pogańskich	227
c) dzieci pogańskich zostających w niebezpieczeństwie życia	5 853
4. Bierzmowani	64
5. Spowiedzi	17 852
6. Komunii św.	17 260
7. Ostatnie namaszczenie	155
8. Zmarłych	389
9. Śluby udzielone	108
10. Kościołów w europejskim stylu	3
Kaplic	72
Domów modlitwy	225
11. Chińskie wyższe szkoły 20, liczba uczniów	283
12. Chrześcijańskie szkoły ludowe	121
Liczba uczniów	1 545
13. Domy sierot 4, Sierot w zakładach	387
14. Seminaria	2
a) Wyższe seminaryum dla kapłanów w Zining Subdiakonów	7
Studujących filozofią	4
b) małe seminaryum dla chłopców w Pnoly. Alumnów	20
15. Przytułki dla starców 3. Staruszków przygarniętych	80

16. Misyjonarzy Europejczyków	30
Kapłanów Chińczyków	5
Braciszków Europejczyków	9
17. Chinczyków lekarzy i aptekarzy	59
18. Katechetów nauczycieli i nauczycielek	260

W Argentynie w południowej Ameryce było w listopadzie 1898 r. 22 kapłanów misjonarzy, 21 braciszków zakonnych i 4 zakonnice; pracowali oni przeważnie pośród tamtejszych emigrantów Niemców, którzy dotąd byli po części zupełnie pozbawieni pieczy duchowej. Na przestrzeni dorównującej obszarem całej Nadreńskiej prowincji powstało 20 kościołów i kaplic, oraz 20 szkół parafialnych, które misjonarze wzniesli przeważnie sami z pomocą miejscowych kolonistów.

W prefekturze apostolskiej Togo w zachodniej Afryce, od 28go sierpnia 1892 r. w pięciu stacyach misyjnych pracuje 10 misjonarzy, 9 braciszków i 5 zakonnice. Aż do listopada 1898 powstało tamże 15 szkół, odwiedzanych przez 800 czarnych dzieci.

W lecie 1896 r. ustanowioną została prefektura apostolska na wyspach Nowej Gwinei (Australia) w części zostającej pod zwierzchnictwem Niemiec nazwanej Krajem cesarza Wilhelma. Tamże na dwóch stacyach misyjnych czynnymi było w Listopadzie 1898 r. 4 Ojców i 4 braci. W styczniu 1899 r. pospieszyło im z pomocą 2 ojców, 3 braci i 4 siostry zakonne.

W Ekwadorze po zgonie O. Pierlo pozostał jeden tylko kapłan. Pomimo licznych szykan i prześladowań ze strony nieprzyjaciół wiary św., udało się O. Neuenhafen pozostać jednak w tym kraju i pracować nad zbawieniem dusz. Chętnie posłanoby mu pomocników, ale w kraju tym wzbroniono przystępu misjonarzom.

Od roku 1895 i do Brazylii dotarli OO. Misyjonarze i czynnymi są chwilowo w trzech dyecezyach;

w Espirato, St. Petropolis i Kurytybie. Seminaria duchowne dwóch pierwszych dyecezyi zostają pod kierunkiem Ojców ze zgromadzenia Boskiego Słowa. Jest tam 12 kapłanów i 5 braci, i zajmują się jeszcze pieczęcią duchową zwłaszcza pośród niemieckich kolonistów.

W Stanach zjednoczonych północnej Ameryki znajduje się również 2 kapłanów i 3 braci ze zgromadzenia Boskiego Słowa, a mianowicie w Milton dyecezyi Harrisburg. Ojcowie zajęci są pracą duszpasterską, bracia szerzeniem dobrych pism i książek.

W roku 1877, a zatem już trzeciego roku od otwarcia domu misyjnego w Steyl, urządzono tam pierwsze rekolekcye dla mężczyzn.

Nie potrzebujemy się rozwodzić nad zbawiennym wpływem takich ćwiczeń duchowych: dusze Boga miłujące zagrzewają one do postępu w cnocie, a serca grzeszne i w złem zatwardziałe pobudzają w sposób zupełnie cudowny do nawrócenia i odmiany życia. —

Pierwszym razem 133 mężczyzn wzięło udział w rekolekcyach; dom misyjny był jeszcze mały, a wszyscy rekolektanci znaleźli w nim przyjęcie za skromną bardzo opłatą. Z roku na rok liczba przybywających zwiększała się, podwajała nieraz, a w roku 1898 doszła do poważnej cyfry 3072; pomiędzy tem 216 świeckich kapłanów i 1198 kobiet, przyjętych w domu zakonnice misyonarek. Ogółem do roku 1898 18 tysięcy osób odprowadziło w Steyl ćwiczenia duchowne.

Któż pojmie i wypowie ile z tąd błogich w duszach owoców!

Zdarza się nieraz, że po odbytych rekolekcyach całe gromady mężczyzn, uszczęśliwionych odzyskanym pokojem i szczęściem wewnętrznym, ostatnie spojrzenie rzucają jeszcze na dom błogosławiony, w którym tyle łask otrzymali, w uniesieniu radości powiewają

czapkami i głośno wykrzykują: „Pozbyłem się naraćcie, woła niejeden — grzechów nieszczęsnych, które mię przygniatały tak długo i tak ciężko.“

Ale nietylko rekolektanci otrzymują w domu misyjnym pomoc duchową; przez cały rok dążą tam dusze, spragnione manny niebieskiej, i odchodzą odnowione, wzmocnione, pocieszone.

W niedziele i święta zamiast wypocząć po trudach całotygodniowych, Ojcowie dążą z pomocą duchową parafiom bliskim i odległym. Któż zliczy, ilu duszom niosą tym sposobem zbawienie, utwierdzenie w cnocie? Dość powiedzieć, że w ciągu roku taką pomoc duszpasterską udzielano w różnych parafiach z domu misyjnego w Steyl w 500 przypadkach. Również i misye dla ludu miewają ojcowie zgromadzenia, gdy są o to proszeni, a czas im pozwala.

Błogą działalność domu misyjnego w Neuland na Ślązku już poprzednio obszernie omówiliśmy: nie chcemy się tutaj powtarzać, zwracamy tylko na to uwagę czytelników.

Dom misyjny św. Gabryela pod Wiedniem niemniej jest czynnym i gorliwym w niesieniu bliźnim duchowej pomocy.

Na polu literackiem zgromadzenie pracuje również z niemałym powodzeniem; i ta jego działalność zasłużyła na uznanie i pochwałę najwyższej głowy Kościoła św.

Znane nam są dusze, które temu dobremu posiewowi książek budujących, tak obficie rozchodzącemu się z domu misyjnego, zawdzięczają nawrócenie i utwierdzenie w cnocie, wyższy polot ku niebu.

Mówiąc o działalności Stowarzyszenia na zewnątrz, nie zapominajmy o ich pracy wewnętrznej i nie ceńmy takowej zbyt nisko. O tak, nie ceńmy zbyt nisko ich pracy nad własnem udoskonaleniem! Kto zrozumie i pojąć zdoła ile znaczy w oczach Boga

uświętobliwienie jednej jedynej duszy —; Pismo św. dość wyraźnie nam to przypomina na każdej karcie.

Stowarzyszenie Boskiego Słowa jest ogniskiem cnót wdzięcznych i heroicznych. Pierwszem jego zadaniem uświętobliwienie własnych członków, a zadanie to spełniało dotąd w zdumiewający sposób, i nadal z łaską Bożą tak samo spełniać je będzie. To zadanie Stowarzyszenia ujawnia się zwłaszcza w zakładach wychowawczych dla przyszłych misyonarzy. Dom misyjny św. Michała w Steyl liczył w Listopadzie 1898 r. przeszło 600 osób, a mianowicie 42 kapłanów, 278 braci, 302 wychowanców. Wzniesiono tam również osobny dom dla sióstr zakonnych, liczący 18 zakonnic klauzurowych i 114 misyonarek, które pracą ręczną służą domowi misyjnemu, a po części zaprawiają się do cennej służby w misjach zagranicznych. Wysłano już nawet kilka sióstr do Argentyny, Togo i do kraju cesarza Wilhelma.

Dom misyjny św. Gabryela w Mödling pod Wiednem przeznaczony jest wyłącznie na nowicyat dla kapłanów zgromadzenia; odbywają tam studia filozofii i teologii, a również przyswajają sobie liczne praktyczne wiadomości, tak potrzebne misyonarzom w dzikich krajach, n. p. budownictwa. W Listopadzie 1898 było tam zatrudnionych 16 kapłanów, 217 kleryków i 82 braci, razem 316 osób.

Dom misyjny św. Krzyża w Neuland p. Nissą liczył 1 go Listopada 1898 r. 21 kapłanów, 67 braci i 198 wychowanców: razem 286 osób.

W St. Wendel, dyecezyi Trewirskiej, powstał nareszcie pod koniec 1898 r. dom nowy i dawno upragniony.

Na wiosnę 1899 było tam zajętych 2 Ojców i 14 braci: pierwsi wychowawcy wkrótce zostaną przyjęci.

Do Rzymu wysła Stowarzyszenie kilku swoich kapłanów, dla wyższych studiów teologicznych. W listopadzie było tam 5 księży i 1 braciszek.

I tak całe zgromadzenie i każdy z pojedynczych jego członków pracuje nieustrudzenie wszelkimi siłami, i nadal przy pomocy łaski Bożej pracować będzie na chwałę Bożą, dla zbawienia i uświęcenia dusz ludzkich. —

10. W jaki sposób można dopomagać Zgromadzeniu Boskiego Słowa.

Czytamy w Piśmie św., że kto służy ołtarzowi, żyje też z ołtarza

Prawdę słów powyższych uzna zapewne każdy katolik. Czas i siły kapłana poświęcone są służbie Bożej i pracy dla dobra dusz, jest też obowiązkiem wierzących, starać się o jego utrzymanie. W krajach katolickich pobożni nasi przodkowie uwolnili nas po części od tej powinności, przez nadanie gruntów, lub przez różne fundacye na potrzeby Kościoła. Z tych źródeł płyną jeszcze teraz niejednokrotnie fundusze, czy to na budowę czy na odnowienie domów Bożych. To samo co inni dla nas uczynili, i my czynić powinniśmy dla naszych współbraci najbardziej potrzebujących, najbardziej opuszczonych.

Misyjonarze, jakkolwiek upoważnieni do liczenia na pomoc wiernych odnośnie do zaspakajania codziennych swych potrzeb i pozyskania środków dla celów misyjnych, naśladują jednak przykład św. Pawła, który tkając płótno na namioty, zarabiał na utrzymanie życia, i oni również pomimo przeciążenia pracą zawodową, jeszcze na chleb pracują. Piszą i rozszerzają pobożne książki i pisma, a obrali ten właśnie rodzaj pracy, aby równocześnie móż się przyczynić do pomnożenia chwały Bożej, do zbawienia dusz.

Dom misyjny w Steyl posiada własną wielką drukarnią, a obok tego zakład fotograficzny, rytowniczy, malarski, introligatorski, zatrudniający wielu

braci. Są tam również inne warsztaty, zaspakajające tanim kosztem wszelkie potrzeby domu misyjnego. I tak przez pracę, oszczędność i ścisłe pełnienie ubóstwa, zgromadzenie może daleko więcej czynić dla celów misyjnych niżby to można przypuścić, ze względu na ograniczone środki, jakimi rozporządza*). Książki i pisma układane i drukowane w domu misyjnym, muszą znaleźć nabywców, a to trud nie mały: pole działania dla wielu dusz pobożnych, sposobność do pracy nad rozszerzaniem Królestwa Bożego.

Zabierzcie się ochoczo, wy serca pobożne i miłosierne, do rozpowszechniania pism i książek Stowarzyszenia; tym sposobem dacie braciom waszym zdrową i uszlachetniającą strawę duchową; przyspożycie Zgromadzeniu nowych przyjaciół i przyczynicie się do pomnożenia ich funduszy. Ojciec św. obdarzył szczegółowem błogosławieństwem każdego, ktokolwiek pomaga misyonarzom w pisaniu książeczek, albo w ich rozpowszechnianiu.

Od niedawna w domu misyjnym św. Krzyża w Neuland urządzono osobny skład książek i pism. przez Zgromadzenie wydawanych. Można wprost ztamtąd sprowadzać bądź kalendarz św. Michała, bądź pisma i książki w pojedynczych egzemplarzach, albo w większej ilości, celem dalszego rozprzedawania.

Jakkolwiek Zgromadzenie Boskiego Słowa nie-strudzenie na chleb pracuje, jakkolwiek się ogranicza, nie może się jednak obyć bez ofiarnej pomocy wiernych.

*) Wielu braci zakonnych zatrudnionych jest przy gospodarstwie rolnem i podwórzowem; wielu przy kuchni i utrzymaniu domu, liczącego 600 członków. Dwa do trzech tysięcy mężczyzn, przybywa tam corocznie na rekolekcyje, otrzymuje pomieszczenie i całkowite utrzymanie. Prowadzenie takiego domu nie małego wymaga zachodu!

Misyjonarze mają wszelkie prawo, odzywać się do nas: „My z całych sił pracujemy nad szerzeniem Królestwa Bożego, nad zbawieniem dusz, wy starajcie się dla nas o chleb powszedni.“

Kto zdoła się oprzeć ich prośbie? Kto im odpowie: „Nie, chleba mego z wami nie podzielę; mógłbym kiedyś potrzebować zaoszczędzonych pieniędzy“ — albo: „Moje grosze zbyt mi są miłe“ — albo „Mam dzieci, którym mogłoby się później przydać, to co chcecie abym wam oddał“ — albo: „Chcę aby moim dzieciom, moim siostrzeńcom kiedyś dobrze się powodziło, dla tego nie uszczuplę ich dziedzictwa. Oni muszą być bogaci, coraz bogatsi; wy biedni misyjonarze możecie umrzeć z głodu, albo wyrzec się waszych śmiałych planów. Nie nakłaniałem was do nich, nie też nie dam.“

Czyż tak może przemawiać serce prawdziwie katolickie? Czyż nie słuszną, aby każdy, choćby mniej hojnie uposażony dobrami ziemskimi, mówił raczej: „I ja, o ile zdołam, pragnę wam dopomóc.“

I jak niegdyś uboga wdowa z Sarepty, zaufawszy Panu, karmiła Proroka z szczupłego zapasu oliwy i maki — zarówno i dzisiaj niejedna kobieta z ludu, niejeden biedny wyrobnik dzieli chleb swój krwawo zapracowany z krzewicielami wiary.

A ich miłosierdzie już tu na ziemi na ich mienie doczesne ściąga błogosławieństwo Boże, jeśli nie w tak cudowny sposób jak u owej wdowy z Sarepty, to jednak niemniej prawdziwie i potężnie.

Pewna pobożna dusza następującą dawała radę: „Nie masz dzieci — uczynź Chrystusa twoim spadkobiercą. Masz dwoje dzieci, pomyśl, że z Chrystusem masz ich troje; masz troje, niechaj Chrystus będzie czwartym; masz dziesięcioro, Chrystusa weź za jedynaste i uczynź Go również twoim spadkobiercą.“

Czyż to nie dobra i zbawienna rada?

Ale mówiąc o dziedzictwie, niechaj nam będzie wolno odpowiedzieć na jedno jeszcze pytanie:

Jestże rzeczą godną polecenia pamiętać w testamentach o domu misyjnym św. Krzyża i w ogóle o zgromadzeniu Boskiego Słowa?

Niejeden przyjaciel domu misyjnego odpowie może twierdząco na powyższe pytanie. Tymczasem rzecz dziwna w testamentach, sporządzonych nawet przez znających się na rzeczy prawników, a zwłaszcza w testamentach czyniących zapisy na cele kościelno katolickie, znajdzie się zawsze jakiś błąd formalny, a błąd taki wystarcza, aby kto z roszcujących sobie prawa do spadku, unieważnił cały testament i przeszkodził w spełnieniu szlachetnych zamiarów testatora.

Nadto przy zapisach dobroczynnych przenoszących sumę 3000 M. potrzeba uzyskać potwierdzenie rządowe — a takowe często bywa odmawiane, jeśli obdarzonym jest Kościół katolicki.

Byle jaki krewny zwraca się do cesarza z prośbą o nieuznanie testamentu i oto „ostatnia wola“ zmarłego obalona; zdarzało się nawet, że chcąc zrzucić testament, rząd sam szukał krewnych nieboszczyka aż do szóstego stopnia.

Na potwierdzenie słów naszych dwa tylko podajemy przykłady.

Przed kilku laty w Berlinie pewna kobieta zapisała kościołowi św. Jadwigi cały swój majątek wraz z domem i kawałem roli.

Wiadomo na jak zbawienne cele katolicy byli mogli zużytkować podobny zapis.

Ale co się stało? Państwo nie zatwierdziło wyraźnej woli legatorki.

A równocześnie centrum przyznawało z funduszy państwowych (składanych zatem i przez katolików) 10 milionów na budowę tumu protestanckiego! —

Nie wiemy i nie pojmujemy, czemu centrum i cała prasa katolicka przyjęły ten policzek tak cicho.

i spokojnie. Zapewne nawykli już do podobnego obchodzenia się.

Pewien katolicki proboszcz zrobił dla misji zagranicznych znaczniejszy legat. Państwo z zadziwiającą „delikatnością sumienia“ uznało, że nie dość jasno oznaczono tu, kto ma być spadkobiercą i dla własnego „uspokojenia“, podzieliło spadek pomiędzy misje katolickie i protestanckie. -

Zważyć jeszcze należy, że zapisy przewyższające 3000 M nie bywają nigdy wypłacane instytucjom kościelnym, nie posiadającym praw korporacyjnych. Otóż dom misyjny św. Krzyża praw takich nie posiada i nigdy o nie starać się nie będzie, nie chcąc się wystawiać na inne trudności.

Większe zapisy przekazane testamentem na rzecz domu misyjnego wówczas tylko mogą liczyć na uznanie i wypełnienie, jeśli takowe zostaną uczynione na imię zaufanej osoby, z wyraźnem zastrzeżeniem, na jaki cel są przeznaczone.

Ale nawet gdy wszystko uda się szczęśliwie przeprowadzić, znaczna część zapisanej summy (ośm procent) odpada zawsze na stempel spadkowy.

A zatem czyż mamy nie nie zapisywać na dobre cele, a zwłaszcza na dom misyjny św. Krzyża?

O nie. Wręcz przeciwnie radzimy ci, miły czytelniku, skorzystaj właśnie z nauki o niepewnych losach zapisu, skutkiem ucisku państwa i chciwości spadkobierców. Słyszałeś może, że św. Augustyn nazywa jałmużnę czynioną ze swego mienia w pełni sił i zdrowia „złotą jałmużną“ — a gdy ją dajesz przy śmierci „miedzianą“ — a po śmierci drewnianą.

O ile zatem złoto cenniejszem jest od drzewa, o tyle jałmużna, za życia uczyniona przewyższa zasługą pośmiertne zapisy.

Jasną jak słońce jest tego przyczyna. Do grobu nie ze sobą zabrać nie możemy i w każdym razie trzeba nam się rozłączyć z majątnością naszą. Za-

pisując ją zatem ubogim daleko mniejszą mamy zasługę, niż gdybyśmy za życia wyrzekli się jej posiadania. Na progu wieczności dobra ziemskie tracą urok w oczach naszych; ich rozdanie mniej nas kosztuje, ale i mniej też jest zasługującym

Ale może nie jesteś bogatym, nie możesz zarabiać i żyjesz z procentów od małego kapitału.

Jeśli pragniesz ten kapitał oddać Panu Jezusowi dla celów misyjnych — możesz śmiało już za życia powierzyć go misyonarzom, wymawiając sobie rentę dożywotnią, jak to już uczyniło kilka osób. Nie mów, że z takiego daru domowi misyjnemu nie nie przyjdzie. Steyl powstał przeważnie z takich darów.

Ale może posiadasz hypoteki, które nie chcesz, lub nie możesz spowiedzieć. I na to jest rada: hypoteki można prawnie cedować z zastrzeżeniem sobie dożywotnego używania procentów.

Pragniesz osiąść niebiańskie prawdziwie szczęście, chcesz się cieszyć pokojem i weselem duszy. o wtedy staraj się przedewszystkiem o jej czystość o własne uświętobliwienie*) a następnie bądź wspa-
niałomyślnym względem Boga i już zawczasu wszyst-
kiem rozrządź, abyś zawsze był w pogotowiu, uzbro-
jony skarbami niebieskimi, czekając aż Pan na-
dejdzie. Szczęśliwym w ówczas będziesz i prze-
konasz się, że Bóg nie daje się przewyżżyć swoim
stworzeniom w spaniałomyślności, i spełni się na
tobie, co Bóg przyrzekł uroczyscie:

*) Żle i przewrotnie postępowałby każdy, kto by chciał poprzestać na pełnieniu dobrych uczynków, a nie dbał o oczyszczenie i uświęcenie duszy. — Gdybyśmy wszystko co posiadamy oddali na jałmużnę i ciało nasze surową trapił pokutą, a trwali w grzechu śmiertelnym, nie uszlibyśmy wiecznego potępienia. Ale również źle postępowałby każdy, kto by chciał oczyścić się z grzechów, a nie pełnić dobrych uczynków. Naraziłby się snadno na utratę łaski Bożej, uchylając się od spełniania obowiązków miłości względem Boga i bliźniego.

„Zaprawdę powiadam wam . . . , wszelki któryby opuścił dom, albo bracią, albo siostry, albo ojca, albo matkę, albo żonę, albo syny dla imienia mego: tyle stokroć weźmie i żywot wieczny odzierży.“ (Mat. XIX, 29.)



Pierwsi misyjonarze wysłani do Afryki w roku 1892.

Br. Norbert.

Br. Jan.

Br. Venantius.

O. Jan Schafer.

O. Mateusz Dier.

Stacja młyńska Adyfy w opłocie swego istnienia (1892).



**11. W jaki sposób można jeszcze dopomagać
Zgromadzeniu Boskiego Słowa i domowi
misyjnemu św. Krzyża.
1894.**

Może cię zasmuciło, kochany czytelniku, twierdzenie, wygłoszone pod koniec poprzedzającego rozdziału. Jesteś może ubogim, bardzo ubogim, ale pod skromną twą szatą bije wielkoduszne serce. Chciałbyś Panu dać dużo, bardzo dużo, a nic nie posiadasz. Zazdrościsz bogatym ich mienia tylko dla tego, aby je módz Panu przynieść w ofierze.

Czego nie posiadamy, tego oczywiście dać nie możemy; ale często wolno nam pośredniczyć w spełnieniu dobrego uczynku. —

Zdarzało się nieraz że panowie przez służbę swoje od wiecznego potępienia wybawionymi zostali, a nawet prosta niewolnica stała się przyczyną nawrócenia całego kraju. I jakże ci biedacy dokonali tak wielkiego zadania?

Oto sami byli wzorem i przykładem cnót chrześcijańskich, a mianowicie skromności i wiernego wypełniania obowiązków.

Prawdziwa cnota podbija serca i wywiera wpływ błogi. A skoro jaka dusza szlachetna zjedna dla Boga serce ludzkie, to i nadal starać się będzie, aby to serce nie poprzestało na unikaniu złego, ale i w dobrem się ćwiczyło.

Jakże często można znaleźć sposobność, by dobre podszepnąć słowo w tym celu, aby wielu

zimnych jeszcze i obojętnych zachęcić do czynnego współudziału we wzniosłym dziele rozkrzewienia wiary.

Nieraz do obudzenia serca brak tylko dobrego słowa, namowy przyjaznej; ale to słowo nie zostało wypowiedziane, różnorodne względy ludzkie powstrzymały je na ustach, i tym sposobem jedna dusza straciła zasługę pośrednictwa, druga nie spełnionej ofiary — a całe zastępy dusz nie otrzymały może zbawienia wiecznego.

Czytając powyższe słowa niejeden wstrząśnie głową z niedowierzaniem i powie mi, że takie pośrednictwo bywa często bardzo niemiłe i niepewne; nieraz zamiast spodziewanego dobrodziejstwa, ściągają na proszącego przykre wymówki i prześladowanie.

Najprzód i to już jest dla nas korzyścią, jeśli z miłości ku Bogu znosimy cierpliwie grubiaństwa i prześladowanie. Ofiaruj podobne przykrości na intencją dzieła rozkrzewienia wiary, a wszystko co wycierpiałeś, ściągnie nań tem obfitszą łaskę Bożą, choćbyś za życia nigdy się o tem nie dowiedział. Za to w niebie wszystko rozpoznasz i stokrotną otrzymasz nagrodę.

Ale w inny jeszcze sposób możesz ponosić ofiarę dla dzieła misyjnego, i to ofiarę tak wielką, że igraszką dziecinną wyda się cierpienie, poprzednio wspomniane. Masz może syna, córkę, brata, siostrę, lub przyjaciela tak miłych, tak bardzo tobie miłych, że serce twoje krwawi się na samą myśl rozłączenia z nimi, rozłączenia może na całe życie. Ale Bóg woła na swą służbę wyłączną duszę, którą ukochałeś nad wszystko, a ty mówisz: „Panie, bądź wola Twoja.“ Albo może nawet sam ją Bogu przynosisz w ofierze, modląc się: „Jeśli to zgodne z wolą Twoją, o Jezu — oddaję Ci duszę ukochanego syna, brata, abyś z niego uczynił misyonarza. Dozwól, aby w odległych krainach mógł słać Imię Twoje i miłość Twoją, aby Cię poznali i pokochali ci, którzy Cię

jeszcze nie znają i nie kochają; a mnie dozwól odnaleźć tę drogą duszę w niebie, u stopni tronu Twego, pomiędzy zastępami wyznawców — lub — męczenników.“

Ofiara takiej duszy heroicznej jest dla niej prawdziwym męczeństwem miłości i jej zatem w niebie słusznie należeć się będzie korona męczenników.

Męczennik znosi krótkie przemijające katusze; dla serc jednak czułych i kochających, rozłączenie z drogą osobą jest o wiele większym cierpieniem całego życia. Drogi czytelniku, jesteś może młodzieńcem, lub dziewczą w kwiecie wieku, i w sercu twoim odzywa się głos wewnętrzny, mówiący, jak niegdyś do Abrahama: Wynydz z ziemi twojej i od rodziny twojej, i z domu ojca twego: a idź do ziemi, którąć ukażę (Gen. I, XII). O zastanów się wtedy, drogie dziecko, czy głos ten istotnie od Boga pochodzi,

Poważne zastanowienie i doświadczenie siebie nieodzownie tu potrzebne; albowiem aby unieść jarzmo, które cię tam czeka silnego potrzeba ramienia, aby spełnić należycie ofiarę, jakich od ciebie wymagać będą potrzeba wielkiej, niejako nadzwyczajnej łaski Bożej, odpowiedniej do ofiary, którą masz Bogu złożyć.

Jeśli doświadczyłeś się jednak sumiennie i przekonany jesteś, że Bóg cię woła, bądź odważnym, spokojnym i pełnym ufności, że Pan, który chęć dobrą wlał w serce twoje, da ci również siłę do jej wykonania.

Zaiste ofiara misyonarza jest wielostronną, heroiczną, składa się na nią; rozłączenie ze swoimi, wygnanie, trudy prawie nadludzkie, znoszenie nieraz głodu, zimna i przeróżnych braków; troski, walki, niewdzięczności, prześladowanie — a do tego tak krwawego męczeństwa dołącza się nieraz i męczeństwo z ręki pogan.

Czyż cię nie odstrasza młodzieńcze, tak ponury obraz? O nie, jeśli powołanie twoje prawdziwe, to przeciwnie pociągać cię będzie jeszcze więcej.

Ale słaby jesteś, i potrzebujesz wzmocnienia, pociechy. Czyż mamy stawić ci przed oczyma ów pamiętny przykład bogatego młodzieńca, który odszedł od Pana, albowiem nie chciał się wyrzec dóbr swoich. A Apostołowie dziwili się i pytali Pana:

„Otośmy opuścili wszystko i poszliśmy za tobą; cóż nam tedy będzie? A Jezus rzekł im: Zaprawdę powiadam wam . . . wszelki któryby opuścił dom, albo bracią, albo siostry, albo ojca, albo matkę, albo żonę, albo rolę dla imienia mego: tyle stokroć weźmie i żywot wieczny odzierzy.“ (Mat. XIX.)

Do podjęcia ofiary może cię jednak nie potrzeba zachęcać przypomnieniem nagrody. Może należysz do rzędu tych dusz wspaniałomyślnych, które o nagrodzie prawie nie myślą, a przynajmniej takowa nie jest główną sprężyną ich działania, ale żyją tylko miłością i pracują z miłości ku Bogu.

Niedawno w kaplicy misyjnej byliśmy świadkami wzniosłej i pięknej uroczystości: kilku braci składało śluby zakonne na dalsze trzy lata, inni ponawiali takowe, a jeden z postulików otrzymywał suknię zakonną, i po raz pierwszy oddawał się Bogu na wyłączną służbę.

O gdybyś był mógł widzieć, miły czytelniku, jak ci dobrzy braciszczowie z płonącymi w rękę świecami klęczeli u stopni ołtarza i z najwyższym zapalem i przejęciem poświęcali się Panu na całkowitą ofiarę.

Podobna uroczystość wzruszającą jest w każdym klasztorze, ale w zgromadzeniu misjonarzy tem więcej serca do głębi przejmuję, bo tu ofiara większa i zu-

pełniejsza, tu misjonarz oświadcza gotowość na każde wezwanie opuścić wszystko, co mu drogie na ziemi i z zupełnem wyrzeczeniem pracować w dalekiej, nieznanej winnicy Pańskiej.

Braciszczowie z całą świadomością czynili swą ofiarę; odczuwali ją w sercu. Tam daleko, o tejże samej godzinie modli się i cierpi stary ojciec, matka droga, bracia, siostry, przyjaciele, wyrzekli się może dla Boga ulubieńca całej rodziny. A on myśli o nich i o ich smutku, ale nie słabnie, nie wacha się — bo w sercu jego obok cierpienia, święta mieści się radość.

O bogatym młodzieńcu, który przyszedł do Pana Jezusa, pisze Pismo św.: Jezus wejrzawszy nań, umiłował go (Mar. X, 21).

I ich też Pan umiłował, tych wszystkich braciszków, klęczących dzisiaj przed ołtarzem Pańskim, aby „iść za Jezusem i naśladować Go.“ Biedne serce ludzkie nie może pomieścić takiego nadmiaru cierpienia i szczęścia, to też przy składaniu uroczystej przysięgi głos ich drży, i łkanie go przerywa.

Tłum ludzi zapełniający ściśle kościół nie składa się z bezmyślnej rzeszy ciekawych; ale przeciwnie to serca bratnie, rozumiejące uczucia zakonników przy składaniu ofiary, do której złożenia sami znają się zbyt słabymi. Współczują z nimi i podziwiają, uznając własną słabość, a te wszystkie uczucia i u nich głośnym objawiają się łkaniem.

Nikt nie wątpi, że Ojcowie i bracia zakonnicy jedynie miłością powodowani, czynią zupełną ofiarę z samych siebie, i w tem podobni do Apostołów, którzy z miłości szli za Jezusem a nie dla obietnicy wspaniałej w niebie nagrody.

Pierwsi misjonarze działali z miłości ku Bogu; w ich ślady pilnie wstępują obecni krzewiciele wiary. I ty, miły czytelniku, jeśli zechcesz wspierać, dom

i zgromadzenie misyjne, tem samem powoduj się uczuciem. Im więcej tylko z miłości ku Bogu pełnić będziesz twę ofiarę, tem ona będzie miłszą Bogu, tem więcej dla ciebie zasługującą, tem obfitszą wyjedna ci w niebie zapłatę.

12. Co czyni zgromadzenie Boskiego Słowa dla swych dobroczyńców.

Działaj z miłości, mówiłem ci, kochany czytelniku, pod koniec zeszłego rozdziału — i tu raz jeszcze powtarzam: działaj z miłości. Czy to całkowicie poświęciłeś się w zgromadzeniu Boskiego Słowa na służbę misyi zagranicznych, albo też wspierasz je podług możności hojnemi datkami, lub skromną ofiarą, czy rozszerzasz pisma i książki zgromadzenia, i zjednywasz mu nowych członków i przyjaciół — niechaj zawsze miłość pobudza cię do tego.

Tak działaj z miłości, ale cieszyć się możesz nadzieją obfitej nagrody, jaka czeka cię w niebie, cieszyć się możesz licznemi łaskami i błogosławieństwami, któremi Bóg już tu na ziemi udaruje twe serce, cieszyć się możesz, że ci, których wspierasz w ich świętem zadaniu, tak żarliwie wstawiają się za tobą do Boga.

Podczas gdy żydzi w dolinie walczyli z Chananejczykami, Mojżesz na górze wznosił ręce do Boga i modlił się za nich. I dopóki się modlił, zwycięstwo przechylało się na stronę żydów, a gdy ręce opuścił, nieprzyjacielem brali górę.

I dusza twoja toczy bój codzienny z potęgą ciemności, a gdy ty walczysz, modli się za ciebie, jako za dobroczyńcę zgromadzenia, nie jeden Mojżesz, ale całe wojsko dusz wybranych.

O tak, zgromadzenie Boskiego Słowa, dom misyjny św. Krzyża nie jest niewdzięczny względem swych dobroczyńców; nietylko modlą się za nich

kilka razy dziennie, ale za żyjących odprowadzają w domach misyjnych cztery msze św. tygodniowo, a dwie za zmarłych. Po śmierci znaczniejszych dobroczyńców odprowadzają się za nich wyłącznie kilka Mszy św.

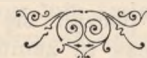
Ale na tem nie koniec. Sam dar z miłości ku Bogu uczyniony zgromadzeniu misyjnemu sprawia, że ofiarodawca uczestniczy we wszelkich owocach pracy misjonarzy z jego daru wykształconych i przez niego wspieranych. A co może być miłszem Bogu, co zbawienniejszem dla bliźnich naszych nad współudział w krzewieniu wiary św.?! Pan pragnie zbawienia biednych pogan; a skoro i kubek wody w Imie Jego podany najmniejszemu z braci, nie pozostanie bez nagrody jak hojnie odpłaci tym wszystkim, którzy gaszą właśnie Jego pragnienie zbawienia dusz nieśmiertelnych! Każda modlitwa, każdy dar, uczyniony w celu rozszerzenia królestwa Bożego, jest kapitałem składanym na najbogatszy, na wieczysty procent. Nie poskąpi nagrody ten, który powiedział: „Żniwoć wprawdzie wielkie, ale robotników mało. Proścież tedy Pana żniwa, aby wysłał robotników na żniwo swoje.“



Część czwarta.

Dom Misyjny „św. Krzyża.“

Wiadomości z jesieni i zimy 1894 r.



1. Najnowsze wiadomości.

Kto choć na krótko zatrzymał się w Berlinie, zauważył zapewne na ulicach tego miasta całe zastępy mężczyzn i chłopców ze stosami gazet pod pachą; jeden egzemplarz trzymają zwykle w ręku, zachęcając przechodniów do kupowania, wołają: „Najnowsze wiadomości, najnowsze wiadomości.“ I nie na próżno tak zachęcają, bo oto jeden i drugi przechodzień wyciąga rękę i wkrótce cały zapas gazet zostaje wyczerpany. Nakładca nie na próżno liczył na ludzką ciekawość i zamiłowanie nowości.

„Co słyszeć nowego?“ pytają się ludzie na wzajem, i czy jest ktoby nie zadał podobnego pytania.

Przez cały już kwartał mówiąc naszym czytelnikom, wciąż o domu misyjnym św. Krzyża obawiamy się, że może ich już znudziliśmy tym tematem, wiecznie tym samym. Gdy jednak na pewien czas o tem zamilkliśmy, poczęli się skarżyć nasi mili czytelnicy. Cieszy nas to zainteresowanie, chociaż o takim domu nie zawsze można powiedzieć coś nowego.

Nie znaczy to, aby się tam nie miało dziać nic nowego, ale niewszystkie drobne codzienne zdarzenia mogą zainteresować ogół ludzi po za klasztorem żyjących. Kto jednak przejrzy i zdoła opisać owe bogactwo łask niebieskich, które w tym domu błogosławionym spływają do serc jego mieszkańców, i które przybyłym z bliska i daleka bywają udzielane przez Ojców zakonnych? Kto przeliczy dobre postanowienia, tu powzięte, cnoty z trudem zdobyte: zwycięstwa, odniesione nad złemi skłonnościami;

akty szczerego żalu z powodu swych słabości i upadków. Kto widział wszystkie łzy pobożne, wylane u stóp Zbawiciela; łzy świętej skruchy i szczerego współczucia nad cierpieniami Jezusa, nad nędzą i cierpieniem bliźnich?

O tem wszystkiem niebo wie tylko; ziemia widzi jedynie zewnętrzne owoce tych uczuć pobożnych; widzi słodycz, niczem nie zamaconą; widzi prawdziwą pokorę, dobroć, miłość, gotową na wszelkie poświęcenie, życie pełne wyrzeczenia a często i cnot heroicznych, choć ukrytych.

Oto tam w głębi kościoła jakaś postać nieznaną; to mężczyzna klęczy nieruchomo, z twarzą w dłoniach ukrytą, podobny raczej do martwego posągu aniżeli do żyjącej istoty. Ale nagle z oczu łzy mu tryskają, i zraszają ziemię obfitym, strumieniem płynąc przez zaciśnięte dłonie.

Cóż się dzieje w duszy tego człowieka? Może już przez długie lata dręczyły go wyrzuty sumienia, a on nie miał siły, aby się pozbyć tego ciężaru. Nieraz już zaglądał do kościołów, w mieście położonych — czy to z rana, czy w sobotę wieczorem, ale znajdując zawsze konfesjonały obleżone tracił ostatnią iskrę odwagi, nie śmiał zbliżyć się do nich. A nawet gdy już wszyscy odeszli i on sam zostawał, jeszcze nie śmiał przystąpić z obawy przed wyrokiem, jaki na niego wyda spowiednik, bo mylnie sądził, że go potępi i nie rozgrzeszy.

Nagle posłyszał o domu misyjnym, o tem, że tam kapłani o każdej dnia porze przymują dusze, do nich się uciekające i jaknajchętniej spieszą im z pomocą.

I oto nowa odwaga, nowy błysk nadziei wstępuje do jego biednego serca. Ta gotowość misjonarzy „o każdej dnia porze“ jest mu dowodem ich niezwykłej dobroci i współczucia dla grzeszników. takiej właśnie jak kieć on potrzebuje, aby zdjąć ciężar, przygniatający jego duszę. I tam może wypowiedać

się spokojnie, nikt go nie będzie naglił, miłość jest cierpliwa, wyrozumiała i wielkiego miłosierdzia

Tak wielkiego miłosierdzia muszą być ci ludzie, ci misjonarze, którzy dla zbawienia dusz ludzkich skazują się dobrowolnie na wygnanie, na rozłączenie ze wszystkimi, których ukochali; na wszelkiego rodzaju niewygody, nędzę i cierpienia, wreszcie na śmierć okrutną. I gdy to wszystko rozważa, pierzcha obawa, która go dotąd tak wszechwładnie opanowała.

Tym misjonarzom on wszystko wyzna, wyzna nawet z łatwością, czuje już to naprzód, a tem więcej, że może iść do nich o każdej dnia porze, nie w tłumie ludzi. I już naprzód cieszy się nadzieją odzyskania spokoju serca. Doczekać nie może tej chwili, pcha go tęschnota, tęschnota za Jezusem, którego tak dawno opuścił.

A teraz wielkie dzieło pokuty już dokonane. Łzy żalu i łzy radości płyną równocześnie z jego oczu, zdradzając wewnętrzne poruszenie duszy.

Długo, bardzo długo klęczał ów obcy człowiek, w gorącej pogrążony modlitwie. Nazajutrz, wczesnym bardzo rankiem, bo jeszcze przed piątą godziną go znowu widzimy w kaplicy. Wielu księży i braci było tam już zebranych, odprawiali drogę krzyżową. Wkrótce wszyscy się stawili na wspólną modlitwę i rozmyślanie, i Msze św. poczęły wychodzić. —

O jakże szczęśliwym czuje się obcy przybysz; wszystko tu porywa i podnosi jego serce; jakoby skrzydeł dostawało to samo biedne serce, tak niedawno złamane, nieszczęśliwe i bezradnie w grzechu ugrzęzłe. —

Oto zmartwychwstał do nowego życia; a teraz zbliża się do Stołu Pańskiego — i zabierze z sobą, poniesie w sercu Dawca żywotę, źródło nieśmiertelności, wiecznego pokoju i szczęścia.

Kapłan, który go z Bogiem pojednał, nie zna jego nazwiska, zaledwie że dojrzał twarz jego —

ale i on na kolanach Bogu dziękuje, że danem mu było uwolnić z cierni grzechu biedną zbłąkaną owieczkę, i na swych ramionach przynieść ją do owczarni Chrystusowej; Kapłan modli się gorąco o łaskę wytrwania dla duszy tego, którego uwolnił z więzów zdradzieckich; i nie zaprzestaje tej modlitwy nawet i w ówczas, gdy ów obcy, nieznany człowiek, powrócił już do domu swego, i walczy z pokusami i okazyjami do grzechu, a tę walkę znajduje o wiele łatwiejszą niż przypuszczał — nie wie, że drugi Mojżesz modli się za niego i wyciąga do Boga ramiona, podczas gdy on potyka się z tym, z którego mocy wyswobodził się codopiero, i który wszelkie wyteża siły, by go na nowo pochwycić w swe sidła. Jakże tajemnicze a słodkie więzy bywają zadzierżgnięte pomiędzy kapłanem, a duszą za jego pośrednictwem uratowaną — jakież będzie ich w niebie spotkanie!

A co wam tu mówię, to nie jest ani moim wyśmłem, ani obrazem mojej bujnej fantazyi — to nie jakiś jeden nadzwyczajny wypadek — ale wierny obraz wielu a wielu takich zdarzeń. Świadczą o tem zeznania ludzi, z Bogiem pojednanych, ich łzy wdzięczności i wesela. —

Pewnego dnia do furty domu misyjnego zadzwonił jakiś pan nieznany i prosił brata furtiana, by mu coprędzej przywołał spowiednika. „Dwanaście godzin jechałem koleją — mówił — aby się tu jak należy wypowiedać.“ Wypowiadał się i zaraz odjechał; a nikt nie wie ani z kąd przybył, ani dokąd się udał.

„W kościele misyjnym zostawiłem całą pakę grzechów; zwierzał się pewien młodzieniec swej ciotce — jakże się teraz czuję szczęśliwym.“

„Nieprawda tu się można spowiadać o każdym czasie?“ — pytało jeszcze niedawno kilkoro ludzi z daleka przybyłych — a pociągało ich właśnie to

poświęcenie misyonarzy, ta ich gotowość na każde skinienie. —

Wiedeńczycy znani są z wesołości i lekkości charakteru, trudno wywołać w ich sercach szlachetniejsze i głębsze uczucia i postanowienia, a jednak misyonarzom w Mödling pod Wiednem i to się udało. Ludzie tamtejsi mówią sobie: „Jeśli nie będę zważał na słowa misyonarza, który wszystko poświęca, wszystko opuszcza, i każdej chwili gotów jest udać się na koniec świata, na wszelkie wystawić się niedole, na kogoż tedy zważać będę? I komu będę wierzyć i czyją uznam cnotę, jeśli nie tego, który dla wiary krew swą i życie chce poświęcić?

Uznają to i cieszą się z tego i inni pobożni kapłani i zakonnicy, a nawet sam książę Kardynał Arcybiskup Wiedeński, na apostolskiej pracy misyonarzy szczególniejszą pokłada nadzieję dla swej dyecezyi. Poświęcenie i duch ofiary, ożywiający misyonarzy w tak wysokim stopniu rozbudza i wstrząsa nietylko dusze oziębłe i grzeszne, ale również porusza i ożywia serca Boga miłujące, wlewa odwagę i nadzieję w dusze lękliwe, które potrzebują szczególnej cierpliwości i oddania spowiednika, aby odzyskać pokój wewnętrzny, bez którego nie mogą pracować nad własnem zbawieniem i dla dobra współbraci.

W wiekach średnich niektóre przybytki Pańskie miały nazwę „Azylów“ i ten szczególny przywilej, że ktokolwiek do nich się schronił, choćby był ścigany ziemską sprawiedliwością, tam już był bezpieczny i wolny od wszelkiej kary i zemsty.

Niechaj i dom misyjny św. Krzyża stanie się takim Azylem, i miejscem ucieczki dla wszelkich serc skruszonych, żałujących, upokorzonych, strwożonych i smutnych. Niechaj Najśw. Marya Panna, Matka Bolesna raczy wysłuchać tych wszystkich, którzy tam uciekać się będą do Serca Jej Boskiego Syna — niechaj im uprosi zbawienie, pokój i błogosławieństwo.

2. Zbawiciel i misyonarz.

Boski Zbawiciel stał się nam we wszystkim podobny z wyjątkiem grzechu, i pragnie, byśmy Jemu podobni byli. Do naśladowania siebie powołuje w szczególny sposób kapłanów, a tem więcej misyonarzy, i zdaje nam się, jakoby Bóg sam chciał się przyczynić do uwydatnienia podobieństwa misyonarza z Zbawicielem.

Podczas gdy Boski Zbawiciel nauczał w Palestynie, serce Jego pełne było ognia miłości, i pragnął ten ogień ludziom udzielać, mówiąc: „Chce aby był rozpalon,“ a ogień to trojaki: miłości Bożej, miłości dusz i miłości Krzyża. Uczucia te odbijały się na Jego Obliczu i w całym Jego zachowaniu w obec bliźnich. Miłość Chrystusowa obejmowała osoby każdego wieku i stanu, wielkich i małych, biednych i bogatych, szczęśliwych i poniżonych, zdrowych i chorych, sprawiedliwych i grzeszników, żydów i pogan.

I ta miłość nieograniczona (a więc czysto katolicka) nie ujęła powagi Jezusowi, ale przeciwnie przyczyniała się, że z tem większą odwagą garnęli się do Niego grzeszni, wątpiący, a tłumy ludu postępowały za Nim. Takiej samej miłości żąda Pan od swych uczni kapłanów.

„Wszystkim dobrze czynił.“ Czyż można dokładniej i krócej określić tę wielką miłość?

Gdy się bliżej przyjrzymy rzeszom, która za Jezusem postępowały, zauważymy między niemi najwięcej słabych, maluczkich i biednych, którzy wzru-

szeni miłością Zbawiciela, słuchali słów pełnych miłości Bożej, płynących z ust Jego, uznając z zdumieniem Jego czyny i poświęcenie. Mało widzimy między zwolennikami Jezusa wielkich i bogatych z pośród Izraela, a jeżeli się zbliżają, to po części powodowani ciekawością, zazdrością i niechęcią.

Zkąd to pochodzi, że możni w Izraelu, którzy w szczególny sposób powołani byli, i pierwsi powinni uznać Jezusa, zdala się trzymają od Niego i nieprzyjaciółmi Jezusa się mienią?

Powodowało nimi czysto ziemskie uczucie, pełne samolubstwa i zazdrości; odpowiadałby im raczej Mesjasz bogaty, potężny, Mesjasz któryby im przyniósł nowe i większe zaszczyty, chcieliby posiadać Mesyasza wyłącznie dla Izraela, a blask Jego potęgi nie miał przyciemniać ich wielkości, lecz tem więcej uwydatniać ją.

Owi najwcześniej powołani, zachowują się w obec Jezusa obojętnie, nawet wrogo, szydzą i fałszywie Go oskarżają, czychają na śmierć Jego, i nie dają się przekonać wtenczas nawet, gdy już popłynęła nie tylko Krew Jezusa, ale i męczenników za wiarę, i gdy poganie nawet (także i rzymscy historycy) podziwiali i uznawali wielkość, mądrość i dobroć Zbawiciela.

Mnie prześladowali, jakże was nie mają prześladować? Są to słowa pociechy dla wszystkich, którzy za Chrystusem postępują, słowa pociechy dla gorliwych współpracowników w boskiej winnicy, a szczególnie dla misyonarza.

Chrystus stał się nam we wszystkim podobny okrom grzechu, i pragnie, byśmy Jemu podobni byli. Przyjął na siebie naturę ludzką, a my mamy być częścią Jego boskiej natury. W prawdzie jest On wzorem nie do osiągnięcia, — ale pożądanym, wzór ten choć w duszy ludzkiej słabo i niedostatecznie odbity, wprawia już w zachwyt aniołów i ludzi.



Stacja misyjna Togo (mias'o) w początkach swego istnienia (1893).

Podobieństwo człowieka do Zbawiciela wzrasta w miarę jego miłości i poświęcenia. Jezus był samą miłością i poświęceniem, kto się w tych cnotach doskonali, staje się tem podobniejszym do Niego.

Trudno mówić o kim, że miłuje, jeżeli się nie umie poświęcać. Miłość jest źródłem poświęcenia, z niej wypływa siła do ofiar, a ofiara jest dowodem istnienia miłości. Im większe poświęcenie, im większa do niego gotowość, tem większa miłość i podobieństwo ze Zbawicielem.

Nikt się więcej nie poświęca i nie jest więcej gotów na wszelkie ofiary od misyonarza. On daje tak olbrzymie dowody szlachetności serca i cnoty, że tylko złość, zazdrość i pycha, odmawiać mu może uznania.

Do Zbawiciela, gdy przebywał na ziemi, zbliżali się przeważnie ludzie biedni i pokorni, podczas gdy wielcy z ludu wybranego byli dlań zimni i obojętni. Zawstydzają ich nawet historycy rzymscy i pogańscy, pełni podziwu dla Jezusa. —

To co Mistrz przechodził, przechodzą teraz i misyonarze. Nieraz sami są obojętni dla tych, którzy wszystko poświęcili; gdy tymczasem obcy, poganie, żydzi, ludzie nowszych zapatrywań podziwiają misyonarza, i uznają jego cnoty i życie pełne poświęceń.

Posłuchaj, co mówi o domu misyjnym św. Gabryela w Mödlingen pod Wiedniem dziennik „Neue freie Presse,” organ żydowski, wolno-mularzy i niedowiarków. Wydawca tej gazety opisuje przygotowania do uroczystego przyjęcia cesarza austriackiego w Mödlingen. Autor artykułu zwiedziwszy dom sierot Józefa Hytta, skierował się do domu misyjnego św. Gabryela (który podobnie jak dom misyjny św. Krzyża w Neuland, należy do zgromadzenia „Boskiego Słowa”) i w następujących słowach skreślił doznane wrażenia:

Idźcie na cały świat.

14



Pierwsi misyonarze, wysłani do Nowej Gwinyi w roku 1896.
O. Józef Erdweg, O. Eberhard Jimbrock, O. Franciszek Vormann.

„Jest jeszcze w tej okolicy finny budynek, który od kilku lat zwraca uwagę przejeżdżających. I on położony w stronie Neu-Mödlingen, stoi na pustkowiu, gdzie jeszcze żaden dom nie powstał. Ów wielki, trochę jeszcze surowy budynek, ma w sobie coś tajemniczego. Fabryką nie jest, bo braknie mu komina. Cóż to być może? Zamek, twierdza, szkoła, lub więzienie? Budowa z cegieł poważna, trochę niewyraźna w pierwszym zarysie. Oku widza przedstawia się główny budynek z małym spadzistym dachem, przytem duże skrzydło z różnemi przybudówkami. Drugie skrzydło stopniowosię podnosi. Ogólny zarys zrobiony; wykończają go tylko. Całość nie jest jeszcze ze sobą w zupełnej harmonii, i to potęguje wrażenie czegoś niezrozumiałego, prawie tajemniczego. Dopytujemy się wszędzie i znajdujemy wreszcie wyjaśnienie. Budynek jest klasztorem, lub czemś w tym rodzaju. Aby się dokładniej wyrazić, jest to dom misyjny, w którym się ćwiczą odważni mężowie, poświęcający się głoszeniu Ewangelii poganom. Założycielami tego domu są „Ojcowie Słowa Bożego.“

Owi bogobojni ojcowie przybyli z Holandyi, z nad brzegów rzeki Maas do Schwachat w Środkowej Austrii, i chcieli zaraz rozpocząć budowę domu. W samym zakonie znalazł się architekt, i inni ojcowie biegli w różnych rzemiosłach. Z początku zmuszeni byli, stosować się do prawa krajowego, które nie pozwala budować pierwszemu lepszemu. Jeden z ojców zabrał się zatem do składania przepisanych egzaminów na budowniczego, poczem robota raźnie już naprzód postępowała. Budowie wyrastały szybko, jakoby z pod ziemi. Oprócz najgrubszych robót wszystko wykonywali tu zakonnicy. Sami wypalali cegłę, byli ślusarzami, stolarzami, i te same ręce, które o świcie składały się do modlitwy, po skończonem nabożeństwie brały za dłuto i młotek.

Już to samo jest podziwienia godne, ale właściwy cel tego zakonu, może przejąć jeszcze więcej. Misjonarze znajdują u ludzi poszanowanie ze wszystkich zakonów największe. Skazać się na wygnanie i na niebezpieczeństwo, odmawiać sobie wszystkiego, męczyć się z dzikimi ludami — czyż można sobie trudniejszy zawód wyobrazić? Opuszczając Neu-Mödling, wędrują na krańce świata, do Azji, Afryki, Południowej Ameryki, aby rozszerzać wiarę św. Z klasztoru tego wysnuwają się niby przędze, wpływy dobroczynne tam za góry i morza, do Chin, Japonii, Argentyny, Equatoru, wysp na morzu Południowem, do środkowej Afryki. Przejeżdżający, zwłaszcza jeśli poznał obowiązki i zadanie tego domu, może łatwo przenieść się wyobraźnią do Hongkong lub Yokohamy, i widzieć w myśli pracę misjonarzy około zbawienia dusz. Nic dziwnego, że pragnie zapoznać się bliżej, z owym niezwykłym domem. Patronem zakonu jest archanioł Gabryel, a w ustach prostego ludu ojcowie noszą miano „Gabryeli.“ W przyszłą środę oczekują odwiedzin cesarza. Habsburg ukaże się w starej stolicy Babenbergów, i wszystko godne widzenia, będzie można w dniu tym podziwiać w całym blasku. Możebyśmy i my odwiedzili wówczas pobożnych ojców.

Aby się dostać do Gabryelów, skręcamy w boczną ulicę, noszącą nazwę „Północnobiegunowej“; tej nazwie zupełnie ona odpowiada. Domów nie posiada jeszcze, tylko plan jest naznaczony. Także i aleja z kasztanów jest już założona, ale z jej cienia będą mogły korzystać dopiero wunki obecnego pokolenia. Chwilowo należy to wszystko do przyszłości. Ostro wiatr jesienny wygina niemiłosiernie drzewka na wszystkie strony, a pożółkłe liście drżą od zimnego tchnienia; zdaje się jakoby ta ulica naprawdę prowadziła do bieguna północnego, lub co najmniej drogę tworzyła na jaki daleki wschód,

jeszcze nieodkryty, bezludny. Zarysy zagadkowej budowli występują wyraźniej. Mimo to można ją wziąć tak samo za stary zamek z wysp Wielkiej Brytanii, jak i za klasztor. Budowla składa się z parteru i dwóch pięter. Okna długie i szerokie wskazują, że mieszkania muszą być obszerne. Nnie dojrzysz tu na pierwszy rzut oka, wybitnej cechy religijnej tak widocznej zazwyczaj we wspaniałych zabudowaniach klasztornych w Austrii.

Na razie nie wiadomo, czy budynek jest zamieszkałym. Żaden głos się nie odzywa, można się własnych kroków wystraszyć. Dom opuszczony i osierocony, na pustkowiu, jakoby otulony w atmosferze zapomnienia. Nagle z jednego okna parterowego rozlega się śpiew uroczysty kilkunastu głosów męzkich. Dalej spostrzegamy ogrodnika, oczyszczającego zwirowe ścieżki; twarz jego ogolona, a z pod niebieskiego fartucha wygląda czarna zakonna suknia. Pierwsze to oznaki, że się przebywa w klasztornej otoczeniu. Człowiek ten, pełen uprzejmości, prowadzi nas do rozmównicy, poczem spieszy po rektora. W pokoju tym znajduje się skórzana sofa, stół i kilka krzeseł; całość wygląda czysto, lecz skromnie. Na ścianach obrazy święte, pod niemi fotografie nowo założonych domów misyjnych. Za szkłem małe muzeum egzotycznych przedmiotów, murzyńskie amulety, bożyszcza, zbroje, kły słoni, kości wielorybie. Coraz więcej oddalamy się od Wiedna. Fantazyja unosi nas za góry i morza, błądzi po najciemniejszych krańcach świata. Ukazanie się rektora sprowadza nas do rzeczywistości.

Nie jest podobną do Grütznerowskich mnichów, ta wysmukła, szczupła postać w długiej czarnej sutannie. Twarz blada i wychudzona przypomina raczej ascetów, tak jak ich hiszpańscy malarze przedstawiali. Ale z tej twarzy tryska rozum, i chociaż

głos brzmi łagodnie, czuje się, że to napozór słabe ciało mieści w sobie wielką energią i stanowczość. Na pytanie, czy wolno klasztor zwiedzić, otrzymujemy zezwolenie najuprzejmniejsze. Rektor sam służy za przewodnika. Bez płaszcza, kroczy po zimnych korytarzach z odkrytą głową, towarzyszy nam przez ogród i podwórze, jakby nie czuł na wiatr i zimno. Ciało zahartowane, to główny warunek w zawodzie misyonarza. Także konieczną jest zręczność we wszelkich ćwiczeniach gimnastycznych. W Chinach n. p. tłumaczy nasz Cicerone, stacye misyjne nawiedzone są częstymi powodziami, w takim razie misyonarz musi być dobrym pływakim. Jakim sposobem może nim zostać w Neu-Mödling, gdzie w całej okolicy brak rzeki i stawów? — I w tym razie pomogli sobie „Gabryele“, wykopali duży basen i wodą go napełnili. Olbrzymi wiatrak, wysoki jak wieża kościoła, wskazuje nam, jakim sposobem woda sprowadzona została*). Nie mniej koniecznymi są wiadomości medyczne; misyonarz często pełni funkcyę lekarza i aptekarza. Wszystkich tych nauk udzielają w tym domu, nawicyuszom; tutaj są wyświęceni na księży misyjnych, i gdy wszystkiego się nauczą, czego wymaga powołanie kapłańskie, wszystkiego, co im może być potrzebne w twardej służbie misyjnej, jednej jeszcze rzeczy potrzeba, ale tego nauczyć się nie można, daje ją tylko wiara i przekonanie: jesto bohaterstwo, wyrzeczenie się wszystkiego, aby śmierci w każdej godzinie móżdż spojrzeć w oczy. Ten, kto z rozkazu

*) Autor artykułu myli się. Staw w St. Gabriel tak samo powstał jak w „Heiligkreuz“. Tam znaleziono i zużyto glinę do murowania, tu żwir i piasek. Tu i tam wystąpiła woda z ziemi. Wiatrak w St. Gabriel służy do wypompowywania wody, i do zlewania całego ogrodu i arealu ziemi na około budynków. Dół musiał być wysuszony do dalszego wybierania gliny.

przełożonych opuszcza dom Neu-Mödling, nie jest pewnym, czy kiedykolwiek do niego powróci. Idzie na wojnę. Niedawno temu, powiada rektor, dwaj zakonnicy zostali przez chińskich opryszków schwyceni, i trzeba było posłać około czterech tysięcy marek by ich wykupić.

Cztery tysiące marek! Zaczyna człowiek mówić prawie ze łzami w oczach. Wiele to pożytecznych rzeczy możnaby sprawić za te pieniądze. —

Zakon potrzebuje ich dużo. A zdaje się, że hasłem zakonu są słowa: Pomagaj sam sobie, powstań sam z siebie. Gdyby nagle na świecie zanikł przemysł i rzemiosło, mało by im się dało to uczuć. Na dole, w piwnicach znajdują się różne warsztaty, tu pracują braciszczowie, tutaj jest ślusarnia, zakład rzeźnicki, stolarski, kuźnia, piekarnia, tu obracają się koła, trą pasy, a braciszczowie w skórzanym fartuchu stoją przed piecem rozpalonym, kują, piłują, aż im pot kroplisty z czoła spada. Dalej są chlewy dla trzody, krów, bydła, przeznaczonego na zabicie; w innym miejscu wyrabiają masło i sery. Wszędzie widać pracę dobrze zorganizowaną i w pełnym biegu. Wychodząc z podwórza jesteśmy nagle owiani powietrzem leśnym. Tutaj młodzi ludzie o czerstwych twarzach, pełni życia i wesela, wiją wieńce na przybycie cesarskie. Rektor zamienia z nimi przyjazne pozdrowienie; widocznem jest, jak go kochają. Między tą klasztorną młodzieżą znalazłaby się niejedna twarz przypominająca „Grütznarowskich mnichów. Braknie im tylko konwiz z piwem. — Ale tych nie znajdziesz w całym domu. Wszędzie widzi się pracę bez wypoczynku i wytchnienia. O ile martwą wydaje się budowla na zewnątrz, o tyle wewnątrz wre i kipi życie. Stoimy teraz przed wielkim motorem parowym, skąd siła rozechodzi się na wszystkie warsztaty, i pędzi wszystkie koła. — Kosztowało to dużo. I podczas gdy rozmawiamy

z rektorem, kolby i drągi olbrzyma poruszają się, jak członki żyjącej istoty. Czy i to nie jest „końcem wieku?“ Owa maszyna zdaje się być duszą całego domu, i co najmniej duszą namacalną, prawie żyjącą.

Inne tętno życia widzimy na pierwszym piętrze, gdzie się znajdują mieszkania księży, sale nauki alumnów, apteka, gabinet fizyczny, zbiory naukowe. Na dole praca ręczna, na piętrze umysłowa. U góry głowa, u dołu korpus, a wszystko jest w należytych porządku. Nasz przewodnik i tu udziela obszernych objaśnień. Niełatwo kierować podobnym zakładem. Aby się z zadania wywiązać i utrzymać na właściwym stanowisku, trzeba być równie biegłym w rzeczach praktycznych, jak umysłowych, trzeba posiadać znajomość ludzi, ażeby każdemu odpowiednie powierzyć zajęcie. Każdej wyprawie misyjnej dodaje się pewna ilość braciszków, bez których pomocy byłoby trudno wyżyć daleko na obczyźnie. Nieraz się zdarza, że zabierają ze sobą dom cały, który na miejscu wśród dzikich zestawić tylko potrzeba. Znajomość rzemiosł jest w zgromadzeniu misyjnym nawet Ojcom potrzebna, i oni są zniewoleni nieraz pośród trudnych warunków życia rękę do pracy przyłożyć. W tym na pozór opustoszałym, lecz przez dwustu ludzi zamieszkałym budynku, panuje jedność, tak w mechanicznej, jak i umysłowej pracy, podobnie trudno byłoby znaleźć gdziekolwiek. W kaplicy na drugim piętrze siedzieli na rusztowaniach i drabkach alumni i braciszczowie, malując ściany na przybycie cesarza. Praca ich była staranna, prawie artystyczna. Śliczny obrazek tworzyła ta młodzież klasztorna z pędzlem w ręku, przypominała dawniejsze czasy, kiedy malarstwo było uprawiane przeważnie przez zakonników ku chwale Bożej. Znowu zdala dała się słyszeć muzyka, tym razem dźwięki skrzypiec

i trąb. Podobnie jak poprzedni chór męzki, była to próba na ów dzień uroczysty. —

Rektor prowadzi nas jeszcze do dużego ogrodu. Warzywa, owoce, mała winnica, wszystko starannie pielęgnowane i utrzymane w największym porządku. Jedna część założona na sposób angielskich parków. W głębi ogrodu budowniczy klasztorny postawił małą grootę, w której znajdują się plastycznie rzeźbione obrazy, wyobrażające sceny z męki Pańskiej; całość zręczna i gustowna. Przez kolorowe szyby spływa do wnętrza światło czerwone, niebieskie, i oświeca Zbawiciela w więzieniu, płaczące niewiasty, grób święty. — Ze szczytu tej świętej groty roztacza się ładny widok na całą okolicę. Ztamtąd widać całe góry otoczone Alt-Mödling, ze znanymi wieżami kościołów; z innej znów strony widzimy płaszczyznę, wśród której tuzinami sterczą dymiące kominy. I one, jak wieże kościoła, wznoszą się ku niebu, tylko, że swego nieba szukają na ziemi. Bije tu w oczy wyraźnie różnica między przeszłością, a czasem obecnym, — tam wzdłuż łańcucha gór leży przeszłość, smutno kryjąc się za drzewami, gdy tymczasem teraźniejszość jeszcze smętnie i niedokończenie wygląda. Dziwne, że pobożni Ojcowie właśnie w nowszym czasie tu się osiedlili. — Widać jak idą z postępem czasu, jak umieją z niego korzystać.“

Korespondent gazety „Neue freie Presse“ mówi dalej o wielkich korzyściach i błogich owocach działalności misjonarzy katolickich, i o bezskutecznych usiłowaniach protestanckich. Słyszał wprawdzie o rozszerzaniu misji protestanckich, lecz nie dorównują one katolickim. Korespondent szuka przyczyny tej różnicy i zdaje mu się, że ją znalazł: „w okazałości katolickiego kultu, gdy tymczasem skromne obrządki luteranizmu, pozbawione są wszelkich ozdób.“

Lecz autor myli się. Wprawdzie obrządki religijne, ozdoby kościelne, wzniosłe ceremonie, przy-

czyniają się do podnoszenia nabożeństwa, ale są tylko środkiem, który człowieka prowadzi od pojęcia rzeczy przyrodzonych do nadprzyrodzonych, wiecznych. Współpracownikowi owej gazety, zwracamy uwagę, że te obrządki, te ozdoby i ceremonie są owocem modlitwy, owocem głębokiej wiary, żywej nadziei, Boskiej miłości, miłości, jaką tylko można zdobyć, gdy jest się w posiadaniu prawdy, w posiadaniu Boga. —

I w tem leży ta wielka różnica między katolikami a protestanckimi misyjami! —

Na tem polega owa różnica, między katolickimi a protestanckimi misjonarzami! —

Misjonarz katolicki jest posłannikiem Boga, własna jego wiara może już przekonać człowieka myślącego; dla tej wiary, i dla jej rozszerzania żyje i umiera. Wie, że jest w posiadaniu wielkiego dobra, wspaniałego skarbu. A ten skarb niesie innym z miłością, i dla miłości, albowiem oddał się Panu cały na usługi. Z wiary czerpie życie, bo miłuje, bo te łaski niezmierne jakie Bóg złożył w swym świętym Kościele katolickim, skrzętnie zużywa, i dąży dalej, aby ciągle postępować naprzód, być coraz bliżej Jezusa.

Miłością natchniony wędruje w świat daleki, krzyżem uzbrojony spogląda śmiało w oczy wszelkim niebezpieczeństwom, wszelkim przeciwnościom, wszelkiemu męczeństwu, nawet śmierci okrutnej, w nadziei, że Tego którego kocha i w sercu posiada, swego Boga, tę pełną skarbnicę prawdy i łaski, zanieśnie do serc tych ludzi, którzy żyją jeszcze w ciemności.

Misjonarz katolicki widzi w każdej duszy cenę Najdroższej Krwi Jezusowej. Dla tego nie cofa się przed żadną ohydą, nie uważa na brud i choroby, na dzikie i wstrętne obyczaje pogan, na ich skłonności i rozwiozłość. Biedna zepsuta dusza

wzbudza w nim tylko litość, a im większy upadek, tem więcej nad nim boleje. Lecz ów dziki zepsuty człowiek, nie jest zawsze pozbawionym wszelkich dobrych uczuć. Ze zdziwieniem patrzy na wielką miłość tego, który z daleka do niego przyszedł, by go uszczęśliwić, i widzi, że gotów oddać za niego własne życie. Obcując z misyonarzem doznaje tysiącznych dowodów bezinteresownej miłości. —

Wówczas serce biedaka mięknie. Pojmuje, że takie uczynki może wywołać nauka z nieba pochodząca, w ten sposób postępuje tylko wysłannik Boży.

I tak przygotowany, i przyjaźnie do słuchania usposobiony, pojmuje łatwo zasady wiary. Wyjaśnia mu ona tajemnicę jego bytu, przynosi mu światło w ciemnościach, balsam na rany, pociechę dla serca, pokój za życia, po śmierci szczęśliwość wieczną.

To co misye katolickie zdziałały, nie jest owocem „kultu pod zmysły podpadającego,” jak twierdzi autor artykułu, dzieje się to raczej, wskutek uroku prawdy której misyonarz całem swoim życiem daje tak jasne, porywające świadectwo.

Tego podwójnego uroku prawdy nie posiada misyonarz protestancki. Prawda jest tak wielką, tak potężną, że przewyższa rozumy ludzkie, rozumy mędrców, i przy dobrej woli i otwartem sercu przekonać zdoła z równą siłą uczonego jak i prostaczka.

Nauka misyonarzy protestanckich pozbawioną jest podstaw niezachwianych, ponieważ mieszczą się w niej tylko odłamki prawdy, dla tego jest zawikłaną i niejasną, nie wystarcza sercom ludzi cywilizowanych, ani dzikich.

Misyonarzowi protestanckiemu braknie jeszcze uroku jaki otacza misyonarza katolickiego, i jaki mieć tylko może wysłannik prawdy, wysłannik Boga.

Misyonarz protestancki osiedla się z żoną i z dziećmi na miejscu najbezpieczniejszem, żyje do-

statnio, jest dobrze wynagradzany, prowadzi przytem jeszcze jaki donośny handel, i po paru latach, z oszczędnościami i z wysoką pensją wraca do Europy, jako sławny człowiek. Może wreszcie ochrzcił pewną liczbę ludzi, ale ich z pewnością nie nawrócił.

Więcej nie można żądać od misyonarza protestanckiego. —

Tylko prawda, z nieba udzielona, może za łaską Bożą stwarzać bohaterów, ona tylko sama może rozpalać i porywać serca do życia pełnego ofiar i wyrzeczeń. Ogólny wzbudza podziw; w tej prawdzie mieści się źródło, z którego wypływa podobieństwo:

Misyonarza do Zbawiciela.

3. Dom misyjny Św. Krzyża w listopadzie 1894 r.*).

Ktokolwiek po trzech miesięcznej niebytności od-
wiedzi znowu kaplicę w domu misyjnym Św.
Krzyża, i uczestniczyć będzie w nabożeństwie, spo-
strzeże od razu kilka zmian, między pobożnymi za-
stępami Ojców. Liczba księży wzrosła, braknie paru
znanych, łagodnych twarzy, na ich miejsce nowe
spostrzegamy.

Nowo wybrany prefekt, dr. B. przypomina bardzo
swego poprzednika, ten ostatni zajmuje stano-
wisko prezesa w kolegium św. Rafała w Rzymie
i kieruje mniejszem, ale daleko uczeńszem kołem;
pewna ilość księży po ukończeniu zwykłych teolo-
gicznych i filozoficznych studiów, kształci się dalej
pod jego kierownictwem.

Znanym nam jest również ów młody, przy
harmonium siedzący ksiądz, już drugi z rzędu pia-
stuje tę godność, poprzednik jego zajmuje inne
stanowisko. Z rozkazu przełożonego udał się do
Berlina, aby się kształcić przy seminarium wscho-
dnim, w azjatyckich językach. Mieszka w szpitalu
św. Jadwigi, wraz z jednym jeszcze towarzyszem,
który się poświęcił wyższym studjom przyrodniczym.

Zazwyczaj studenci uniwersytetów zbytnio się
pracą nie obciążają; posłuchajmy jednak jak zajęci

*) Nadmieniamy tutaj, że wydawca tej książki nie należy
do członków zgromadzenia misyjnego „Boskiego Słowa“, ani
przez żadnego z członków nie był do wydawnictwa tego na-
kłaniany, działa się wręcz przeciwnie.

są obaj nasi Ojcowie. Przedemną leży z d. 26 maja
1894 list ojca S—dt., w którym się tłumaczy, że dla
braku czasu, nie mógł jeszcze spełnić poleconych
mu zleceń. Uniewinienie owo jest tak zajmujące,
że chętnie przytoczymy z niego urywek. —

„ Krótko przed rozpoczęciem semestru
wyjechał kapelan tutajszego szpitala, powrócił dopiero
w zeszłym tygodniu, nam obydwom powierzono za-
stępstwo. W parafii Fürstenwalden mieszkamy także
kazania, które z powodu ubiegłych świąt bywały
bezustanne, wiecej też było nabożeństw do odpra-
wiania, słuchania spowiedzi itd. Prócz tego od
początku maja mieszkamy dwa razy tygodniowo wie-
czorem nabożeństwo majowe w kaplicy, o pół mil
od nas odległej, tamże dwa razy tygodniowo odpra-
wiamy mszę św. Aby wyraźniej zrozumieć podaję
szczegółowe sprawozdanie:

Wniebowstąpienie Pańskie i pierwsze święto
Zielonych Świątek — nabożeństwo w Fürstenwalden,
w drugie święto — kazanie tutaj, uroczystość Trójcy
św. — praca w kaplicy Serca Jezusowego — (pół
mili oddalona) Boże Ciało —, rano o 10tej msza w
kościele przy ulicy Greiwaldenstr, stamtąd powrót
o godz. 12½, og. 3½ asysta przy procesyi Bożego
Ciała do kościoła św. Michała (pół mili drogi) i za-
raz z powrotem do kościoła na Greiwaldenstr.; —
jutro w niedzielę — msza św. w kościele św. Se-
bastjana; (pół mili drogi), w przyszłą niedzielę — w
Fürstenwalden; prócz tego dwa razy tygodniowo
msza św., i dwa razy wieczorem nabożeństwo majowe
przy Greiwaldenstr.“ —

Ze sprawozdania tego widać, jak czynni i pożą-
dani w Berlinie są Ojcowie z domu misyjnego Św.
Krzyża. Szanowny sprawozdawca, zamiast w czasie
wakacji wzmocnić nerwy, odpocząć i siły pokrzepić,
pełni dalej służbę kapłańską w osieroconej parafii,
i prócz dalszych studiów w językach wschodnich, pilnie

się jeszcze ćwiczy w języku polskim. Powróciwszy do Berlina, może słuchać spowiedzi polaków ku wielkiej swej radości. —

W kaplicy domu misyjnego w niedzielę po południu ślicznie rozbrzmiewa chór męski: „Przyjdź Duchu Święty . . .” towarzyszy mu młody kapłan na harmonium, tymczasem rektor klasztoru dr. W. przystępuje do ołtarza, klęka, i po krótkiej modlitwie wchodzi na kazalnicę.

Misyjonarz, mający pod opieką cały dom misyjny, jest tak zajęty, że nie wiele mu pozostaje czasu do przygotowania się na kazanie. Mianowicie rektor musi posiadać wrodzony dar wymowy, obecność jego jest wszędzie potrzebną, przytem obarczony rozmaitemi kłopotami, nie ma ani na chwilę głowy spokojnej. Jednakże nie każdemu jest dany ten wielki dar, nie z każdego ust płyną natchnione słowa, któreby umiały wzruszać słuchaczy. —

4. Dom misyjny Świętego Krzyża w listopadzie 1894.

Pod koniec kazania, wzrok nasz zatrzymuje się na twarzy sympatycznej, dawno niewidzianej. Budo-wniczy klasztoru ojciec B. znowu zajął dawniejsze swe stanowisko. Przybył z St. Gabriel, aby kierować dalszemi planami budowli. Nieraz misyonarz rysując, lub wykonując techniczne plany, tęskni za właściwym celem swego powołania, a celem tym praca nad zbawieniem i nawracaniem dusz. Do rozkazu wyższej władzy trzeba mu się zastosować, nie wolno mu kryć talentu, otrzymanego od Boga, musi go zużywać ku rozszerzaniu chwały Bożej, choćby się dusza i serce rwało do innej pracy. Jest to dla niego umartwieniem, ale w umartwieniu ojcowie zawsze się ćwiczą.

Misyjonarz umartwia ducha i ciało; a ci tylko umieją to uznać, którzy sami pragną z Jezusem współpracować w ratowaniu dusz.

Co za różnica z ludźmi światowymi. Jak trudno im tłumić namiętności, jak trudno im być wstrzemięźliwymi w używaniu rozkoszy świata; misyonarz tymczasem musi być nieraz w cnotach wstrzemięźliwym i przez to się doskonalić.

Cóż to znaczy być w cnotach wstrzemięźliwym i przez to się doskonalić?

Miłość dusz wyrasta z miłości Bożej i jest zarazem najszlachetniejszą częstką miłości bliźniego, a piękność jej występuje w całym blasku, gdy się łączy ze spełnianiem obowiązku, posłuszeństwa i

chrześcijańską mądrością. Z temi cnotami łączyć się też powinno umiarkowanie.

Miłość tylko nie potrzebuje umiarkowania, powinna raczej coraz więcej wzrastać, póki nie osiągnie tej doskonałej miłości dusz, jaką przepełnione jest serce Boga. Powściągliwą musi być tylko w działaniu, które kierować się winno obowiązkiem, posłuszeństwem i mądrością chrześcijańską a przede wszystkim mieć na celu spełnienie obowiązku.

Wszelkie zajęcia spełniamy z pomocą naszych sił umysłowych, fizycznych i różnych członków. To samo dzieje się w wielkim organizmie Zgromadzenia misyjnego. Działalności członków Zgromadzenia nie kończy się na głoszeniu Ewangelii poganom, ani na udzielaniu strawy duchowej opuszczonym wychodźcom, nie sama działalność kapłańska tam się rozwija, ale jeszcze wychowują się tam i kształcą serca i umysły przyszłych misjonarzy. Młode drzewka należy chodować, pielęgnować, chronić przed gorącymi promieniami słońca i wszczepiać w te młode serca cześć i zapał dla rzeczy nadprzyrodzonych, a prócz tego udzielać im jeszcze innych nauk n. p.: suchą gramatykę, rachunki; całe stopy zeszytów z wypracowaniami przeglądać nieraz trzeba.

Podobny zakład naukowy potrzebuje obszernych sal, których urządzenie ma jak najmniej kosztować; to co się oszczędzi, wpływa do kasy misyjnej.

I to sprawia, że nietylko Ojciec — budowniczy z taką ochotą oddaje swoje zdolności na usługi, ale każdy, czy ksiądz, czy braciszek, czy uczeń, chętnie bierze udział w praktycznych obowiązkach, jakie mu są przeznaczone.

Dla tej przyczyny wszyscy bez wytchnienia pracują; z tą myślą kapłan książki prowadzący, choć sam nieraz słaby i chory, skrzętnie liczby, zapisuje; on też w tym domu posiada jedno z cięższych zadań. Otóż pewnego wieczoru, z troską na czole udaje się

na spoczynek. Kasa jest pusta, zupełnie pusta; lecz na drugi dzień przychodzi Ojciec-rektor i przynosi mu sumę potrzebną na konieczne wydatki, którą w tej chwili ofiarowała jakaś majętna, starsza osoba, za procent płacony do śmierci.

Tam dalej kłęczy młody, niedawno tu przybyły kapłan, przez dłuższy czas ukrywał się ze swemi zdolnościami na architekta, z obawy, aby nie przyczyniły się do zatrzymania go w Europie; wkrótce jednak talent jego został odkryty przez Przełożonego.

Spełniło się to, czego się tak bardzo obawiał, rozchwiało się pragnienie jego podążenia z krzyżem w rękę za góry i morza, nadzieja pozyskania korony męczeńskiej; poddaje się woli Bożej i czuje w tem spokój i zadowolenie.

To samo spotkało młodego ojca V. Konieczne pragnął pojechać do Chin i zalewał się gorzkiemi łzami, gdy na wyprawę misyjną wyjeżdżali jego towarzysze. Teraz już spokojny, poucza w klasie gromadkę przyszłych krzewicieli wiary, prócz tego jeszcze obejmuje urząd nauczyciela śpiewu; raz po raz tylko w niedzielę i święta z kilku towarzyszami wysuwa, się z po za obrębu klasztoru i niesie choć w pobliżu pomoc duszom zbłąkanym*). Ojciec W. górnosłazak, także łudził się nadzieją, że zostanie wysłany z wyprawą misyjną, ale obecność jego była na miejscu konieczną. Mało jest księży władających językiem polskim, a że dom misyjny miał łączność z Górnosłazkiem, zdażało się czasami, że w pobliżu mieszkający Polacy chcieli się spowiadać po polsku, nic więc dziwnego, że wybór padł na niego, zatem musiał pozostać.

Z żalem żegnał się Ojciec W. ze swem marzeniem. Ojciec S. kapłan i lekarz, chciał leczyć u

*) Kapłan ten wkrótce jednak został odwołany i od trzech lat pracuje w Nowej Gwinei i na sąsiednich wyspach.

pogan dusze i ciało. „Chiny i Togo“ były słowa przez niego ciągle powtarzane. W domu misyjnym Św. Krzyża także pomocy potrzebują, a ponieważ na niego padł los, więc chętnie pracuje w przeznaczonem mu kole. A jeżeli go kiedyś z misją wyślą, to podąży z wielką radością, bo praca około nawracania dusz jest mu tak drogą, że ją uważa za wypoczynek po ciągłych naukowych wykładach gramatyki, liczb i wypracowań*).

*) Obecnie od 3 lat pracuje Ojciec Schonigh w Togo w Afryce.

5. Dom misyjny Św. Krzyża w listopadzie 1894.

Św. Gertruda przejęta pewnego razu ogniem miłości Bożej i miłości dusz, zawołała: O moj Jezu, chciałabym boso przejść świat cały, i na mych rękach wszystkie dusze Ci podać.

Co za gorące pragnienie przebija w tych słowach!

Miłość Boża i miłość dusz sprowadziła do nas księży i braciszków, ona nimi kieruje, wyprowadza ich w świat daleki, lub gdy potrzeba, zatrzymuje ich w kraju.

Wszyscy nie mogą być oddani kształceniu wychowawców; olbrzymi organizm Zgromadzenia potrzebuje także czynnych rąk, silnych nóg, i każdy z braciszków wie, że cel może być tylko osiągnięty, przez wspólne działanie wszystkich członków. Ci, którzy tam podług sił i możliwości pracują, są pewni, że w dziele biorą równy udział, równą pomoc mu niosą.

Wiedzą, że Zgromadzenie jest podobne do użyźniającej rzeki, która swe odnogi do różnych krain wysłała. Źródłami tej rzeki są domy misyjne w Europie. Im źródło obfitsze, tem rzeka i każda z jej odnóg bystrzejsza i więcej użyźniająca, w przeciwnym razie, gdy źródło zaniknie i rzeka wysycha.

Kto przy tem źródle pracuje, ten równej pomocy udziela biednym poganom, opuszczonym wychodźcom, jakoby się sam między nimi znajdował, i z pełnomocnictwem apostoła niósł słowa Ewangelii i środek zbawienia.

Jak już wyżej, nadmieniliśmy słyszymy nieraz rodziców odzywających się w ten sposób: „Mamy

dla kogo pracować i nasze trudy krwawym potem zdobyte, nie przejdą w obce ręce.“ —

Podobne słowa zdradzają wielką nieświadomość, lub oznaczają ducha czysto ziemskiego, widocznie, że nie pamiętają słów wypowiedzianych Boskimi ustami: Kto pełni wolę Ojca mego, jest mi ojcem i matką.

A jaka jest wola Ojca? Pismo św mówi: „Tak bardzo Bóg świat umiłował, iż Syna swego jednorodzonego posłał na świat, abyśmy żyli przezeń.“

Przez Syna swego jednorodzonego nakazał Kościołowi, aby całemu światu niósł posłannictwo zbawienia.

Nad spełnieniem woli Bożej pracuje misjonarz, kapłan i braciszek.

Wie dla kogo pracuje. Owoc jego trudu nie przejdzie w obce ręce, ale będzie jednym ogniwem tej pracy, obejmującej świat cały i niosącej światło i życie tam, gdzie dotąd panowały cienie śmierci, niosącej szczęście, gdzie nędza się znajdowała, pokój niebieski, gdzie tylko szatan zbierał ziarno swego zasiewu.

Lecz czyż to nie są „obce ręce? obci ludzie?“

Misjonarz nie tak myśli. Wszakże Zbawiciel powiedział: „Coście uczynili jednemu z tych braci mojej najmniejszych, mnieście uczynili.“ Tak, On nazwał tych „obcych ludzi“ braćmi i przelał za nich Krew swoją Najświętszą, tę samą krew, która obmyła i uświęciła duszę misjonarza.

Teraz rozumiemy tajemnice, czemu misjonarz — kapłan, bierze się tak ochoczo do ciężkiej bez wytchnienia pracy. —

„Jakie się to zdaje być nudne, bezmyślne,“ powie niejeden młodzieniec, „gdy taki braciszek — szewc siedzi samotny przy swoim warsztacie, i dzień przy dniu robi obuwie, lub stare sporządza.“ Mylisz się moj drogi! Nie jest nudnem nieść światło błędzącym w ciemności.

Duch Święty, który w nim mieszka, oświeca prawdziwą mądrością prostego nieuczonego braciszka. Każdy ścieg czyni z miłości dla Boga i dla dusz, w ten sposób, pozostaje w ciągłej łączności z Bogiem i tak mu z tem dobrze, że najprozaiczniejsza praca wydaje mu się arcypoetyczną. Dusza jego wielbi Boga i zanosi nieraz przed tron Najwyższego, takie dziecinne gorące prośby, które nam niestósownemi wydawaćby się mogły, ale zarazem wskazuje, jak serce jego jest pełne świętych pragnień, jak wielka jego ufność.

Ofiarowuje Bogu swoje modlitwy, walki serca, prace, którą co dopiero ukończył, a za to wszystko prosi Boga, o nawrócenie dusz. Działaniem, a nawet niemądrem wyda się ludziom światowym takie błaganie, ale Bóg wybrał prostaczków dla zawstydzenia mędrców, a mądrość krzyża stała się głupstwem w oczach świata.

W celi furtjana siedzi przy maszynie braciszek krawiec. Od dawna stale zastępuje furtjana. Pochylony nad robotą, ócz od niej nie odrywa, praca to nie lada, cały dom oporządzać, lecz pracuje z tą samą ochotą, tak chętnie, tak wesoło, jak wszyscy jego towarzysze w przeznaczonych im urządach, wszyscy dążą do wspólnego celu, poruszeni jednym uczuciem. Poczciwy braciszek tak się zmienił, że ledwo go poznać możemy. Wprawdzie wyraz twarzy zawsze równie uprzejmy i ujmujący, ale wpadłe oczy i policzki każą się domyślać poważnej choroby. To mu jednak w zajęciu nie przeszkadza. Nie wie, co mu choroba przyniesie, śmierć czy wyzdrowienie, ale jest pewny, że zawsze to będzie życie doczesne, lub wieczne, a tymczasem ból i cierpliwość wzmocni jego cnotę, pomnoży zasługi. W ten sposób pojmuje życie, i śmierć gotowym go zastanie. Dla niego życiem jest Chrystus, śmierć wygraną, do podróży jest gotów, przyszłe mieszkanie czeka na niego.

Zgromadzenie misyjne nazwałem wielkim organizmem, który zarazem potrzebuje czynnych rąk i szybkich nóg. Zwłaszcza te ostatnie powinien posiadać braciszek—furtjan.

Z największą uprzejmością przyjmuje każdego przychodnia, udziela objaśnień, biegnie to po rektora, to po spowiednika, gdy kto zażąda. Jeśli sobie życzysz, oprowadzi cię po całej domowej bibliotece, pokaże cenne książki, obrazy, i da ci sposobność nabycia różnych pożytecznych i ładnych rzeczy, stosownych na prezenta gwiazdkowe, lub imieninowe dla twych ukochanych. A gdyś już sobie upatrzone przedmioty wybrał, albo swoje żądania piśmiennie załatwił, wtenczas braciszek furtjan zajmuje się pakowaniem, adresowaniem, a nawet jeśli mu czas pozwoli, zanosi na pocztę. Prócz tego należy do niego sprzątanie sieni, rozmównicy, i utrzymanie w porządku całego dziedzińca.

Ład i porządek powinien panować w każdym gospodarstwie, a czyścić i uprzątać trzeba ciągle, gdy się raz skończy, znów od początku zaczynać. Co to starania i zabiegów potrzeba w utrzymaniu ładu tylu sypialnych i mieszkalnych pokoi, bielizny tylu mieszkańców. —

Najbardziej współczuję z braciszkiem kucharzem gotującym dla tak wielkiego domu. Uwija się ciągle koło ognia, a twarz jego staje się raz bladą raz czerwoną. Nie jest to wcale lekki urząd, gotować dla wszystkich mieszkańców domu, a potrawy muszą być zdrowe i smaczne. On sam nie jest zbyt silnym, i nieraz odczuwa ciężar podnoszonych garnków. A gdy już z jednym zajęciem skończył, gdy ostatnie naczynie kuchenne umyte, znowu głód się budzi, znowu trzeba gotowanie zaczynać. Chętnie wraca do swego zajęcia, bo żywi synów Zbawiciela, i przyczynia się do tego, że młodzi wychowawcy wyrastają na zdrowych i silnych misjonarzy, mogących później

znosić bezkarnie, wszelkie niewygody i trudy. Mimo że sposób zatrudnienia braciszka-kucharza jest czysto materyalny, pracuje jednak przy źródle duchowym i przy tej rzece, która świat przepływa i ożywia. Dla tego taki zawsze swobodny i wesół; swoje zadanie uważa za ważniejsze jak niejeden minister sprawy państwa. Każdemu z ministrów chodzi o to, aby powiększyć blask ziemskiej chwały swego państwa, a poniżyć obce narody; tymczasem braciszek-kucharz ma na oku tylko chwałę Bożą i nawrócenie dusz; jego dni są pełne dobrych myśli, pragnień, słów i czynów.

6. Dom misyjny Św. Krzyża w listopadzie 1894.

Na placu budowy spostrzegamy silną, opaloną męską postać. Ciągłe w ruchu raz tu, raz tam, mularzom wydaje rozkazy, czasami nawet sam pomaga. Wreszcie spostrzegłszy nas, uprzejmie pozdrawia. Jest to mistrz mularski. Chętnie udziela nam objaśnień, co do stawiania rozpoczętego budynku. „Nie na długo ten dom starczy,” powiada nam. „wkrótce będzie, tak jak ten pierwszy przepełniony.”

Ma jeszcze inny kłopot na głowie, jedno życzenie, które zdradzę przed tobą, ale wpraw, staraj się sam je odgadnąć.

Nietylko brat Aleksander, ale wszyscy twierdzą, że kaplica (ku temu celowi, tylko tymczasowo służy, później zamienioną będzie na salę jadalną) jest za małą, niedługo nie będzie mogła pomieścić nawet wszystkich domowników.

Biedny brat Aleksander, o ile co do swojej osoby jest nieczuły na powietrze mroźne i gorące, o tyle lituje się nad drugimi, którzy podczas letnich upałów tłoczyć się muszą w małej kaplicy. W tej napozór szorstkiej postaci, bije serce pełne miłości bliźniego. Z zalem patrzył, jak nieraz w lecie wracali do domu całe procesje ludzi, nie mogących się pomieścić w kaplicy.

Zdaje ci się, że odgadłeś już teraz. Brat Aleksander chciałby wystawić dużą kaplicę, i na to pieniędzy potrzebuje.

Odgadłeś, ale niezupełnie. Gdyby kaplica miała pomieścić wszystkich wiernych, musiałaby być olbrzy-

mią, a wtenczas przy niskiem sklepieniu duszno i gorąco, byłoby nie do wytrzymania. Odpowiednią do obszaru powinna być i wysokość.

Gdyby jednak stanęła kaplica, duża i wysoka, przestałaby nosić miano kaplicy, tylko domyślasz się — — byłby to kościół.

Tak kościół ku czci Matki Boskiej Bolesnej przegnałby wystawić brat Aleksander.

W Steyl, w domu misyjnym, także koniecznie potrzebnym był kościół. Gdyby jednak miał pomieścić wszystkich tamtejszych księży, braciszków, wychowalców i przybywających dla odprawiania rekolekcji, musiałby być większy od całego obszaru zabudowań misyjnych, który graniczył z jednej strony z ulicą, a z drugiej z szeroką rzeką Maas. Dla tego stanął tam kościół dwupiętrowy, podzielono go na górny i dolny. W domu misyjnym Świętego Krzyża rzeka nie stoi na przeszkodzie, tylko co innego. — Domyślasz się zapewne co? — —

Gdy poraz pierwszy zbierając składkę obchodził tu kościelny z woreczkiem, który uszyła i ofiarowała pracowita, dziś już nieżyjąca osoba, w woreczku znalazł się talar, zawinęty w papierek z następującemi wierszykami:

„Zbieraj woreczku pieniędzy tyle,
By mogły nadejść wkrótce te chwile,
Gdy do kaplicy co jej potrzebne,
Zakupić wszystko będzie możebne.
A żebyś jeszcze mógł więcej sprawić,
I z twych dochodów kościół wystawić,
Ku czci Maryi Bolesnej Matki,
Modlić się będą o to jej dzieci.”

Spełnienie życzeń ofiarodawczyni woreczka kościelnego, przeszłoby wszelkie marzenia brata Aleksandra. Niestety rzadko się tam kiedy talar zabłąka, i ową główną przeszkodą jest brak talarów.

Właściwie prawdą to nie jest. Talary znajdują się w świecie, nieraz leżą jedne na drugich, nie przynosząc nikomu korzyści ani procentów, często nawet ich ciężar przytłacza pożalowania godnego właściciela. Brat Aleksander siedząc w niedziele po południu w czasie wolnym od zajęć, razem z braciszkami w sali, pilnie liczy, sumuje, i oto wypadła mu liczba 100,000. O gdyby mieć te 100,000 marek. Za to można już kościół postawić.

Niedawno temu zmarł w pobliżu człowiek, który zostawił swym dwom, już i tak majątnym spadkobiercom 240,000 marek. Gdyby mieli połowę tej mamony biednego bogacza, jak wspaniały, za te pieniądze stałyby kościół.

*

*

Przejdźmy się drogą, wiodącą wzdłuż zabudowań do podwórza. Przy wejściu widzimy ogromną ilość ściętych drzew, leżących jedne na drugich, tak jak się zwykle widzi drzewa w lesie na sprzedaż. Ze szopy obok stojącej wystaje żelazny komin, a wiatr rozpędza kłęby dymu, z niego wychodzące. Słychać zgrzyt kół parowej maszyny, a hałas wzmacnia się jeszcze więcej, gdy otwieramy drzwi z napisem: „Nieupoważnionym wstęp zabroniony.“

Na żelaznem oparciu porusza się olbrzymia kłoda drzewa, podczas gdy piła tną ją na deski. Braciszek stojący obok pilną zwraca, uwagę czy wszystko idzie w porządku. W przyległym budynku inni braciszkanie pracują ciężko przy heblu, w drugim znów przedziale, jeden z braciszków zasila olbrzymi potwór węglami, aby miał siłę pary, którą wszystkie koła są pędzone. Nie jest rzeczą zbyt miłą, obracać się ciągle około olbrzymiej maszyny, między piłami i kołami. Niejeden ze zwiedzających zrobi uwagę: „Jakie to czyni niemiłe wrażenie,“ i najszcześliwszy, gdy ztamtąd wyjdzie. Gorliwym braciszkiem nie undzi

się tu jednak. Pracują dla Boga i dla dusz; z taką ochotą biorą się do swego zajęcia, jak gdyby na świecie nie było większej przyjemności, nad zajęcie wśród tych huczących maszyn, zgrzytu kół, tarcia pasów. Zacni bracia wiedzą, że swoją pracą oszczędzają dużo pieniędzy, które będą obrócone na Jeder wielki cel, „ratowanie dusz,“ wszystko kosztuje utrzymanie domu, wysyłanie misjonarzy, same misye. Dzieło misyjne tak mało świat zajmuje, nawet katolikom jest obojętne. Biedny, wszystkiego pozbawiony, braciszek odwagi nie traci, obojętność świata chciałby zastąpić wszystkimi swymi siłami, całą swą wolą. Pracuje jakoby chciał Panu Bogu wynadgrodzić za wszystko, co Mu inni odmawiają.

7. Dom misyjny Świętego Krzyża w listopadzie 1894 r.

W zabudowaniach, które dawniej służyły za tymczasowe mieszkania misjonarzy, znajduje się dzisiaj piekarnia, z osobnem miejscem, przeznaczonem do fabrykacyi hostyi. W przyległym budynku, z dawniejszej kaplicy zatrudnieni są bracia-stolarze. Zajęci są wyrabianiem podwójnych ram do okien, których jeszcze dom misyjny nie posiada; prócz tego robią tam szafy do książek, na sprzedaż przeznaczonych, a więc szafy do księgarni oddanej pod zarząd brata-furtjana; wyrabiają tam jeszcze mnóstwo innych przedmiotów stolarskich. koniecznych do nowych budynków jako: drzwi, okna itd.

Sw. Józef raduje się pewnością, gdy patrzy na tych skupionych, z modlitwą na ustach pracujących braci-stolarzy.

Często o tem myślałem, że św. Józef, jako były cieśla, szczególniejszą łaską obdarza warsztaty — ciesielskie, gdzie tak jak on dawniej, pracują dla jego ukochanego Jezusa. Tem większą radość uczuwa, widząc jak religia i pobożność pracę tę uświęca, i jak z pracą połączoną jest: wspólność, milczenie i modlitwa.

W zagłębieniu okna znajduje się figura św. Józefa, i każdy z braci-zków posiada na swej ławie od heblowania, jakkolwiek święty obrazek, oklejony kolorowym papierem. Ten zwyczaj panuje tutaj we wszelkich rzemiosłach. Ze wrzuceniem spotykamy ów dowód głębokiej pobożności wszędzie

przy pile różnej deski, przy maszynie parowej, na stole krawieckim, na warsztacie szewskim, w piekarni, nawet w stajniach. W stajniach nie brak wody święconej. Zaci braciszczowie postępując w ten sposób dobrze czynią. Każdą pracę, choćby najpodlejszą, uszlachetnia cel i intencja.

Trochę dalej położoną jest ślusarnia i blacharnia, gdzie braciszczowie, stojąc przy kowadle, „kują żelazo póki gorące.“ Dla tego musimy zaczekać, aż żelazo nie nabierze właściwego kształtu, a wtenczas braciszek kujący będzie nam mógł z wrodzoną sobie uprzejmością, pokazać swą pracę, którą naprzód obmyślił i wyrysował, w czasie niedzielnego wypoczynku.

W podobny sposób używają czasu przeznaczonego na wypoczynek bracia-krawcy, braciszcz mularz i inni. Wszystko tu jest Bogu poświęcone, czy to modlitwa, czy praca, czy też wypoczynek.

Modlić się i pracować. Kto chce siebie i swych współbraci zapoznać z temi dwoma głównymi czynnikami w życiu i w dziele zbawienia, ten niech przybędzie do domu misyjnego Świętego Krzyża i powiedzie okiem po pracy księży i braciszków, ale musi razem z nimi zacząć dzień ze świtem.

Wszystko w około jest jeszcze w głębokim śnie pogrążone, gdy księża i bracia podnoszą się z posłania, i niedługo potem zbierają się w kaplicy. Gdy już niejeden odmówił swoje modlitwy, niejeden drogę krzyżową odprawił, zaczynają się wspólne modlitwy poranne, krótkie jędrne, pełne bogatych myśli. Przypuszczę tu tylko jedno zdanie:

O. „Rozrządzaj mną Panie, podług św. woli Twojej.“

B. „Gotowe serce moje Panie, gotowe serce moje.“

Te kilka słów szczerze wypowiedzianych wskazują, jaki tu duch panuje: Bezgraniczne poddanie się woli Bożej, i gorliwość ofiary aż do męczeństwa.

Przychodzi nam na myśl, czy byśmy i my codziennych naszych zajęć nie mogli rozpocząć podobną modlitwą i prośbą do Boga, aby nam udzielił tego bezgranicznego poddania się woli Jego św., tę gotowość i miłość ofiary, jaką pragnie u nas widzieć. Codzienna prośba o te cnoty i o poddanie, nie zostanie modlitwą bezskuteczną, i ubłaga nam potrzebne do tego łaski.

Przykłady pociągają drugich za sobą. Gdy patrzemy na zebranych misjonarzy, i jesteśmy świadkami ich bezgranicznej ofiarności, gdy widzimy, jak wszyscy zapaleni są jednym pragnieniem, aby świat cały uwierzył w Jednorodzonego Syna Bożego, i przez Niego został zbawionym, przejmuje nas to, i trudno nam nie brać w tem udziału. Powinniśmy gorąco pragnąć, dopomagać podług sił naszych i współpracować przy tem wielkiem dziele i celu Zgromadzenia Boskiego Słowa w domu misyjnym Świętego Krzyża.

Pod koniec modlitwy porannej słyszymy błagalną prośbę: „W Trójcy świętej Jedyny Boże błogosław nam na duszy i ciele.“ „I wszystkim naszym dobrodziejom przez Boskie Serce Jezusa.“ Jesteś jeszcze w głębokim śnie pogrążony, a już cały zastęp wybranych, błaga Boga o łaskę dla ciebie. A ta prośba jest jeszcze często powtarzana po skończonym dniu ciężkiej pracy, przy wspólnej wieczornej modlitwie.

Stańmy się współpracownikami i pomocnikami Zgromadzenia misyjnego i domu Św. Krzyża.

Prawdziwe szczęście przeniknie serca nasze!

Z jaką radością i spokojem pod koniec naszego żywota będziemy śmierci oczekiwali: „Gotowe serce moje Panie“ zawołamy wtenczas, podczas gdy na wszystkich końcach świata pobożni misjonarze będą się modlili dla nas o łaskę, byśmy wierze zasnęli w Panu.

A potem przyjdzie sąd Boży.

Kto będzie sądził?

Jezus.

Czyż nas nie przyjmie miłosiernie, skorośmy tylko jednego na ziemi szukali, aby świat cały w Niego wierzył i przez Niego się zbawił.

8. Dom misyjny Św. Krzyża w listopadzie 1894.

Może niejedyn zrobi tu uwagę: we Francji tyle jest bezbożności, że wcale się nie widzi wpływu domów misyjnych.

Tak bezbożność jest tam rozgałęziona, ale jest tam i dużo światła Bożego, więcej aniżeli myślisz i spodziewasz się. Przeczytaj sobie, co pisał o najświętszym Sakramencie, dzisiaj w Bogu spoczywający Ojciec Augustyn (dawniejszy żyd Cohn) o nocach spędzonych przez setki ludzi przed tem najwyższym Dobrem. Zrozumiesz wtenczas owe słowa, pełne natchnienia, będące echem wszystkiego, co odczuwały dusze pobożne. To co do tego czasu zrobiono dla misji, można zawdzięczać po większej części Francji. Francja dostarczała już Kościołowi na cele misyjne rocznie miliony, podczas gdy Niemcy nic zgoła nie dawali.

Francja wysyłała swych synów w kwiecie wieku jako misjonarzy, i odbierała ich męczennikami.

I tak jak w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, krew męczenników była nasieniem nowych chrześcian; tak też każdorazowe przybycie szczątków misjonarzy-męczenników nie pozostaje nigdy bez zbawiennego wpływu. Już sam wyjazd misjonarzy czyni na niejednym głębokie wrażenie i budzi często w sercach oziębłych nowy zapal, nowe postanowienia.

Może i to jest prawdą, że we Francji odszczepieństwo Kościoła występuje wyraźniej, jak u nas, może są konsekwentniejsi w obojętności dla Boga i w służbie Bożej. Ale czyż mogą podobać

się Zbawicielowi obojętni chrześcianie wołający „Panie Panie!” a nie wypełniający woli Ojca Jego. Na tych obojętnych wydał Pan bardzo surowy wyrok. Bóg żąda, byśmy Go kochali całym sercem, całą duszą, ze wszystkich sił naszych, a bliźniego jak siebie samego. Wierne wypełnianie powyższego rozkazu wymaga niemałego wyrzeczenia, poświęcenia zdolności, majątku, całej swej osoby.

I w samej rzeczy, gdy się przyjrzymy bliżej, dziełom miłosierdzia we Francji, gdy zobaczymy co tam czynią dla Kościoła, powiemy: Bóg może być zagniewany na kraj, w którym tak wielka panuje niewiara, ale z drugiej strony ma zadowolenie i pociechę z wielu, bardzo wielu dusz, które Go kochają tak jak wymaga, jak tego pragnie; tak jak Święci kochali z poświęceniem i z wyrzeczeniem swych zdolności, majątku, całej swej osoby.

Co się tyczy wielkiej ilości bezbożnych, nie trzeba zapominać, że życie religijne we Francji podkopało w zeszłym stuleciu niedowiarstwo filozofów; owocem ich zasiewu była rewolucya, która spustoszyła kraj cały. Łatwo gmach niszczyć i w gruzy rozbijać, ale trudno jest odbudować na nowo, mianowicie budować pod ciągłym naciskiem i napływem potężnych nieprzyjaciół. Tak się dzieje we Francji. „Nie w jednym dniu Rzym zbudowany”: wielu też niestety podług słów Zbawiciela: „stąpa drogą szeroką prowadzącą na zatracenie a mało ich jest, którzy idą drogą wąską, wiodącą do życia wiecznego. — Ale jeszcze jedno spostrzeżenie.

„Zkąd tacy chłopcy mogą wiedzieć, czy posiadają powołanie na misjonarzy, w końcu pewnością niejedyn z domu misyjnego ucieka.“ Podobne zdanie nie dawno słyszałem. Zobacz, co dzieje się w Chinach. Tam wśród największych rozruchów, wśród walk, między opryszkami, prześladowany nienawiścią Chińczyków, działa liczny zastęp misjonarzy, którzy

niegdyś byli wychowancami domu misyjnego w Steyl. Misyjonarze pracujący w Argentynie, Equatorze, Togo, także pochodzą z domów misyjnych w Steyl, Świętego Krzyża, St. Gabryela pod Wiedniem, nawet księża misyjni kształcący się w Rzymie, wszyscy byli po części od najmłodszych lat wychowancami Zgromadzenia.

Niedawno Nuncyusz papieski, zastępca w Austrii Ojca św., odwiedził dom misyjny St. Gabryela, i w przemowie do księży i alumnów tego domu wyraził jedno życzenie. (Zapewne już wiadomo, że w St. Gabryel nie ma małych chłopców, tylko młodzi ludzie w wieku 20 do 26 lat.) Życzenie i nadzieja jaką wyraził zastępca Ojca św., była tego rodzaju, że musiała poruszyć serce każdego słuchacza, jedno zgrozą, drugie zachwytem, jedno smutkiem, inne radością, a w niektórych sercach mogły się być połączyć obydwa uczucia.

Nuncyusz wyraził życzenie, aby z czasem w St. Gabryel, tak jak przy seminarjum misyjnym w Paryżu, mogła powstać sala męczenników, w której będą składane szczątki szczęśliwych misyonarzy, poległych śmiercią męczeńską.

A jakże została przyjęta ta mowa przez zebranie młodych krzewicieli wiary? Jeden przeciągły, pełen zapału głos potwierdzenia, towarzyszył słowom Dostojnika Kościoła, i na wszystkich twarzach rozlane było pragnienie i nadzieja korony męczeńskiej.

Ci sami młodzi ludzie, którzy tak ochoczo na myśl męczeństwa przyjmują ów projekt, od dziecka poświęcili się temu wzniosłemu powołaniu.

Wszyscy męczennicy, których szczątki przechowane są w sali męczenników, w paryskim seminarjum misyjnym, jako i misyonarze spoczywający snem wiecznym w obcej ziemi, wreszcie ci, którzy w służbie misyjnej dożyli starości, wszyscy chowali się i kształcili pod schlachetnym kierunkiem misyo-

narzy, co jest zupełnie w porządku rzeczy, i odpowiada życzeniu naszego św. Kościoła.

Młode drzewko jest wrażliwe i łatwo naginać się daje, a sił nabiera, przez zdrowy i wzmacniający pokarm, który mu podają w czasie rozwijania. —

9. Dom misyjny Świętego Krzyża w listopadzie 1894.

W poprzednich rozdziałach uwaga nasza zwróconą była na księży i braciszków w domu misyjnym Świętego Krzyża, słusznie zatem, jeżeli się teraz trochę więcej zajmiemy wychowawcami, których liczba od kilku miesięcy bezustannie wzrasta —

W różnych zapytaniach, dotyczących się warunków przyjęcia wychowalców do domu misyjnego Świętego Krzyża, przebiega się często myśl, wręcz przeciwna właściwej intencji; nieraz uważają dom misyjny Świętego Krzyża jako miejscowość, w której tanio można się kształcić, aby później przejść do jakiego bądź innego zawodu, lub zostać wreszcie świeckim kapłanem, ciesząc się dochodami i wolnością i wśród wygód żyć sobie w kraju.

Podobne pytania odbierają zazwyczaj krótką odpowiedź, innym posła się prospekta z szczegółowemi przepisami, gdzie radzą chłopcom wycisnąć się wpierw w gorącej modlitwie i przekonać się, czy postanowienie i powołanie na misjonarza jest prawdziwe, i zalecają w tym razie postulantom, kierować się tylko własnym sumieniem. Nie ukrywają przed nimi, co może spotkać w przyszłości misjonarza, nie obiecują ziemskich złotych gór, ale przedstawiają jasno i wyraźnie życie pełne ofiar i niebezpieczeństw, na jakie każdy misjonarz jest wystawiony. Oto młody postulantom modlił się, badał, doświadczał samego siebie, i trwał dalej w postanowieniu. Nie pragnie złotych gór, toć to jeszcze prawie dziecko ale właśnie młode

niewinne serca najłatwiej przejmują się zapalem do heroicznych wzniosłych czynów.

Owe dzieci z wieków średnich złożyły jasne tego dowody, gdy porwane zapalem w całym zastępie wyruszyły do obcego kraju, na wojnę krzyżową, by ucałować Ziemię świętą, po której stąpało Dzieciątko Jezus, i wyrwać Grób Zbawiciela z rąk niewiernych.

Dzieci owe nie doszły do swego celu, większa ich część zginęła z dala od matek i domów rodzinnych. Ale ich intencja, cierpienie, miłość i śmierć, były miłe Bogu i pewnością nie zostały bez nagrody.

Kościół św. wie, że młodzież z równą łatwością przyjmuje do serc wszystko co dobre, szlachetne i piękne, jak i złe wpływy. Dla tego stara się usilnie w serca młodzieży zasiewać tylko dobre ziarno, a strzedz ich od złego! Z wyjątkową pieczołowitością pielęgnuje chłopców, mających, powołanie do stanu duchownego, i dla tego wymaga podług uchwały Soboru Trydenckiego „już od młodości wychowania pod okiem biskupa.“

Jeżeli takim staraniem i opieką mają być otoczeni młodzieńcy, przeznaczeni na kapłanów świeckich i mający działać w kraju wśród zwykłych warunków życia; o ile więcej starania i przygotowania potrzeba tym, którzy przysposobieni być muszą do pełnego poświęcenia życia misjonarza.

Nieuzasadnione zatem są głosy występujące przeciw domom misyjnym, pod pozorem, że młody chłopiec nie może jeszcze wiedzieć, czy będzie mógł zostać misjonarzem.

Kościół św. i Sobór Trydencki wie, że nie wszyscy początkujący chłopcy wytrwają do końca i zamierzony cel osiągną. Niektóre roślinki jeszcze nierozwinięte, zabiera Bóg do swego ogrodu; niektóre dusze poczuwają, że Bóg ich nie powołał do tego wzniosłego zawodu, że droga, po której idą,

nie jest ich drogą; zdarza się nawet, że niektórzy wysydzają to wzniosłe posłannictwo; widocznie nie współpracowali z łaską Bożą; a jednak wielu, bardzo wielu wytrwa w powołaniu, i stają się z nich na pociechę Bogu i Kościołowi najgorliwsi kapłani, a kto wie, na co by wyrosli gdyby w świecie byli pozostali.

Podobne domy wychowawczo misyjne są niezbędnym warunkiem do rozszerzania Królestwa Bożego. Pierwszy taki dom powstał za staraniem Papieży pod imieniem „Propagandy“ w Rzymie. Na życzenie Ojców św. i dzięki gorliwości biskupów założone zostały we Francji, „szkoły apostołów“ i „seminarya misyjne.“ Ojciec św. Leon XIII polecił usilnie biskupom Niemiec zakładanie domów misyjnych, zagrzewanie wszystkich wiernych do gorliwego wspierania misji katolickich.

Do tego czasu państwo niemieckie nie wydało Kościołowi prawie ani jednego misjonarza; najwięcej Francja. Dlaczego? Bo w Niemczech nie ma wcale domów wychowawczo misyjnych, we Francji rozwijają się w całej pełni.

Chociaż w Niemczech nie było domów misyjnych, dawał się uczuć ogromnie brak księży, podczas gdy Francja skarżyła się na to nie potrzebowała.

Już raz zwracaliśmy uwagę, że do wzrostu liczby kapłanów przyczynia się w znacznej mierze bliskość domów misyjnych, przykład odważnych młodzieńców, ich nauczycieli i wyjeżdżających na misye krzewicieli wiary, porywa serca drugich, i udziela im tego samego zapału, albo też ludziom lubiącym świat i wygodę nasuwa się myśl: „Skoro owi wychowawcy mają odwagę wyrzec się wszystkiego, skazywać się na trudy i niebezpieczeństwa powołania misjonarza, to i ja podołam daleko łatwiejszemu zadaniu, jakie kapłan w kraju bierze na siebie.“

Heroiczne przykłady pociągają czasami innych do równie heroicznych, lub częściej do zwyczajnych cnót chrześcijańskich. Prócz tego księży zajmujący się kształceniem wychowawców, zawsze są gotowi dopomagać, o ile im czas pozwala duchowieństwu dycieczalnemu, i nie odmawiają nigdy ludziom szukającym rady pomocy duchowej. Zdarza się często, że wychowawcy, których opuściła z czasem odwaga, by wytrwać w trudnym swym powołaniu, (takowych jest mała liczba) zostają w kraju kapłanami świeckimi, a z pewnością nie zostaliby duchownymi, gdyby nie wpływ wychowania w domu misyjnym.

Działalność i przykład misjonarzy w kraju pobudza niejedną duszę, niejedną rodzinę do większej pobożności i gorliwości w służbie Bożej, a wtedy wzrasta też miłość i ochota do stanu duchownego.

W najrozmaitszy zatem sposób działa wpływ wychowawczych domów misyjnych na potężny wzrost zastępu kapłanów.

10. Dom misyjny Św. Krzyża w listopadzie 1894.

Młody kandydat na misjonarza po wysłaniu swych świadectw do domu misyjnego, z bijącym sercem oczekuje odpowiedzi, otóż wreszcie list nadszedł, otwiera go z niecierpliwością.

Dowiaduje się, że został przyjętym, i że krótki czas dzieli go od chwili wyjazdu.

List wszyscy czytają, ojciec, matka i rodzeństwo; matka ukradkiem łyzy ociera, nie wie sama, co je wywołało, radość, czy smutek; za to syn jej bohater dnia, z dumą i z radością spogląda dokoła i wyczekuje chwili, w której będzie mógł wstąpić do Zgromadzenia.

Nareszcie oczekiwany dzień nadszedł, kufer zapakowany, następują pożegnania, bolesniejsze dla pozostałych jak dla odjeżdżającego którego matka odwozi do domu misyjnego Świętego Krzyża.

Teraz już stoją przy furcie, i chłopiec po raz pierwszy uczuwa coś w rodzaju trwogi.

Jak go przyjmą? Za chwilę stanie przed wyższą władzą duchowną, a taki jest nieśmiały, niezaradny. Co ma powiedzieć, jak się zachować?

Matka nieśmiało pociąga za dzwonek.

Braciszek furtjan przyjmuje nowo przybyłych z taką uprzejmością, że lepiej nie mógłby przyjąć najwyższych dostojników.

W rozmownicy czekało już kilku chłopców z ojcami lub z matkami. Wkrótce ukazał się Rektor tego domu z Ojcem Prefektem.

Nowo przybyły nie potrzebował długo się na myśleć co mówić, lub jak się zachować. Ojcowie tak go dobrotliwie i serdecznie przyjmują, że mu jest rażniej na duszy i słowa same z ust płyną, a gdy jeszcze z matką i z drugimi towarzyszami posilił się ciepłą kawą, wtenczas serce zupełnie odtajało i bez najmniejszej obawy odpowiada Ojcu na pytanie, i opowiada o swych stronach, o tamtejszych kapłanach, o szkole, i jak mu przyszła myśl zostać misjonarzem.

Takiego samego zaufania nabierają drudzy chłopcy, i przy serdecznej rozmowie i przyjęciu, zapominają prawie o rozłączeniu. Potem Ojcowie prowadzą swych gości do kaplicy, w której każdy przed Zbawicielem w tabernakulum składa swe ofiary i odnawia postanowienia. Następnie wszyscy udają się do ogrodu. Grota Matki Boskiej Bolesnej i kapliczki ku czci św. Jadwigi i Filomeny wzbudzają radość i podziw. Jak zręcznie przyozdobili chłopcy kamyszkami ściany groty, tworząc z nich różne pobożne symbole.

Gdy wychowawcy po skończonej nauce wypoczywają w ogrodzie, lub mijają miejsce modlitwy, wtedy ich serca podnoszą się do Boga i miłemi napełniają je uczuciami. Królowa męczenników odbiera tutaj niejedną pokłon od tych, którzy zaczynają życie pełne poświęceń i męczeństwa, jako też od księży i braci, którzy już niejedno dla Boga wycierpieli.

Św. Jadwiga zasłużyła sobie na szczególne uznanie, i ona była gorliwą protektorką misji, w czasach, kiedy na Ślązku umysły mieszkańców nie były jeszcze przeniknione światłem wiary, ona też jako patronka tego kraju i jako gorliwa służebnica Boga, szczególniejszą opieką otacza ten dom misyjny, uprasza dlań błogosławieństwo Boże.

Posąg św. Filomeny męczennicy za czystość i wiarę, słusznie umieszczono w drugim bocznym zagłębieniu. Może cię to jednak dziwi, czemu Ojcowie umieścili w tem miejscu posągi świętych niewiast. Stało się to przypadkiem, w sposób następujący:

Przed wielu laty, gdy tu jeszcze było pustkowie, młoda osoba idąc nocną porą z polecenia matki, została napadniętą; a że była wielką wielbicielką św. Filomeny, w potrzebie zwróciła się do niej o pomoc, ślubując w razie wysłuchania, wystawić kapliczkę swej patronce. Modlitwa nie była daremną. Opryszek przez silną niewidzialną rękę został odrzucony.

Wkrótce owa młoda osoba kazała wymalować obraz Świętej, ale na razie nie mogła wypełnić tego co przyobiecała, gdyż nie pozwalały na to jej środki, nie traciła jednak nadziei, że wypełnić to zdoła, składała do skarbonki grosz po groszu i codziennie odmawiała modlitwę o spełnienie tego życzenia.

Od tego czasu ubiegło lat piętnaście. Na tem miejscu zaczęto stawiać dom misyjny.

Trudno opisać radość, jaką z tego powodu uczuła owa osoba. Uważała to za spełnienie swych modlitw i błagań.

Tak zawsze Pan Bóg udziela więcej, jak się człowiek spodziewa i prosić odważy, jeżeli tylko z ufnością udajemy się do Niego i prosimy, wytrwale o rzeczy, tyżące się chwały Bożej i zbawienia dusz*).

Pewnego razu przyszła owa osoba do nas i opowiadała o swem niebezpieczeństwie i trwodze, o cu-

*) Słyszmy nieraz ludzi mówiących: „Modliłem się o nawrócenie pewnej duszy, tymczasem umarła bez pojednania się z Bogiem, modliłem się, by mój syn został misjonarzem lub księdzem, a Bóg mnie nie wysłuchał.

Pan Bóg nikogo nie przymusza, nie wiesz ile łask udzielił duszy, a ta je odrzuciła. Nie wiesz również, czy droga, którą sobie życzyłeś dla twego syna, zaprowadziła by go do zbawienia.

downem wybawieniu, o długoletnich swych prośbach, i jak niezmiernie czuje się szczęśliwą, że modlitwy jej wysłuchane zostały. Prosiła, abyśmy nie pogardzili obrazem jej Świętej i przyjęli uzbierane pieniądze na wystawienie kapliczki.

Nie było to próżnością z jej strony, że modlitwom swoim przypisywała założenie domu misyjnego właśnie na tem miejscu; i ja widziałem w tem palec Boży i pomyślałem, że modlitwie biednej, ukrytej, przez wielu może wzgardzonej, starzejacej się panny zawdzięczać można założenie domu misyjnego.

„Prosiłam tylko o kapliczkę, a na jej miejsce Pan Bóg dał dom misyjny,“ mówiła podziwiając dobroć Bożą. Od tego czasu ta sama, dusza mogąca ledwie zapracować na swe utrzymanie przytem cierpiąca, stała się wielką zwolenniczką i protektorką misji. Sprzedawała dużo książek i kalendarzy z księgarni Zgromadzenia misyjnego.

Mimo swego ubóstwa przyczyniła się zatem do tego, że kapliczka św. Filomeny znajduje się w domu misyjnym Świętego Krzyża.

Opuszczając grootę, prowadzą Ojcowie swych gości na drogę wiodącą do „jeziora“ i mostem na „wyspę“, z której rozstaczający się widok, wszystkich zachwyca.

Pięknie i błogo w domu misyjnym Św. Krzyża. Wyjeżdżającym gościom czas ubiega zbyt szybko. Jeden z gości spojrzał na zegarek i zwrócił uwagę, że czas najwyższy odjeżdżać. Ze wrzuceniem i z wdzięcznością zaczęto się żegnać z Ojcami, raz jeszcze każda z matek przycisnęła do serca swego syna, którego tu pozostawiała.

Oczy rodziców łzami zaszyły, ale mimo bólu rozstania z najlepszym dzieckiem, czują w sercu spokój i zadowolenie. Nie pragną już odebrać swego syna, widzą go zakrytym przed największymi niebezpieczeństwami świata, w najlepszych rękach pod

troskliwą opieką. Syn ich ma tu sposobność zostać świętym*).

Myśl ta przejmując serca rodzicielskie. Dzisiaj nie żegnają się jeszcze na zawsze, a gdy przyjdzie chwila, kiedy syn z krzyżem w ręku wyjeżdżać będzie, aby już nigdy nie powrócić, to i wtenczas myśl i nadzieja, że syn może zostać św. męczennikiem lub wyznawcą, koi straszny ból rozłączenia.

Tacy rodzice mają prawo, stanąć z zaufaniem przed obrazem Królowej męczenników i powiedzieć: „Dałśmy ci naszego syna, w zamian daj łaskę Boskiego Twego Syna nam, jemu i wszystkim, nad którymi pracuje.

Czas ofiary jest krótki, nadeszła godzina śmierci, i podczas, gdy serca rodziców toczą ostatnią walkę na ziemi, w tej chwili daleko, wśród obcych zanosi syn ich misjonarz, gorące modły przed tron Najwyższego, prosząc Boga o zgon ich szczęśliwy.

Bóg każe zazwyczaj ludzi tem, czem grzeszyli, ale też równą miarą wynadgradza dobre uczynki.

Ojciec i matka, ofiarowaliście Bogu swego syna, dla Jego miłości znieśliście rozłączenie, za to kiedyś w niebie będzie waszą koroną i radością, i więcej będziecie do siebie zbliżeni, aniżeli mogliście być tu na ziemi.

Życie jest krótkie, wieczność nieskończona. Czyż ta prawda nie czyni ofiary lżejszą, a godzinę rozstania nie tak bolesną?

*) Zaiste nie miejscowość czyni świętym ale współdziałanie z łaską Ducha św.; w przeciwnym razie Adam i Ewa nie byłoby upadli, ani Aniołowie zgreszyli. Nawet Judasz w otoczeniu Boskiego Zbawiciela stał się synem zepsucia; w najcnotliwszym domu znaleźć się mogą źli ludzie. Człowiek ma wolną wolę, ale może ją używać na dobre lub na złe.

11. Dom misyjny Św. Krzyża w listopadzie 1894 r.

Z jaką ciekawością i zdumieniem oglądają nowi wychowawcy długi korytarz, schody oświecone, salę nauk. Z zachwytem patrzą na pulpit, przy którym mają zamiar pilnie pracować, by w końcu cel osiągnąć. Dumni są z posiadania w sali sypialnej, małej celki deską odgródzonej, a skromny obiad, spożyty w licznej towarzystwie smakuje im wybornie. Zdaje im się, jakoby się znajdowali w kole rodzinnem. Ojciec i matka nie mogli być dla nich lepsi, jak tutajsi Ojcowie, a rodzeństwo daleko było mniej uprzejme i uczynne od wszystkich współtowarzyszy. Zawsze skorzy do usługi, najchętniej chcieliby nowemu przybyszowi we wszystkim pomagać. Ale tylko kilku do tego jest przeznaczonych, reszta musi postępować zwykłym trybem.

„Dobrze można się uczyć w tak obszernych salach,“ odzywa się nowoprzybyły do swego towarzysza, i przyjemnie może schodzić rekreacya w ogródzie.

Raz jeszcze idzie z swym młodym przewodnikiem do ogrodu, i kroki chłopców zwracają się ku wyspie. „Jezioro“ przybiera w fantazyi młodego umysłu olbrzymie rozmiary, wyobraża sobie, że to morze, a lekkie falowanie wody porównuje do morskich bałwanów, jakie niegdyś oglądał na obrazku. Ot tam płynie łódka, chłopiec widzi w niej okręt, wiozący go kiedyś w dalekie kraje, z których już nie powróci; owa mała wysepka na wodzie, wydaje mu

się wierzchołkiem skały, którą kapitan okrętu ostrożnie omija. A „wyspa,” na której stoi, cóż z niej zrobi fantazya chłopca?

Towarzysz przychodzi w pomoc i powierza mu, że ktoś zamierza malować obraz św. Franciszka Ksawerego, umierającego na wyspie Sancian w pobliżu Chin, któremu to krajowi, tak bardzo pragnął przynieść światło Ewangelii. Obraz ten ma być umieszczony na owej wyspie.

Jakie to piękne! Serce chłopca drży z wzruszenia. Żeby tylko już była wykończoną kapliczka dla tego wielkiego świętego misjonarza! Będzie wtenczas do niego często się udawał i prosił o pomoc, aby w przyszłości mógł także jak ów dzielny święty misjonarz pracować i jak on świętobliwie umrzeć.

Chłopiec zajęty podobnemi myślami stoi przez chwilę śniąc na jawie. Zbudził go towarzysz lekkim dotknięciem; czas już powrócić.

Idąc mostem, nowoprzybyły schyla głowę przed figurą św. Jana Nepomucena, on także był męczennikiem, błaga aby uprosił jemu, który wstępuje na długą ciernistą drogę, siłę wytrwania.

Nowoprzybyli zaczynają zaraz ćwiczenia duchowne. Z jaką troskliwością zajmują się tu każdą duszą! Pracują nad nią i strzegą, niby klejnotu drogiego. A skoro dusza jest tak drogą w oczach przełożonych i nauczycieli, cóż dopiero w oczach Boga! Duszyčka niemowlęcia opuszczającego ten padoł bez żadnych zasług, więcej znaczy w obec Boga od wszystkich skarbów świata, jakże musi Mu być miłą dusza, przez którą na ludzi mają spływać zasługi Zbawiciela, i przez którą chce wiele ludzi zaprowadzić do nieba.

Pieczą Ojców nad duszą młodzieńców jest o tyle wytrwałą i niezmordowaną, o ile troskliwą. Starają się rozwijać wychowanców przez zbawienne wykłady, przykłady, przez ćwiczenia w modlitwie, w rozmy-

slaniach i pełnieniu ofiary; prócz tego kształcą umysł różnemi naukami, ciało hartują i wzmacniają, aby w razie choroby szybko do zdrowia mogło powrócić.

W domu na chłopca mało zwracano uwagi, a tutaj jest przedmiotem tylu starań, zabiegów, kłopotów, nawet w jego zabawach dziecinnych biorą udział Ojcowie, by mu tem przyjemność sprawić i mieć go na oku nawet podczas rekreacyi.

Kilka lat tak upływa. W końcu nadejdzie dzień, w którym trzeba mu się rozstać z ukochanym domem misyjnym Świętego Krzyża, aby się udać do St. Gabryela, tam się kształcić przez lat 6—7 w teologii w filozofii, i nowicyat ukończony.

Nadejdzie wreszcie dzień tak gorąco pożądany, ów dzień, gdy wyświęcony na kapłana, sprawować ma pierwszą ofiarę mszy św. — Następnie odwiedziny w domu u swoich, a potem pożegnanie na wieki.

Do przebycia tych chwil, do pracy potrzeba mu dużo siły i hartu, modli się o tu już naprzód, a z nim modlą się wszyscy księża, braciszczowie i wychowañcy domu misyjnego, jego przyjaciele w domu, a co najmniej ojciec i matka.

Syn ich ukochany nie powinien się cofać w raz w powziętym zamiarze; ofiara już zaczęta niech się więc dopełni; Bogu nie odbierają co Mu oddali. Ofiara ta całkowicie spełniona, nietylko ich syna, ale tysiące ludzi zbawi i uszczęśliwi na wieki.

O jak miłą jest Bogu podobna modlitwa. Może ona wyjednać łaski Boże, które ofiarę uczynią lekką i słodką. Im więcej młodzieniec postępuje w naukach, tem więcej w nim się rozszerza horyzont myśli. Przytem ożywia się jeszcze uczucie przywiązania do wszystkiego, co należy do domu misyjnego, do wszystkich jego członków i towarzyszy.

Tworzą oni jedną wielką rodziną, rozproszoną po całym świecie, ale złączoną wspólną miłością braterską, dążeniem do jednego celu i posłuszeństwem

jednemu przełożonemu. To poczucie wspólności i miłości braterskiej jest strzeżone i utrzymywane; potęguje je wzajemne dopomaganie sobie modlitwą i czynem, oraz świadomość o losach i rezultatach pracy misyi, domów i stacyi misyjnych.

W ten sposób młody misjonarz na obczyźnie nie czuje się tak bardzo osamotnionym i dalekim od swoich; a im więcej postępuje w wiedzy i pobożności, tem więcej to uczucie wzrasta u niego.

Umysł młodego wychowanka, oswaja się z przyszłym pobytom w dzikich krajach, które mu się nie zdają tak odległe i uczy się pracować tylko dla nieba.

Dla tego nie powinno nas dziwić, że życzenie wyjawione przez Nuncjusza papieskiego podczas pobytu w St. Gabriel, wywołało pomiędzy alumnami tak ogromny zapal, nie dziwmy się również, że działalność misjonarzy Zgromadzenia wydaje takie świetne rezultaty.

„Miłość Chrystusowa przyciska mnie,“ mówi Apostoł. Ta miłość wyprowadza naszych misjonarzy w świat daleki.

„Nikt z nas nie jest stałym gościem na ziemi,“ tem mniej misjonarz; jesteśmy wszyscy wygnańcami, misjonarz jeszcze więcej; powołani jesteśmy wszyscy, znosić w życiu cierpienia i ofiary, misjonarz tem więcej; jesteśmy wystawieni na niebezpieczeństwa, o ile więcej misjonarz. Przy takim życiu pełnem wyrzeczenia niebo staje się misjonarzowi, coraz bliższe, coraz łatwiejsze do osiągnięcia. Coraz ściślej i z większem zaufaniem przestaje z Bogiem i z Świętymi. Zdaje mu się, że żyje w niebie i coraz więcej ogarnia go pragnienie wszystkich ludzi do nieba zaprowadzić. Zapewne nieraz w kazaniach, lub na rozmyślaniu posłyszeliśmy głos Boży, odzywający się do duszy naszej: „Niebo musi być twoim udziałem za jakąbądź cenę, za jakąbądź cenę.“



Pierwsze misjonarki wysłane do Wilhelmsland w roku 1899.

Siostra Walerya.

Siostra Urszula.

Siostra Frydolina, przełożona.

Siostra Marta.



Pierwsi misjonarze wysłani do Equador w roku 1893.
 O. Henryk Pierlo. O. Henryk Neuenhofen, Superior.
 zm. 24go maja 1896 r.

Misjonarzowi to nie wystarcza i nam wystarczać nie powinno, ale pomagajmy, gorąco pomagajmy, aby się spełniło, czego tak bardzo pragnie wysłannik Boży, aby niebo stało się także udziałem biednych nieoświeconych pogan, za jaką bądź cenę, za jaką bądź cenę.

12. Słówko do ojców i matek.

Nigdy nie przystanę, aby moj syn misyonarzem miał zostać, niech sobie obierze każdy inny zawód, zanadto go kocham, — musiałbym mieć serce z kamienia, gdybym miał na to pozwolić.“

Tak mówi niejeden ojciec, niejedna matka.

Ojcie i matko, czyż nie sądzicie, że Matka naszego Zbawiciela swego Syna więcej kochała, aniżeli wy waszego?

Nietylko, że się z Nim rozłączyła, że pozwoliła Mu wystawić się na niebezpieczeństwa i ciężkie cierpienia, ale dla zbawienia świata, oddała Go na upokarzającą śmierć krzyżową. Nie dla tego zowią Maryą Królową męczenników, że najwięcej cierpiała, ale że Jej poddanie w cierpieniu było największe.

Pytam się was jeszcze ojcie i matko, czyż przypuszczacie, że rodzice tych misyonarzy, których bohaterstwo podziwiamy, mniej kochali swych szlachetnych synów, niż wy waszych kochacie?

Myślicież naprawdę, że wszyscy misyonarze, ludzie pełni miłości Boga i miłości dusz, pochodzą z rodziny o sercach twardych i bez czucia. Czy czasem nie jest przeciwnie? Czy pod wpływem miłości rodzicielskiej nie rozwijały się w dzieciach cnoty i szlachetność?

Tylko między waszą miłością, a miłością owych rodziców jest wielka różnica.

Wasza miłość jest przyrodzona, ta druga nadprzyrodzona; wasza ziemską, zmysłową, ich duchową, czystsza. Miłość duchowa ogarnia zarazem dusze i

ciało człowieka. Rodzice rozstając się z synem, przechodzą ciężki ból rozłączenia, w takiej chwili miecz przebija im serca, ale w tych sercach żyje coś, co czyni ból znośniejszym, co wlewa balsam w rany i czyni zdolnymi cierpieć z radością, ofiary wesoło ponosić.

I cóż to jest, co wlewa w biedne serca siłę i pociechę?

Wielka miłość Boga i miłość dusz.

Kochają Boga nadewszystko. Bóg pierwszym jest w ich sercu, to też syna swego kochają mniej dla tego, że to ich ciało, ich krew, ale że to dziecko Boga, Jego łaską obdarzone, i że to dziecko ma służyć w ręku Boga za narzędzie do leczenia i ratowania dusz.

Owe dziecko łaski, to ich syn! Rodzice myślący po ziemsku, czy wy pojmiecie że owi drudzy rodzice kochają więcej swego syna, aniżeli wy waszego?

Nie kochacie wy więcej siebie, niż syna? Chcecie go zatrzymać, mieć przysobie. Dlaczego? Bo tak wam przyjemnie, bo się lękacie bólu rozstania. Obawiacie się także niewygód i niebezpieczeństw, jakie grożą waszemu synowi ale przy tej obawie winniście pamiętać na to, co wasz syn zdobędzie dla siebie i całego świata. Przypatrzcie się rodzicom oddającym swych synów na misyonarzy, i oni lękają się bólu rozstania dla siebie, a dla swych dzieci ofiar i cierpień, ale widzą przygotowaną nagrodę dla nich, — koronę niebieską, i są pewni, że Bóg im także za poniesioną ofiarę sowiec wynagrodzi. Nie chcą się rzec nagrody dla siebie, a tem mniej dla swych dzieci.

Otóż to jest miłość prawdziwa, która potrafi ponieść ofiarę dla ukochanych.

Nawet gdyby się nie spodziewali żadnej nagrody dla siebie i dla drogiego syna, oddaliby go Bogu i pozwoliliby mu wyruszyć w dalekie obce kraje, a czyniliby to z miłości do Boga, z miłości dla Jezusa,

który przelał krew swoją i dla tych dusz opuszczonych, żyjących w ciemności, a pragnących ratunku; albowiem baczą na słowa: „Coście uczynili jednemu z tych braci mojej, najmniejszej mnieście uczynili. —

Serce człowieka, przepełnione za łaską Ducha świętego miłością Bożą, ma jedno gorące pragnienie, — zanim bić przestanie, spełnić jaki czyn wielki dla Boga.

Ofiara rodziców, poświęcających syna na misyonarza, jest takim czynem wielkim; działają oni pod wpływem łaski Ducha św., nie zdając sobie może z tego sprawy.

Poświęcając syna i czyniąc z niego ofiarę na ołtarzu miłości Bożej, zdobywają go sobie na wieki, a ci, którzy dla zatrzymania dziecka przy sobie zagradzają mu drogę powołania, tracą je często w inny sposób, czasami nawet na wieki.

Dziwne jest, jak nieraz rodzice rozporządzając losem dzieci, wystawiają je z zimną krwią na większe daleko niebezpieczeństwa, w których mogą zatracić duszę i ciało.

Zagadką jest to dla nas, jak o wiele łatwiej i z zupełnym spokojem, puszczają rodzice dzieci do wielkich miast dla kształcenia się w przyszłym zawodzie, lub dla zdobycia trochę grosza.

Czyż rodzice nie pozwalają dzieciom na lekkomyślne zawieranie związków małżeńskich, biorą udział w weselu, nie bacząc, „że małżeństwo to męczeństwo,“ że nieraz młoda, pełna życia córka wychodząc za mąż, idzie naprzeciw śmierci przedwczesnej? Czasami nawet nie przekonają się o wartości moralnej wybranego, lub wybranej, nawet wiedzą, że tam brak wszelkich cnót, mimo to dziecko, które zdają się kochać, wystawiają na największe niebezpieczeństwa.

Podług świata jest to „dobrą partyą,“ lub co najmniej „partyą,“ i dzieci nagłą do małżeństwa, choćby ten krok miał ich oderwać od Kościoła i Boga. W zamian za wieczność wolą wybrać kilka lat ziemskiego wątpliwego szczęścia.

Pozwalają przyjmować dziecku stanowisko, na którym, jak uczy doświadczenie, może zostać od razu przesadzonym o sto mil, i gdy ta chwila nadejdzie, nie są pewni, czy w życiu zobaczą się choć razy kilka.

Niejedni rodzice patrzą spokojnie, jak syn zostaje marynarzem, choć wiedzą, że między załogą okrętową panują luźne obyczaje, i już niejednego wśród bezbożnego życia zaskoczyła śmierć, która im ciągle grozi.

Wielu dla chleba, dla zdobycia pieniędzy, lub dóbr doczesnych udaje się do innych części świata i rodzice nie sprzeciwiają się, choć przeczuwają niebezpieczeństwa grożące duszy i ciału dziecka. Niektórzy synowie wyjeżdżają, aby się osiedlić w zamorskich posiadłościach, rodzice nie mają nic przeciwko temu, a przecież klimat jest tam zabójczy, a jeszcze groźniejsze są niebezpieczeństwa dla duszy, z powodu zepsucia, rozpowszechnionego przez zamieszkałych tam Europejczyków.

Czego ludzie nie robią dla zdobycia pieniędzy, sławy, stanowiska w świecie i dobrobytu!

Poświęciliby wszystko, nawet życie, a jeszcze prędzej wieczność.

Dla Boga trudno im się zdobyć na czyn wielki, na poświęcenie. Przeminie jednak wszystko, co czynią dla świata, a wiecznotrwały będzie każdy uczynek, spełniony dla Boga.

I tak tracą to, co tylko terazniejszość miało na celu, a wróci im się, cokolwiek uczynili dla wieczności.

Wszystko co czynimy dla świata, jest przemijające, co dla nieba wieczne, a przedewszystkiem

pracując dla świata zasmucamy najśłodsze Serce Jezusowe, a pracując dla nieba radujemy Je.

Zadowalnianie Boskiego Serca powinno się stać jedynym motywem naszego działania, siłą naszego życia. O jak się Bóg cieszy, gdy dusza kocha, działa, spełnia wielkie heroiczne ofiary, nie dla żadnej nagrody, nie myśląc o sobie, ale z prawdziwej miłości.

13. Ofiara tkliwej miłości macierzyńskiej.

W żeńskim klasztorze służyło do mszy św. małe grzeczne chłopie. Dziecko to było bardzo pobożne i pracowite, i od dawna czuło pociąg do stanu duchownego, a że był biednym, zajęły się nim siostry i wystarały mu się o miejsce w pewnym zakonie, aby ku wielkiej radości rodziców mógł się kształcić na kapłana lub misyonarza. Nadszedł dzień rozłączenia i pożegnania z rodzicami. Łzy płynęły z oczu, a pocciwi ludzie drżącym od wzruszenia głosem rzekli do syna: „Błogosławimy cię drogie dziecię! bądź wiernym twemu powołaniu! gdybyś nie wytrwał, nie mógłbyś nam zgotować większego zmartwienia i wstydu. Zostań pobożnym kapłanem, i idź śmiało, dokąd cię Bóg pośle. Jesteśmy wszyscy w ręku Boga, i gdybyśmy nie mieli dożyć tego szczęścia, otrzymać twego pierwszego błogosławieństwa, i nigdy cię nie oglądać przy ołtarzu, sprawującego urząd kapłański, to w każdym razie zobaczymy się w niebie!”

Mały Franuś pożegnał się z zakonnicami, a na wstępie do nowego zawodu zdarzyła mu się sposobność usłyszenia innego zdania, innych poglądów. Jak mieli jego rodzice.

W tym samym czasie w klasztornej rozmównicy była obecną osoba, nosząca się z myślą, oddać tam także na wychowanie swego synka, Piotra. Wypytywała się szczegółowo siostr i chłopca, o jego zamiary. Gdy usłyszała, że mały Franuś ma „wyruszyć tak daleko,” złożyła ręce i rzekła, że gdyby to było jej dziecko, nigdyby jako matka nie pozwo-

liła wysłać je w świat tak daleki. „Gdyby tam umarł,“ mówiła, „czyniłabym sobie wyrzuty do śmierci.“ Te słowa wyrzekła matka, i na tem się skończyło z powołaniem jej syna.

Jedna z sióstr powiadomiła przypadkowo o tym zajściu doświadczonego duchownego, który zajmował się sprawami zawodowymi, i otrzymała na to następującą odpowiedź. —

„Więc owa pani (pisał) posądza matkę Franusia, o brak serca, bo tak daleko wysła swego synka. „Gdyby tam umarł!“ powiedziała załamując ręce. Dla jej uspokojenia wskazałbym inne wypadki i zapytał: Coby powiedziała, gdyby jej syn nie umarł jako przyszły misjonarz spokojnie w swem łóżku, ale gdyby jako wysłany misjonarz zginął krwawą śmiercią wśród dzikich w Afryce, lub Chinach? Czyby ten cios zniosło jej serce macierzyńskie? Nie miałaby większych jeszcze powodów czynienia sobie wyrzutów?”

Tę samą odpowiedź dałem dwa lata temu pewnej majętnej kobiecie, która na moje przedstawienia, co do obrania zawodu dla synów podobne miała obawy. Starałem się, wyjaśnić moje zapatrywanie. Opowiedziałem jej prawdziwe zdarzenie: jako pewna matka przystała, aby syn został misjonarzem, i wyjechał do Chin; wkrótce odebrała wiadomość, że nie żyje; śmierć nie zastała go w łóżku, nie umarł na żadne zapalenie, ale — o zgrozo! po skazaniu na śmierć stał się tak nazwanym „męczennikiem 100 ran.“

Matka tego biedaka dowiedziawszy się o tem strasznem nieszczęściu, wzniosła ku niebu oczy pełne łez, i — trudno uwierzyć — dziękowała Bogu, że jej udzielił niezasłużonej łaski i przed śmiercią ma pociechę, być matką męczennika.

Opowiadałem jej dalej o świętych matkach, które były obecne przy męczeństwie synów, i same ich zagrzewały do wytrwania.

Nie wszystkie matki posiadają tę bohaterską odwagę. Owa bogata pani zemdłała podczas mego opowiadania; ale biedaczka miała doświadczyć na samej sobie prawdy słów moich.

Miała ona dwóch synów, młodszego mianowicie szalenie kochała, nieraz mówiła, że nigdy nie byłaby wstanie, rozłączyć się zwłaszcza z młodszym.

Od naszej rozmowy upłynęło kilka miesięcy. Najstarszy syn spędzając czas dość wesoło, podczas chłodnej nocy zaziębił się i zachorował. Nie pomogli sprowadzeni lekarze, na nic się nie zdało przystawianie pijawek i zakładanie rurek oddechowych, po kilku dniach wyzionął ducha. Otóż dowód, że syna można stracić nietylko w zgromadzeniu zakonnem, lub w dalekim kraju, ale śmierć zabierze go także z domu z pośród swoich często wskutek własnej lekkomyślności.

Nieszczęśliwa matka przelała całą swą miłość na najmłodszego syna i dogadzała wszystkim jego zachciankom. Raz też zezwoliła na podróż do miasta portowego dla odwiedzenia kolegi z uniwersytetu. Miał tam bawić kilka tygodni. — Czas ten już upłynął, a troskliwa matka nie odebrała od niego ani literki. Mijały miesiące, żadnej wieści. Udała się wtenczas z listowem zapytaniem do rodziców przyjaciela, którzy mieszkali w tem samem mieście portowem i odebrała okropną odpowiedź, że obydwa przyjaciele zrabowawszy ojcowską kasę, znikli od niejakiemu czasu. Przypuszczać było można, że obydwa godni siebie towarzysze, zbiegli do Ameryki, lub Australii i tam ze skradzionemi pieniędzmi szukają szczęścia. Można sobie wyobrazić rozpacz nieszczęśliwej kobiety. W krótkim czasie pisały gazety, że dwóch młodych kupców N. i N. wyjechało do Brisbane w Australii, ale podług wszelkiego prawdopodobieństwa zginęli podczas rozbicia się parowca H, na którym jechali. Niestety wiadomość ta oka-

zała się aż nadto prawdziwą. Wkrótce potem zatrzymał się przypadkowo przy wyspie, w pobliżu której rozbił się ów parowiec, statek angielski, i ludzie okrętowi znaleźli u tamtejszych mieszkańców ubrania, notesy i inne przedmioty, będące własnością obu nieszczęśliwych. O nich samych nie było żadnej wieści.

Chętnie byłbym podążył do ciężko doświadczonej matki, i zaniósł jej słowa pociechy, ale zatrzymała mnie obawa, by nie przypomnieć jej dawniejszych zapastrywań. Nieszczęście zmieniło ją jednak. Przyszła sama do mnie i uznała swoje zaślepienie. „Jakaby to dla mnie było pociechą,“ mówiła wśród łez, „gdyby moj pierwszy syn był umarł w domu misyjnym, a drugi zginął jako męczennik. Ciężko mnie Bóg skarał za pobłażliwość dla synów. Aby moją winę choć w części okupić, chciałabym się zaopiekować dwoma wychowankami jakiego biednego domu misyjnego, i płacić na ich utrzymanie.“

W tym celu od czasu do czasu przysyłała znaczniejszą sumę na moje ręce. Nie zdołała jednak przeprowadzić swego planu; po kilku tygodniach nie było jej już pomiędzy żyjącymi. —

Niejedni rodzice powinni wziąć sobie do serca powyższe zdarzenie i poważnie się nad niem zastanowić.

Słowa te skreślił doświadczony kapłan; przykład ten zdoła zapewne niejednego lepiej przekonać od wszelkich rad i pouczeń. Oby poznali, że to niemądrze i dowód braku ufności w Bogu, chcieć przewidzieć wyroki Opatrzności i sprzeciwiać się głosowi powołania. Mści się to zwykle potem na winowajcy i na jej ofierze.

14. Kilka propozycji.

Niedawno w pewnem piśmie wyrażono życzenie, aby w domu misyjnym Świętego Krzyża ufundować stypendya, aby z nich mogło korzystać, o ile możności jaknajwięcej wychowanców. Przytem autor tej kwestyi proponował, by użyć w tym celu pieniędzy, wpływające ze składek na dom misyjny. Gdy zbierze się pierwsza potrzebna suma, należy zająć się zaraz ufundowaniem jednego stypendyum pod opieką jakiego Świętego, i w ten sposób dalej postępować.

Podobny układ byłby dobry i dałby się może przeprowadzić, gdyby po 1^{sz}e miano już potrzebne pieniądze do dalszej budowy domu misyjnego, a po 2^{gie}, gdyby wychowañcy domu misyjnego Świętego Krzyża posiadali miennych rodziców, lub dobrodziei, którzy by płaciliby za nich pensyą. Niestety większa część wychowanców nie dać nie może, niektórzy płacą rocznie 50 marek, inni niewiele co więcej, a mało, kto daje większą połowę oznaczonej sumy, jeden tylko opłaca całkowitą pensyą.

Z czego więc żyć, za co budować, jeżeli wszystkie wpływające składki obróci się na stypendya?

Jednakże takie stypendya byłyby bardzo pożądane, ale jako fundacya pojedynczych dobrodziei.

Pomyślisz sobie może, że jak dla pojedynczych osób to trochę za wiele; tak się zdaje, bo w naszych czasach panuje zwyczaj dawania Bogu i na chwałę Bożą jaknajmniejszej jałmużny. Wiele osób, gdy ofiaruje parę marek, mniema zaraz, że spełniło czyn wielki; wprawdzie dla wielu jest to wielką ofiarą, a

przykładem służy owa wdowa dająca w świątyni grosz jeden, który więcej znaczył w oczach Boga od najhojniejszych datków.

Ale dla wielu osób ofiarowany datek jest kroplą w morzu tego, co posiadają. Nie uczuwają oni pragnienia, aby nim zamknąć księgę swego żywota, uczynić coś wielkiego dla Boga, lub dla chwały Bożej, a przecież to pragnienie jest dowodem prawdziwej miłości.

Rzecz dziwna! Trudno im dać Panu Bogu małą jałmużnę, a gromadzą bogactwa dla swych dzieci, które byłyby pewnością szczęśliwsze w skromniejszych warunkach bytu. Inni z lekkim sercem zostawiają pieniądze i mienie krewnym, przyjaciom, nawet rządowi.

Twierdzą, że kochają Jezusa, a wachają się uczynić, co Jezus wymaga. Opatrzność Boża, bogacz, rozporządziła naprzód twemi dobrami, niweczysz Boskie wyroki, jeżeli majątek, który miałeś używać ku zbawieniu świata, zatrzymujesz dla siebie i twoich, a nawet dla rządu.

O gdyby wszyscy posiedziciele znacznego mienia mogli się przekonać, jak w wielkim są błędzie, gdy się uważają za nieograniczonych panów swego dobytku. Nie, oni nim tylko do czasu zawiadują, aż Bóg nie powie: „Zdaj rachunek z włodarstwa twego.“ I w chwili sądu Boskiej sprawiedliwości spadną bogaczowi łuski z oczu i przejrzy, że majątek zdobyty uczciwie, lecz nieuczciwie posiadany, może zepchnąć niewiernego zawiadowcę w czeluści piekielne.

Czyż to zapatrywanie jest za surowe, za nadto pesymistyczne?

Osądź sam czytelniku po wysłuchaniu wprzód świadka, dającego świadectwo prawdzie.

A któż nim jest?

Sam Chrystus Pan.

Tak On, który cię kiedyś sądzić będzie, bogacz, przed którym będziesz musiał zdawać rachunek z tylu łask, od Niego otrzymanych, a które może wskutek zatwardziałości twego serca, zamieniły się w przekleństwo przeciwko tobie. On sam powiedział przypowieść w Ewangelii, która cię pewnością nie uniewinni, ani nie uspi twego sumienia.

Znasz może, biedny bogacz, Ewangelią, w której Jezus powiedział, że sługa, który zakopał swe talenta, wrzucony został w wieczne ciemności, nie dla tego, że coś złego zrobił, ale że zakopał talenta — nie uczynił nic dobrego. To przejmujące świadectwo potężnego świadka, Chrystusa, czytane jest rok rocznie z ambony — lecz napróżno. Wielcy, możni i potężni są i chcą pozostać głuchymi na te słowa. Nieraz nawet kapłan obawiając się, że poprawy osiągnąć nie zdoła, z kazalnicy oględne słowa na ten temat wypowiada, i nadal wszystko zostaje po staremu, chociaż w Ewangelii wyraźnie stoi, czego żąda Zbawiciel.

Innym razem słyszymy od Zbawiciela podobne słowa: „Zaprawdę powiadam wam, prędzej wielbłąd przejdzie przez ucho igielne, aniżeli bogacz wnijdzie do Królestwa Niebieskiego.“

Nie będziemy dłużej rozbiierać powyższego zdania Zbawiciela. Ale niechaj się nad niem dobrze zastanowią ludzie, uposażeni ziemskimi dobrami. Niech się nie przywiązują do dóbr ziemskich, ale podług woli Bożej niemi zawiadują. Wszystkie dobra należą do Boga, a my jesteśmy tylko zawiadowcami i będziemy musieli kiedyś z wszystkiego rachunek zdawać. O! gdyby wszyscy chcieli się nad tem zastanowić, inaczej wtedy działałoby się na świecie, o ile więcej staranoby się udzielać bliźnim duchowej i materialnej pomocy!

Nie jeden tłumaczy sobie, że się nie przywiązuje do pieniędzy, ale używając świata rozrzuca je pełnemi garściami.

Być może, pożalowania godny bogacz, że ci więcej chodzi o używanie świata, jak o złoto, ale to jest jedno i to samo; tracisz twój dobytek, ale go nie używasz podług planu, naznaczonego Opatrznością Bożą.

To samo odnosi się do tych, którzy majątek im przez Boga powierzony obracają na korzyść specjalnie umiłowanych krewnych lub przyjaciół, mogących przejść świat bez niczyjej pomocy. Nie pomną, że obowiązkiem ich jest, mieniem, które im Bóg powierzył, wspierać nędze Jezusową, to znaczy nędzę całego świata.

I ten, który po za granice wszelkiej sprawiedliwości troska się tylko o swoje dzieci, do zbytku je przyzwyczajają, odbiera Bogu co jest Bożego; i jego dosięgnie wyrok zasłużony.

A wielka będzie radość twoja, gdy później pomiędzy wyjeżdżającymi na misye głosicielami wiary, znajdować się będą twoi przybrani synowie, których jesteś ojcem duchownym; ich miejsca w domu misyjnym zajmą nowi wychowañcy, i liczba twych synów wzrastać będzie bezustannie. Co za spotkanie twoje z nimi w niebie. Z jaką radością będziesz stamtąd patrzył na zbawienną działalność twoich misjonarzy, po wszystkich częściach świata.

Zresztą, drogi przyjacielu, nikt cię do niczego nie zmusza. Pan Bóg jest Ojcem wszystkich dobrych uczynków, i rozrządzając wszystko najlepiej udziela zamiłowanie jednemu do tego, drugiemu do czego innego. Poznać możesz z obecnej książki, co nam najwięcej leży na sercu. Jeżeli cię więcej zajmuje inny cel, aniżeli niesienie bliźnim twoim duchowej i materialnej ulgi, to używaj ku temu talentu, otrzymanego od Boga, bylebyś się tylko nie oddał całkowicie używaniu rozkoszy świata.

Wniosłe jest na przykład i korzyść przynoszące dzieło, dopomagać wykształceniu gorliwych kapłanów, mających w kraju pracować, dalej przyczyniać się do stawiania kościołów, domów sierót, zakładów dla dzieci przygotowujących się do pierwszej komunii św., szkół i klasztorów katolickich. W tem wszystkim postępuj z mądrością podług św. woli Bożej, i rozważaj, gdzie jest największa potrzeba duchowa, a Bóg, który płaci za wszystko dobre, wynagrodzi cię kiedyś sowicie.

15. Kilka propozycji.

Nie jeden może powie: „Uznaję ten wzniosły cel i chętnie bym dopomagał, gdybym był bogaty, ale posiadam zaledwie tyle, ile potrzebuję do życia, moje dochody ledwie mi starczą na konieczne wydatki.“

Mój drogi, nadejdzie dzień, kiedy już nie potrzebować nie będziesz, a nędza świata i pragnienie Zbawiciela nie skończą się tak prędko. Chociaż twe szczątki w grobie spoczywać będą, żyć będziesz duchowo, jeśli kapitał, z którego procentów za życia korzystałeś, przeznaczysz na utrzymanie jednego wychowanka w domu misyjnym. W chwili, gdy zamkniesz oczy na wieki, wejdzie w życie twoje dzieło, a ty żyć będziesz dalej w twych synach duchownych, w ich działaniu, w duszach przez nich wyratowanych, i w tem wszystkim, co z tego nasienia wyrastać ciągle będzie na chwałę Bożą.

Wykonanie tego pomysłu uszczęśliwi prawdziwie katolickie serca. Z jakim spokojem będziesz wtedy umierał, z jakimi bogatymi darami staniesz przed sądem Bożym! Wielkie są nieprawości nasze. Jesteśmy dłużnikami Boga, bo wszystko co posiadamy, Jemu zawdzięczamy, bo nadużywamy otrzymanych od Niego darów, zdolności i talentów.

Wina nasza wzrosła tak wielce, że staliśmy się podobni do owego sługi ewangelicznego, który więcej jak dziesięć tysięcy talentów był Bogu dłużnym. Jesteśmy wszyscy grzesznikami, a ten kto twierdzi, że jest bez grzechu, nieprawdę mówi. Wszyscy



Pierwsi misjonarze wysłani do północnej Ameryki.

O. Jan Peil, przełożony.	O. Józef Fischer.
Br. Michał.	Br. Wendelinus.
	Br. Homobonus.



Pierwsi misjonarze wysłani do Brazylii.

O. Franciszek Tollinger.

O. Franciszek Doll, Superior.

prócz Matki Bożej musimy się w piersi uderzyć i powiedzieć:

„Boże bądź miłościw mnie grzesznemu!”

Z jaką przykrością wielu spogląda w swą przeszłość! Niejeden już od lat dziecięcych może mówić z św. Augustynem: Tantillus pner et tantus peccator! Małe chłopie a już wielki grzesznik! Smutny obraz przedstawia dla wielu wspomnienie zaślepienia lat młodych! A wiek późniejszy ile nam sprawia wyrzutów? W niejednej chwili naszego życia przesuwają się przed oczyma wszystkie nasze występki i przewinienia. Zmarnowane przez nas lata oskarżają nas przed Obliczem Pańskim głosem przeraźliwym, przenikającym do głębi; cóż poczniemy, gdy Bóg nasze dusze podług tego sądzić zechce.

Pociesz się jednak! Jest sposób na zmazanie twych win: Ratuj dusze innych, a tym sposobem spłacisz swój dług. „Kto odwróci ze złej drogi grzesznika,” mówi Pismo św., „ten zbawi duszę swoją od śmierci i zakryje mnóstwo grzechów swoich.” Słowa powyższe zrozumieli Święci Pańscy, zrozumie je każdy człowiek myślący z drzeniem serca o występkach swoich, których sam zmazać nie zdoła. Dawid, ten król upadły, mający sumienie po trzykroć grzechem obciążone, wołał do Pana, pełen bojaźni: „Zmiłuj się Panie nademną podług wielkiego miłosierdzia Twego, i zgladź nieprawości moje.”

Cóż obiecał Panu po otrzymaniu przebaczenia?

„Nauczę nieprawie dróg Twoich, a niebożni nawrócą się do ciebie.”

Taka jest obietnica jego, tem chciał zadosyć uczynić Bogu za swe przewinienia.

Ta gorliwość nawracania dusz i dla nas niech będzie środkiem do spłacenia przewinień naszych; Bóg chętnie przyjmie taką zapłatę. Z nawróconego Dawida uczynił człowieka według Serca swego; nawróconego Pawła zrobił narzędziem łaski swojej.

Idźcie na cały świat.

I my po naszym nawróceniu możemy liczyć na łaskę i miłość Bożą, jeżeli gorliwie współpracujemy nad nawróceniem nieszczęśliwych dusz, w grzechu pozostających.

A do tej współpracy nad zbawieniem dusz czyż możemy znaleźć lepszy sposób, jak wspieranie domu misyjnego, tego źródła, z którego płynie zbawienie dla wszystkich nieszczęśliwych pogan? Czyż jest lepszy środek, jak utworzenie stypendyów dla biednych wychowalców.

Zaprawdę, podobne uczynki nie tylko spłacą twą winę, ale uszczęśliwią twoje serce i przepełnią je najczystszą radością, czułbyś się wtenczas wolnym od winy, która chociaż odpuszczoną już była, przynosiła twoim sercom swym ciężarem, i miałbyś błogie przekonanie, że swym uczynkiem Boga zadowoloniłeś i stałeś się narzędziem w ratowaniu dusz.

Pewna stara kobiecina i jej niemłoda córka, poruszone łaską Bożą, postanowiły oddać swe pieniądze na utworzenie podobnego funduszu. Od tej chwili uczuły radość i zadowolenie o jakiej dotąd nie miały pojęcia. Owa kobiecina określiła je słowy:

„Ogarnęło mną niebiańskie wesele.“

Niejedno serce katolickie gdyby chciało, mogłoby doznać podobnego niebiańskiego wesela.

„Powinszować ci można,“ powiedział ktoś do córki owej staruszki, „jesteś matką i dziewicą razem.“

Co zdziałać może choćby jeden misjonarz! Gdy pierwszy przybrany syn tych dwóch kobiet wykształconym i na misye wysłanym zostanie, zaraz jego miejsce zajmie inny chłopiec. I tak dalej trwać będzie, choć owa wiejska kobieta i jej córka poszły po zapłatę, i osiągnęły w niebie szczęśliwość wieczną, prędzej od możnych i wielkich, którzy mieli serca tylko dla swej rodziny, lub co najmniej dla swych

ziomków; biedni obcy ludzie nie wiele ich zajmowali, a już najmniej daleko mieszkający dzicy i poganie.

Zacne i dzielne niewiasty stałyście się podobne miłosiernemu Samarytaninowi. Ów człowiek chory pakoleczony przez rozbójników, to biedna ludzkość, a wy wlewacie olej i balsam w jego rany! —

„Cokolwiek nadto wydasz, ja oddam tobie.“

To samo i wy powiedziałyście. Pragniecie w waszych synach przybranych nieść pomoc chorej ludzkości.

Takimi duchownymi matkami mogłyby zostać niejedne samotne niewiasty.

Starzy mężczyźni nie mający rodziny, łatwo zdobyliby w ten sposób duchowych następców, rozrastających się za łaską Bożą jak syny Abrahamowe.

A majętni rodzice osiągnęliby dla własnych swych dzieci błogosławieństwo Boże, gdyby dziecku duchownemu dali życie wieczne.

W dzień sądu ostatecznego otoczą cię oni kołem, a ty pełen radości i wesela, cieszyć się będziesz, żeś się stał narzędziem tak obfitej łaski; św. Bonawentura mówi: „Kto Boga miłuje, pragnie, by Go wszyscy poznali i miłowali.“

Przypatrz się, jak Zbawiciel miłował dusze. Ta miłość była jedynym celem Jego pobytu na ziemi. Dla ratowania dusz zstąpił z nieba, dla nich przybrał ciało ludzkie, dla nich poświęcił swą pracę, swe cierpienia, swe życie, swe serce, swą krew. Pragnie, żąda, o nic innego Mu nie chodzi, jak o ratowanie i szczęśliwość dusz. Abyśmy mogli lepiej pojąć Jego miłość, daje nam w Ewangelii cudownie piękne przykłady. Porównuje się do kokoszy gromadzącej pod skrzydła swe pisklęta, nazywa się dobrym pasterzem, który opuszcza dziewiędziesiąt dziewięć owieczek, udaje się na pustynię w poszukiwaniu jednej, zbłąkanej i przynosi ją na ramionach do swego stada; opowiada daleki przykład syna marnotrawnego,

by nam pokazać, że z równą radością, jak ów stary ojciec, spieszy na spotkanie każdej zbłąkanej duszy, pragnie ją ratować, przebaczyć, i do serca przytulić. Objawiając się św. Brygidzie powiedział: „Tak bardzo dusze ukochałem, że dla każdej, aby ją do Królestwa Niebieskiego zaprowadzić, gotów jestem, ponieść wszystkie cierpienia śmierci krzyżowej.“

Myśl o tej wielkiej miłości Jezusowej powinna wszystkich przejąć i ogarnąć pragnieniem ratowania dusz. Największą godnością i najwyższem uświęceniem jest dla stworzenia, gdy bierze udział w zbawieniu dusz i staje się współpracownikiem Jezusa Chrystusa. Opromieniona taką godnością, przypełniona takim pragnieniem, Matka Boża zanosí za nas prośby przed tron Najwyższego.

Wszyscy Aniołowie i Święci Pańscy, czyż nie są zawsze gotowi na nasz ratunek?

Czyż nie są wysłańcami Bożymi, mającymi czuwać nad duszami naszymi? Czy Apostołowie mieli inne pragnienie, jak żeby osiąść świat cały dla Jezusa Chrystusa? Czyż serca tylu męczenników, biskupów, kapłanów ogarnięte były innym płomieniem, jak ratowania i zbawienia dusz

Św. Franciszek Ksawery, przejęty tem uczuciem, ściskając swych synów duchowych, woła: „Synu mój, synu ratuj dusze.“

Czyż nie ogarnie nas smutek, gdy widzimy, jak mała jest liczba ludzi, poświęcających się z prawdziwą gorliwością zadaniu apostołskiemu, ratowania dusz. Słuchajmy, jak skarży się Boski Zbawiciel: „żniwo jest wielkie, ale mało robotnika.“

Nie zapłoniesz wtenczas w naszych sercach postanowienie, by oczyścić najprzód swą duszę, a potem o ile nam pozwala nasz stan i powołanie, (spełnianie obowiązków naszego stanu jest pierwszą powinnością) starać się o nawracanie innych dusz.

Św. Gregorz powiada: „Jeżeli oczy wasze zwracacie ku Bogu i pragniecie dostać się do Niego, patrzcież, aby nie przyjsć doń samymi.“

Drodzy moi, prowadźmy do nieba tyle dusz o ile tylko zdołamy. Jakąż chwałą otoczeni będą w niebie ci wszyscy, którzy na ziemi brali udział w zbawiennem posłannictwie Świętych, Aniołów, Królowej Nieba, a nawet naszego Zbawiciela Jezusa Chrystusa.

16. Obawa względów ludzkich i ubieganie się za pochwałami.

Obawa względów ludzkich i gonienie za pochwałami staje się przyczyną wielu grzechów; z tego też powodu wiele dobrych postanowień nie zostaje spełnionych, a wiele łask Bożych bywa zmarnowanych. Piłat, który skazał Jezusa na śmierć, aby się nie narazić cesarowi, niestety zbyt wielu ma naśladowców. Ale znaczniejszą jeszcze jest liczba ludzi, którzy się szczycą godnością Chrześcijan, a jednak w sposób twardy i nieuczulony odtrącają, dłoń Chrystusową, wyciągniętą do nich z prośbą o jałmużnę; wielu takich, którzy dają Panu niechętnie i skąpo, a dobrami swemi darzą krewnych i przyjaciół, albo je trwonią li tylko dla tego, by zyskać uznanie i poklask świata. Pan Jezus boleje widząc się odepchniętym przez dzieci swoje, najhojniej obdarzone, które pomimo tego, przymują Go do serc swoich, i pobożne odmawiają modlitwy. Zbawiciel spogląda ze smutkiem, jak giną na wieki dusze biednych pogan a te dobra ziemskie, które miały się przyczynić do ich nawrócenia, służą na pomnożenie majątku szczęśliwych spadkobierców.

Pewni starzy ludzie nie mieli dzieci, ale za to liczny zastęp siostrzeńców i siostrzenic, dobrze się mających; namawiano ich zatem, aby nie rozdrabniali majątku, bo i tak każdemu z obdarowanych niewiele przypadnie w udziale, ale aby swe mienie oddali Panu, w tym celu by szerzyć Królestwo Jego na ziemi. — Staruszkowie odrzekli, że nie mogą

tego uczynić, że obraziliby całą rodzinę; nikt nie przyjeżdżałby już do nich, nikt ich nie kochał, a po śmierci nie pomodlił się za ich duszę.

To też w testamencie, zrobionym wspólnie, dla Pana Boga przeznaczili ledwie drobną część z majątku, rozdzielonego pomiędzy krewnych. Pierwszy umarł mąż; po jego zgonie krewni otrzymali odpis testamentu. Ale co się stało? Oto ku wielkiemu zdumieniu wdowy, zapanowało ogólne niezadowolenie; wszędzie spotykała zasępione twarze, każdemu zdawało się, że za mało otrzymał. Prócz tego z winy tychże krewnych doznała szkody majątkowej i uszczuplenia dochodów — z dniem każdym poznawała coraz lepiej, jak się przerachowała. Z miłości dla krewnych nie wspomogła Zbawiciela świata, a oto teraz opuszczoną jest przez tychże samych krewnych, którym była miłą, dótki jej potrzebowali i spodzielali się od niej jakiej korzyści.

Gorzko opłakiwała swoją głupotę, a żal ten przyczynił się nawet do skrócenia jej życia. Zresztą ci, którzy mieli najwięcej odziedziczyć, pilnie wyglądali chwili, gdy to się stanie, i można przypuszczać, że nie pamiętali zbyt gorliwie o duszy zmarłej ciotki; a ci, którzy ją naprawdę kochali, modlili się za nią, nawet nie nie odziedziczywszy.

Dając swój majątek na cele misyjne, jakże możesz mówić, że nikt modlić się za ciebie nie będzie. Przeciwnie wiele dusz pobożnych daleko skuteczniej wstawiać się będzie za Twą duszę; a gdyby nawet tego nie było, Pan Bóg pozwoli ci, tem obficie uczestniczyć w modłach Kościoła św. Ale droga duszo, nie myśl tak wyłącznie o sobie, o możliwym skróceniu sobie mąk czyśćcowych, ale raczej zastanów się, jak wielkiem jest twe szczęście, że Bogu samemu możesz oddać przysługę, i przyczynić się do zbawienia dusz nieśmiertelnych. Działaj z czystej miłości, jak ci to już poprzednio zalecaliśmy,

ale obok tego cieszyć się możesz nadzieją otrzymania w niebie wiecznej nagrody, która będzie tem wspanialszą, im więcej ty w obec Boga okażesz się wielkoduszną, im więcej działać będziesz bez względu na nagrodę, bez troski o skrócenie twej kary doczesnej. —

Wyżej przytoczony przykład jest jednym z pomiędzy bardzo wielu, podanym na dowód, że pragnienie pozyskania sobie przyjaźni ludzkiej z ujmą dla Pana Boga, nigdy ludziom na dobre nie wychodzi. Z drugiej strony wiadomą jest rzeczą, że to wcale nie tak trudno, zaskarbić sobie przychyłność, właśnie przez prawe i dobre czyny. Ktokolwiek za cel życia postawił sobie zjednanie względów ludzkich, ten zniewolony będzie na prawo i na lewo dawać jałmużny, choćby je nawet nie uznawał za potrzebne, znajomych i krewnych obsypywać podarkami, świadczyć im różne przysługi, prowadzić dom otwarty.

Być bardzo może, że tak postępując, pozyskasz sobie sławę wielkiej dobroci i miłosierdzia, nam jednak większym i szlachetniejszym wydawać się będziesz, gdy nie goniąc za czczą chwałą, nie pytasz: „Co ludzie o mnie powiedzą,“ ale raczej: „Czego Bóg żąda ode mnie, co Jemu najwięcej się podoba?“ A jeśli szczerem sercem stawiasz takie pytanie, odpowiedzianem ci będzie: „Szukajcie naprzód Królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego, a wszystko inne będzie wam przydane!“ Powinniście zatem, starać się naprzód o dobro duszy waszej, a Pan Bóg dozwoli wam znaleźć, co i dla ciała potrzebne. Co dla was jest najpierwsze i najważniejsze, to będzie niem również i dla bliźnich waszych — dla tego starajcie się nasamprzód o zbawienie ich dusz nieśmiertelnych. Zdarza się tymczasem, że ludzie majątni wspierają uczniów, którzy chcą dojść do sławy i majątku, bez względu, że na wysokiem stanowisku narażają może na niebezpieczeństwo duszę swoją.

A czemże jest chwała ziemską w obce wiecznej! O ile wyżej stoją dzieła, których celem szerzenie chwały Bożej!

Przyznajemy jednak, kochany przyjacielu, że trzymając się ściśle tego „co jest doskonalsze i Bogu przyjemniejsze“ w oczach ogółu mniej będziesz ceniiony i szanowany. Będziesz się starał, przywieść bogaczy do współczucia z potrzebującym Zbawicielem, a to ściąganie może na ciebie niemiłe uwagi, może nawet przykrości, ale czyż ich nie można znosić z radością dla Zbawiciela. Wszakże On zowie błogosławionymi tych, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości i dodaje: „Albowiem ich jest Królestwo niebieskie.“ Wszakże i ty pracujesz dla Królestwa niebieskiego, tam dusze prowadzisz, i innej też dla siebie nie żadasz nagrody. Podobny w tem jesteś do samego Zbawiciela, który dla tego tylko przyszedł na ziemię, cierpiął, był prześladowany, i mówił: „Moje Królestwo nie jest z tego świata.“ Żydzi byliby chętnie uznali Jezusa, gdyby im był przyniósł ziemskie dobra, okazał się otoczony ziemską chwałą. On jednak wzgardził próżnością tego świata, a dary Jego były czysto duchowe. Uzdrawiał wprawdzie chorych i zmniejszał nędzę ludzką, ale dobro duszy miał przedewszystkiem na względzie. Naśladujmyż ten nasz wzór Boski. Czynmy dobrze ludziom, litujmy się nad wszelką niedolą, ale pamiętajmy, że najwięcej naglącą jest nędza duchowa.

Dążąc wytrwale do zaspokojenia nędzy duchowej, nie podobna nam zadośćuczynić wszelkim prośbom, z jakimi do nas się odnoszą, i przyjdzie nam utracić niejedną ludzką sympatyę. Pocieszmy się jednak, pozyskamy miłość dusz, po Bożemu myślących, a gdybyśmy nawet przez nikogo nie zostali uznani i kochani, to czyny nasze widzi Bóg, w niebie miłując nas dusze czyste, a kiedyś miłować będą w szcze-

gólny sposób ci zwłaszcza, do których zbawienia się przyczyniliśmy. Czyż nie warto dla ratowania dusz wyrzec się na krótko uznania i miłości.

Znamy jednak niektóre zacne dusze, które chętnie wyrzekłyby się wszelkiej ludzkiej chwały, ale lękają się trudności ze strony krewnych, którym pożyczyły swe kapitały, a teraz procenta otrzymują częściowo, jakby z łaski. Ale gdyby taka stara ciotka, lub wuj byli zawarli związki małżeńskie, to wtenczas ustałyby wszelkie skrupuły i obawy, i wiedzieliby już, jak swą własność wydobyć. Czemuż tedy z miłości ku Bogu nie mogą się zdobyć na odwagę?

O gdyby tak dusze pobożne chciały mieć trochę więcej odwagi w sprawach, tyczących się Królestwa Bożego, tego Królestwa, które noszą w swem sercu, któremu mają dusze zjednywać — a przecież Królestwo Boże gwałt cierpi, a gwałtownicy porywają je.

W Piśmie św. znajdujemy rozliczne dowody, na to, że świętym naszym obowiązkiem jest ratować dusze bliźnich naszych: Niejednokrotnie powtarza Pan, że od nas żądać będzie rachunku za zgubioną na wieki duszę brata naszego; każe nam wspomagać bliźnich, odpowiednio do mienia naszego.

W nagrodę jednak za naszą pracę i gorliwość obiecuje, że jaśnieć będziemy, jako gwiazdy na firmamencie, i to przez wieczność całą. —

17. Kto wytrwa do końca, zostanie uwieńczonym.

Niektórzy ludzie pod wpływem wzruszenia i łaski Bożej postanawiają iść za głosem Pańskim, uczynić coś wielkiego dla Jezusa, dla dobra dusz, Krwią Jego odkupionych. Ale niestety brak im stałości i wytrwałości; podobni są do trzciny, wiatrem poruszanej. Piękne postanowienia niweczy lada nieprzychylnie słowo, a z krytyką spotkamy się tak często, nawet w ustach ludzi, od których najmniej tego spodziewać się można — i dobre dzieło spełnionem nie zostanie. Smutne zwyczajstwo i ciężka odpowiedzialność tych, którzy zwalczają natchnienia łaski Bożej.

Jeszcze przed założeniem domu misyjnego św. Krzyża pewna pobożna pani, poruszona łaską Bożą, żywo się zainteresowała projektowaną fundacją; oświadczyła gotowość ofiarowania na ten cel kilku placów budowlanych, a później całej swej gotówki.

Wkrótce wspominała już tylko o dwóch placach, a o gotówce wcale już mowy nie było. — Potem znowu przyrzekła uroczystie, że skoro plan wejdzie w życie, wypłaci Zgromadzeniu 3000 Marek.

Gdy jednak budowa odwłóczyła się, oświadczyła, jak gdyby przed tem nic nie była obiecywała, że da na dom św. Gabryela 500 talarów.

Po upływie pewnego czasu owa pani zapadła niebezpiecznie. Ale nawet bliskość śmierci nie zdołała ożywić dawnego, dobrego postanowienia. Przyznała wprawdzie naiwnie, że chciała zawsze dać coś

w gotówce misyom zagranicznym — ale zamiast tego podaruje im starą maszynę do szycia!

Łna wiekowa pani, z bogatej pochodząca rodziny i sama bogata, chciała również złożyć większą ofiarę na dom misyjny — Tymczasem uległa innym wpływom — a o misyach zapomniała.

Przed śmiercią nie uregulowała swoich spraw majątkowych, ustnie tylko zleciła krewnym, aby część majątku oddali kilku szpitalom; ale jak się to często dzieje, ostatnie jej życzenie nie zostało spełnionem, a spadkobiercy podzielili się całym mieniem.

Niektórzy postanawiają zużyć na dobre cele majątek swój lub część tegoż, ale dopiero przed samą śmiercią. Niepojęta to lekkomyślność; nikt z nas bowiem nie zna ani godziny, ani miejsca zgonu!

Podobne postanowienia zazwyczaj nie zostają spełniane. Tysiącne mamy na to przykłady, z których choć jeden tu przytaczamy: Pewna bogata stara panna snuła ciągle piękne plany i postanowienia, nie mogła się jednak zdobyć na wykonanie takowych. Aż tu śmierć nagle ją zaskoczyła, i cały majątek odziedziczył daleki i nieznany krewny. Powyższy przykład oby wszystkich nauczył tej wielkiej prawdy: „Co masz uczynić, czynź zaraz.“

18. Co czynią bogaci dla ratowania dusz bliźnich swoich.

Gdyby kto czytając powyższe słowa, został niemi poruszony i poczuł w sercu pragnienie pospieszenia z pomocą misyom zagranicznym, niechaj pewien będzie, że takie wewnętrzne poruszenie jest szczególną łaską Bożą — albowiem bez pomocy Bożej i światła Ducha św., nasza praca martwą pozostanie literą. Wspomnij, drogi czytelniku, że każdy z nas zda kiedyś ścisły rachunek ze wszystkich łask Bożych i dobrych natchnień, któremi wzgardziliśmy i nie poszliśmy za ich głosem. Sędzia sprawiedliwy zapyta, gdzie są zasługi i dobre uczynki, jakie za pomocą tych łask pełnić mogliśmy — a nie wiemy, ile nam jeszcze czasu pozostaje na ziemi, i jak dalece naszą niewiernością zasłużyliśmy na to, że nam Bóg w przyszłości łask swoich poskąpi.

Pewnego bogatego pana zapytał listownie jeden z przyjaciół domu misyjnego, czyby nie zechciał cokolwiek dla domu tego uczynić, ale na list nie odebrał nawet odpowiedzi. Tymczasem w przeciągu trzech tygodni bogacz ów umarł, rażony paraliżem. Ile dobrego byłby mógł uczynić — gdyby tylko był zechciał! Jaką koronę chwały byłby sobie na wieczność zapewnił!

Przed kilku miesiącami pewne pobożne dziewczę wstawiało się za misyonarzami do innego bogatego pana, który nie wiedział zupełnie, co czynić z pieniędzmi, i znaczną sumę podarował obcemu człowiekowi w zamian za dożywotnią rentę —; prosiła,

aby z domem misyjnym podobnie się ułożył. Biedne dziewczę doznało szorstkiej odmowy — a jednak był to ostatni głos łaski Bożej do duszy owego bogacza, odnośnie do dóbr jego ziemskich. Za dwa dni już nie żył, nagle paraliżem rażony.

Pewien stary i bardzo bogaty człowiek skarżył się przyjaciółce żony, że nie ma dzieci, i że bardzo mu przykro, obcym pozostawiać majątek. „Już więcej wydawać na siebie nie mogę — a co się stanie z tem wszystkim, co gromadziłem” — mówił z głębokim westchnieniem.

O biedny bogaczu!

Wówczas pani ta radziła, aby uczynił cośkolwiek dla misji zagranicznych. Ale dopiero ładnie ją przyjął.

A jednak ten bogacz jest — dobrym katolikiem i chodzi codziennie do kościoła.

Gdyby ci wszyscy ludzie byli posłuchali głosu Bożego, posłuchali ochoczo i prędko — byłiby mogli łatwo i bez żadnej dla siebie ujemy, stać się dla wielu przyczyną niezliczonych łask, a sobie zapewniłiby w niebie wieczyste szczęście i nagrodę bezmierną.

Ci wszyscy skąpi bogacze samym sobie szkodzą najwięcej, pozbawiają się szczęścia, którem wprawdzie dopiero w niebie w całej pełni cieszyć się będziemy, ale którego odbłask już tu na ziemi rozwesela serce nasze.

Pewnego dnia przyszedł do mnie antykwaryusz, aby obejrzeć kilka starożytnych przedmiotów, złożonych u mnie na rzecz domu misyjnego. Nic jednak z tych rzeczy kupić nie chciał, rzekł mi tylko:

„Gdybyś tak pan miał srebrną miednicę i dzbanek z r. 1400, które oglądałem niedawno u hrabiego O., ofiarowałem za te dwa przedmioty dziesięć tysięcy marek. Przechowane są w starem drewnianem pudrze w komorze pomiędzy starymi gratami, i właściciel wcale o nie nie dba, sądziłem zatem, że mi

je sprzeda za tak znaczną sumę. Odrzekł jednak: Tak tak, ofiarujesz mi pan dużo pieniędzy, ale co mi po nich, co mam z niemi zrobić?”

„Co mam zrobić z tylu pieniędzmi?” Pyta bogaty i oświecony katolik. A tu tyle tysięcy dusz tęschni i cierpi w ciemnościach pogaństwa, a ich Aniołowie Stróże napróżno wyciągają ku tobie błagalne dłonie, o ty biedny, bogaty hrabio!

Chociaż jesteś we czci u ludzi, ja stokroć więcej stawiam biedną fabryczną robotnicę, które całe swe oszczędności z najwyższem szczęściem oddała misyonarzom w tym jedynie celu, aby więcej ludzi mogło uwierzyć w Jednorodzonego Syna Bożego i przez Niego osiągnęło zbawienie wieczne.

Jakże surowy wyrok zapadnie kiedyś na sędzie ostatecznym na niektórych bogaczy; co odpowiedzą, gdy zapyta Sędzia przedwieczny: jak użyliście bogactw waszych?

Może tłumaczyć się będą: „Wznosiłem piękne zamki, wydawałem wspaniałe uczyty, odbywałem dalekie podróże, wyposażyłem hojnie moje dzieci, albo moich siostrzeńców, dobrze jadłem i piłem itd. itd.

Podobne wymówki czyż się ostoją przed tronem Boga — i czy nie takich bogaczy miał Zbawiciel na myśli, gdy mówił, że wielbłąd łatwiej przejdzie przez ucho igły, niż bogacz wejdzie do Królestwa niebieskiego; albo tego sługę z przypowieści, który zakopał powierzone mu talenta, a za to wrzucony został na dno ciemności piekielnych.

Bogacze, którzy zatwardzają serca swoje i pragną w niezamąconym pokoju używać bogactw, nie tylko, że są obojętnymi na wielkie dzieła Boże, ale wprost wrogo względem nich usposobieni. Takie dzieła są dla nich niemy wyrzutem, i czują się upokorzonymi przez ludzi, którymi jako o wiele niżej od siebie postawionymi przywykli pogardzać. Szukają więc tylko okazji, jakby szkodzić dziełom Bożym.

Mały na to dajemy przykład:

O kilka set kroków po za miastem Nissą wzniosł dom misyjny na własnym gruncie wielką cegielnią do wypalania ciegły, przez co budowle wypadają o wiele taniej.

Ogień w takiej cegielni palić się musi z rzędu, jakie dwa tygodnie. W tym czasie zdarzało się niekiedy, że wiatr zapędzał w stronę miasta chmury dymu, tak że w najbliższej położonych domach uczuć się dawał czasami nieprzyjemny zapach.

I cóż z tąd powstało? Oto ciągłe zażalenia mieszkańców i żądania, aby nie dozwolono misyonarzom wypalać cegieł.

Cegielnia ma być przestawioną, cały zapas wykopanej gliny i cegieł już zrobionych ma być zniszczony, a koszt budowy o wiele tysięcy marek podwyższony — a to dla tego, że ludzie nie mogą znieść nawet odrobiny nieprzyjemnego dymu, od czasu do czasu czuć się dającego.

Ale całe dnie i noce spędzać w zadymionych piwiarniach, ale całymi godzinami oddychać niezdrowym powietrzem sali balowej — to wszystko chętnie czynią — żyją przecież dla ziemi, a dla Królestwa niebieskiego nie raczą ani palcem poruszyć i nie zgoda znieść nie chcą.

19. Boże Narodzenie 1894 r.

W tych dniach radosnych przebywamy duchem u żłóbka Boskiego Dzieciątka, a rozważając Jego niezmierną ku nam miłość, czyż się nie zapalimy najżywszem pragnieniem miłowania Go nawzajem, zasłużenia na Jego miłość, rozradowania Najśłodszego Jego Serca.

Nie lękajmy się, powtarzam raz jeszcze, być zbyt wielkodusznymi względem Boga; On się bowiem w wielkoduszości nie da nikomu przewyższyć. Stanie się twoją nagrodą, zbyt wielką w miarę twojej miłości i poświęcenia.

Od owej pierwszej nocy Bożego narodzenia w stajence Betleemskiej upłynęło już lat 1894. Lat 1894, odkąd Bóg Jednorodzonego Syna swego zesłał na ziemię, aby ludzie uwierzyli w Niego i przez Niego zbawionymi zostali. A po upływie tak długiego przeciągu czasu, jakże się przedstawia powierzchnia ziemi? Oto na 1400 milionów ludzi jest zaledwie 200 milionów katolików. Same Indie liczą 295 milionów mieszkańców, a w tem tylko 1½ miliona katolików; dziennie umiera tam 26000 pogan.

To są fakta, zdolne zakrwawić serca wiernych wyznawców Zbawiciela, a wina i odpowiedzialność za tak smutny stan rzeczy ciąży na nas wszystkich. Gdybyśmy byli prawdziwie wielkoduszni względem Boga, dla nas tak nieskończenie dobrego, naprawdę przejęci miłością i współczuciem dla Boskiego Dzieciątka, wtedy nasze siły i zdolności, wpływ nasz i

majątek poświęcilibyśmy temu celowi, a wspólną wyteżoną pracą sprawilibyśmy niechybnie, żeby świat cały uwierzył w Jednorodzonego Syna Bożego i przez Niego zbawionym został.

20. Prawdziwy i bardzo budujący przykład.

W pewnem miasteczku dyecezyi środkowej Europy żyje, a przynajmniej żył jeszcze niedawno gorliwy proboszcz, który w swej parafii prawdziwie cudowne zdziałał rzeczy. Wybudował i przyozdobił kościół parafialny, wznosił szpital dla chorych, utrzymywał i rozszerzył inne dobroczynne zakłady, co naturalnie nie obyło się bez licznych ofiar i składek. Przytem od samego początku zachęcał gorliwie swoich parafian do ofiarności na misye zagraniczne i na wszelkie ogólne potrzeby Kościoła św.; nieraz prosił ich ze łzami, aby gorącym sercem współczuli z jego nędzą, i aby nigdy nie odprawiali z próżnemi rękoma, składających na potrzeby świata katolickiego. „A wtedy — mawiał — Pan Bóg i o nas będzie pamiętał i da nam, co potrzebujemy.“ Tym sposobom tak dalece obudził i ożywił ofiarność parafian, że gdy dla własnej świątyni cośkolwiek uznał za potrzebne, dość mu było powiedzieć, a zaraz znajdowały się serca ofiarne, i dobrowolnie przynoszono mu pieniądze. Mówił też innemu kapłanowi: „Pan Bóg nie daje przewyższać się w wspaniałomyślności. Łaska Jego musi najprzód zmiękczyć serca ludzkie i skłonić je do ofiarności, a gdy zbyt trwożnie troszczymy się o samych siebie, wtedy sami przeszkadzamy łasce Boskiej, aby się obficie wylała na dzieła nasze.“

Gdybyśmy naśladowali przykład tego zacnego kapłana i prawdziwie katolickiem sercem obejmowali potrzeby całego Kościoła, wtedy obudziłaby się i utwierdziła w duszach naszych miłość Boża i duch ofiarności, a Królestwo Boże rozkwitnie i błogie wyda owoce zarówno w własnym kraju jak i w dalekich ziemiach.

21. Krótka na zarzuty odpowiedź.

Zarzucano nieraz autorowi niniejszej książki, że ma na celu wyłącznie dobro domu misyjnego św. Krzyża i misji w ogóle. Zarzut to niesłuszny: większą część życia poświęcił on pracy dla własnego kraju i nie zamykał serca swego na nędzę materyalną. Pamiętał jednak o potrzebach całego Kościoła, rozumiał je zawsze, i widział, że takowe z dniem każdym stają się nagłejsze, że czas najwyższy, aby wszyscy katolicy wyteżyli siły, aby cały okrąg ziemi poznał nareszcie Pana Jezusa. Zrozumiał, że czas najwyższy, wspierać misye zagraniczne i współpracować z nimi, jeśli nie chcemy dopuścić, aby budzące się krainy stały się łupem sekcjarstwa. Gdy kiedyś Chrystus zasiądzie na stolicy, jako Sędzia świata, czyż wtedy jeszcze ma zastać świat pogańskim, hereetyckim, niewierzącym i od nas zażądać rachunku, że nie uczyniliśmy dla jego nawrócenia, co do nas należało.

To wszystko rozważył sobie autor obecnej książki i postanowił, o ile zdoła, pracować dla dobra misji zagranicznych, tą jedną ożywioną myślą, aby świat uwierzył w Jednorodzonego Syna Bożego i przez Niego zbawionym został; to go też spowodowało do ułożenia obecnej książki.

Niechaj Duch św. dawca łask wszystkich, raczy pobłogosławić pracy mojej, uzupełnić, co jej nie-
lostaje i wspomagać łaską swoją, aby obfite przyniosła owoce.

22. O fundacyach, stypendyach mszalnych i o intencyach.

Wielu bogatych ludzi ustanawia przed śmiercią legaty na wieczyste odprawianie Mszy św. — i to jedno zwykli jeszcze czynić dla Kościoła. Nie jest to wprawdzie dowodem wielkiej miłości i ofiarności dla Boga, ale raczej egoizmu jeszcze po śmierci, aby się jaknajprędzej z czyśca wydostać — nie troszcząc się o wieczne potępienie tylu innych dusz nieśmiertelnych. Zastanówmy się tylko: gdyby nikt nic innego nie chciał czynić dla zgromadzeń misyjnych oprócz tworzenia fundacyi mszalnych, wtedy istnienie tychże domów byłoby niepodobnem. Z czegoż bowiem mieliby żyć liczni bracia i wychowañcy, z czego wznosić potrzebne budowle, kupować aparaty kościelne itd. itd. — gdyby jedynym dochodem były fundacye mszalne, których przyjmowanie należałoby jeszcze ograniczać do liczby kapłanów.

Z tego wypływa, że daleko więcej czynię dla dobra misji datkiem, odpowiadającym moim środkom, wspierając takowe podług sił moich, aniżeli zapisując domowi legata na odprawienie Mszy św. Ofiara Mszy św. jest ceny nieskończonej, ale jej owoce różnie bywają nam przyznawane, stosownie do zasługi i usposobienia duszy.

Czyniąc zapisy mszalne, stajemy przed tronem Pana jako żebracy, gdy tymczasem czyniąc wielkoduszne ofiary dla rozszerzenia Królestwa Bożego, nazwać się możemy Jego dobroczyńcami. Nie chcemy tylko fałszywie zrozumieć ostatniego wyrażenia.

Ściśle rzeczy biorąc nikt z nas nie może świadczyć Bogu dobrodziejstw. Ale powierzona nam przez Boga troska o zbawienie dusz, tak bardzo jest Panu drogą, że uważa on jako swych dobroczyńców tych wszystkich, którzy w tem właśnie zaspakajają gorące pragnienie Jego Serca. Gdy zatem poświęcamy się dla niesienia światła duszom nieśmiertelnym, na pewno liczyć możemy, że sam Pan Bóg troszczyć się będzie o nasze własne potrzeby. —

Szlachetni ludzie litują się nad żebrakiem, ale więcej jeszcze nad dobroczyńcą swoim, jeśli tenże popadnie w nieszczęście, a zwłaszcza, gdy sam cierpiąc, nie przestaje czynić drugim miłosierdzia. Jeżeli tak czują i postępują szlachetni ludzie, czegoż dopiero nie mamy spodziewać się od Boga?

Wielkoduszność i ufność względem Pana, są to dwie cnoty, rzadkie niestety, ale nader miłe Sercu Jezusowemu.

Zdarzało się, że osoby, które chciały uczynić dla domu misyjnego zapisy na stypendya mszalne, sądziły, że tym sposobem znaczne mu oddadzą przysługi, tak jednak nie jest: Jakkolwiek w domu misyjnym św. Krzyża przyjmują chętnie legaty mszalne*), to jednak nie należy sądzić, że czyni się przez to domowi wielkie dobrodziejstwo. Złożony kapitał pozostaje zawsze nienaruszonym, a odsetki od niego bywają tylko rocznie zużywane na trochę bogatsze stypendya mszalne. Wynika z tego dużo zachodu w zawiadowaniu kapitałami, z małą dla domu korzyścią. Jeśli zatem naprawdę chcesz cośkolwiek dla Boga uczynić, oddaj co możesz domowi misyjnemu, a przekonasz się czasem, że dar taki, z miłości ku Bogu spełniony, i dla ciebie samego będzie najkorzystniejszym.

*) Fundacya na jedną Mszę św. rocznie wynosi 150 Mł. Najniższe stypendye mszalne nadsyłać można w wysokości 1 M. 50 f.

To co powiedzieliśmy o fundacyach i stypendyach mszalnych można również zastosować do tak zwanych „Intencyi.“ Zdarza się, że nadsyłają pod adresm zgromadzenia 90 fenigów, za to ma być wymienionych dziewięciu członków odnośnej rodziny, a ile możliwości za każdego odmówione głośno przez wszystkich jedno Ojciec nasz. W dobrze uregulowanym zgromadzeniu zakonnem każda praca i modlitwa ma czas swój ściśle oznaczony. Podczas modlitwy wspominają też gorąco dobroczyńców swoich i ich rodziny — ale Pan Bóg zna ich dobrze, to też nie potrzeba całemi godzinami wymieniać nazwisk. Gdyby czynić to chciano w zamian za każde 10 fenigów, porządek zgromadzenia, cel jego nawet byłby chybiony. Cały dom musiałby przez dzień cały słuchać wymienianych nazwisk i odmawiać pacierze. Podobne żądanie znamienuje wielką ciasnotę serca i umysłu!

Daj co możesz, a zgromadzenie modlić się będzie za ciebie jako za swego dobroczyńcę, a Bóg wie najlepiej, co ci potrzeba i co dla twej duszy najzbawienniejsze. —

Uwaga.

Zgromadzenie Boskiego Słowa liczyło w maju 1901 r. 234 ojców, 572 braci, 212 zakonnic, 894 wychowanców, razem 1912 osób.

Stacye misyjne posiada: w Chinach (Azja), w Togo (Afryka), w Nowej Gwinei (Australia), w Argentynie, Brazylii i Chili (połud. Ameryka), i w Stanach Zjednoczonych (północna Ameryka).

Stacya misyjna w południowym Szantungu w Chinach liczy obecnie 16 250 chrześcijan i 37 787 katechumenów, przysposabiających się na przyjęcie chrztu św.

W Togo należy do stacyi misyjnej zgromadzenia Boskiego Słowa 1400 ochrzczonych krajowców.

W nowo założonej stacyi misyjnej w Nowej Gwinei i na przyległych wyspach zdołano już ochrzcić 200 pogan, bardzo to pocieszający rezultat; ta właśnie misya rokuje na przyszłość najpiękniejsze nadzieje.

W południowej Ameryce, prócz pracy misyjnej, kapłani Zgromadzenia podjęli się kierownictwa szkół i seminarij, i udzielania tamże nauk. Zakonnice uczą w szkołkach, utrzymują pensjonaty i domy sierot.

W Brazylii, a zwłaszcza w Argentynie głównem zadaniem misyonarzy jest rozbudzanie na nowo ducha religijnego i troska duszpasterska około wychodźców, przybyłych z Europy, którzy bez tej pieczy energicznej i pełnej miłości, staliby się niechybnie pastwą propagandy wolnomularskiej. —

W tak zwanych wewnętrznych misjach, to jest w domach europejskich, zakonnicy Boskiego Słowa pracują również gorliwie nad pozyskaniem Bogu dusz, a to przez wydawnictwa dobrych pism i książek. przez udzielanie rekolekcyi i misyi, przez słuchanie spowiedzi, oraz przez spieszenie z pomocą duszpasterską do sąsiednich parafii.

W roku 1900 w Steyl rekolekcyje czyli ćwiczenia duchowne odbyło 3291 osób; w pracy duszpasterskiej spieszyli z tamtąd Ojcowie z pomocą 876 razy do 133 parafii różnych dyecezyi. W tymże roku wysłuchano spowiedzi św. 76000 osób obcych, do domu nie należących.

Z domu św. Krzyża pomoc duszpasterską udzielono w tymże r. 1900: 412 razy, przy czem wysłuchano Spowiedzi św. 14 435 osób. Prócz tego w samym domu misyjnym spowiadało się obcych osób 19 223, razem wysłuchano 33 658 spowiedzi.

Z domu misyjnego św. Wendel w r. 1900 udzielono pomocy duszpasterskiej innym parafiom 280 razy i wysłuchano spowiedzi 20 000 osób, nie należących do domu.

Dom misyjny św. Gabryela przez całą zimę r. 1900 w każdą niedzielę i święto wysyłał z pomocą duszpasterską innym parafiom 10 do 15 księży, a latem 20 do 30^u. Nie posiadamy zestawienia ile osób obcych wysłuchano Spowiedzi św., mamy jednak niektóre dane o błogiej działalności zgromadzenia po za murami klasztoru. I tak n. p. O. Giese pracował stale w Kościele św. Józefa w Neu-Mödling; uczył religii w tamtejszej szkole ludowej, również w szkole rolniczej; był kierownikiem i opiekunem stowarzyszenia opieki nad młodzieżą, a nadto był spowiednikiem klasztoru Pań Serca Jezusowego, liczącego 80 zakonnic. — Inny Ojciec prócz rozlicznych zajęć w samym domu, spełnia trudne obowiązki kapelana szpitalu w Neu - Mödling.

— Ojciec Schmidt zajęty w domu nauczaniem nowicjuszy, co niedzielę odprawia nabożeństwo w kościele sióstr św. Krzyża, bardzo przez wiernych nawiedzanych w Mödling na przedmieściu Wiednia. Jest kierownikiem tamtejszego stowarzyszenia Dzieci Maryi, również jak i stowarzyszenia w Mödling; a w tamtejszej wyższej szkole żeńskiej udziela lekcji religii. O. Schmidt jest nadto członkiem cesarskiej akademii umiejętności w Wiedniu i pracuje z wielkim powodzeniem w zakresie języków wschodnich i języków Australii; o tych ostatnich wydał niedawno bardzo głębokie i ciekawe studium. Ojciec Kösters jest również bardzo czynnym po za murami klasztoru: i tak n. p. już w r. 1901 w wielkim kościele parafialnym w Meidling, w jednym z największych kościołów Wiednia, miewał codziennie na majowym nabożeństwie kazania, obejmujące cały zakres nauki wiary i obyczaj, i to zawsze w obec 3000 słuchaczy, a ostatniego wieczoru liczba ich dochodziła do 7000. Konfesyonały bywały tak obleżone, że kapłani nie mogli pracy podołać. Pod koniec majowego nabożeństwa 8000 mężczyzn ze wszystkich stanów odbyło wspólną uroczystą procesję jubileuszową. —

Podaliśmy tylko kilka szczegółów z błogiej działalności Ojców Zgromadzenia Boskiego Słowa w kraju i za granicą; ale i tych kilka faktów dowodzi, jak gorliwie i z jakim zapałem Zgromadzenie pracuje nad tem, by Serce Jezusowe żyło wszędzie w sercach ludzkich. Niechaj to sobie zapamiętają owi katolicy ciasnego umysłu i serca, którzy nie współczują z niedolą biednych pogan, z opuszczeniem duchowem swych współbraci, osiedlonych na drugiej półkuli — ale bezustannie powtarzają słowa, tak dziwnie brzmiące w ustach katolików i tak mało katolickie:

„We własnym kraju mamy dosyć do czynienia.“

Spis rozdziałów.

Przedmowa

Część pierwsza. Powstanie domu misyjnego św. Krzyża 1892 i 1893.

	Strona
1. Steyl i Neuland	6
2. Pod znakiem Krzyża	15
3. Poselstwo od pogan	21
4. Co Bóg ode mnie żąda, mieć musi	28
5. Myśli przy zwiedzaniu domu misyjnego św. Krzyża w Neuland. 1893	36
6. Myśli przy zwiedzaniu domu misyjnego św. Krzyża w Neuland. 1893. II	41
7. Służebnice Ducha św.	45
8. Ojciec św. i dom misyjny św. Krzyża	49
9. Radosny dzień w domu misyjnym św. Krzyża	51
10. Czemu nie wspomnieliśmy o świeckich uroczystościach przy poświęceniu nowego domu misyjnego	59
11. O jałmużnie i pracy dla Pana Jezusa	62
12. Cela zakonna pośród świata	74
13. Dom misyjny św. Krzyża w maju 1894 r.	78

Część druga. Prawda i Fantazya. Sen.

1. Do czytelników	84
2. Przybrane dziecko (Boże Narodzenie 1894 r.)	85
3. Przybrane dziecko (Boże Narodzenie 1894 r.)	93
4. W ogrodzie Oliwnym (W poście 1894 r.)	104
5. Pobożna pielgrzymka w r. 1917	112
6. W domu misyjnym św. Krzyża 1917.	121
7. Jakoby nie mający, a jednak wszystko posiadający	130

Część trzecia. Dom misyjny św. Krzyża. Zarzuty jego przeciwników. Działanie Zgromadzenia. Zasługi i nagroda dobroczyńców.

1. Leniwi zakonnicy	138
2. Leniwi zakonicy	142

3. „Dwieroby i pięcioro chleba, co to jest dla tak wielu“	147
4. W „bogatym“ domu misyjnym św. Krzyża	151
5. Ubodzy porywają Królestwo niebieskie, a bogaci odchodzą z próżnemi rękoma	155
6. In hoc signo vinces! (1894)	160
7. Tu są sami dobrzy katolicy	165
8. W własnym kraju mamy dosyć pracy	171
9. Co dotąd zdziałало zgromadzenie Boskiego Słowa.	178
10. W jaki sposób można dopomagać zgromadzeniu Boskiego Słowa	186
11. W jaki sposób można jeszcze dopomagać zgromadzeniu Boskiego Słowa i domowi misyjnemu św. Krzyża.	193
12. Co czyni zgromadzenie Boskiego Słowa dla swych dobroczyńców	199

**Część czwarta. Dom misyjny św. Krzyża.
Wiadomości z jesieni i zimy 1894.**

1. Najnowsze wiadomości	202
2. Zbawiciel i misjonarz	207
3. W domu misyjnym św. Krzyża. Listopad 1894	220
4. W domu misyjnym św. Krzyża. Listopad 1894	223
5. W domu misyjnym św. Krzyża. Listopad 1894	227
6. W domu misyjnym św. Krzyża. Listopad 1894	232
7. W domu misyjnym św. Krzyża. Listopad 1894	236
8. W domu misyjnym św. Krzyża. Listopad 1894	240
9. W domu misyjnym św. Krzyża. Listopad 1894	244
10. W domu misyjnym św. Krzyża. Listopad 1894	248
11. W domu misyjnym św. Krzyża. Listopad 1894	253
12. Słowo do ojców i matek	258
13. Ofiara tkliwej miłości macierzyńskiej	263
14. Kilka propozycji	267
15. Kilka propozycji	272
16. Obawa względów ludzkich i ubieganie się za pochwałami	278
17. Kto wytrwa do końca, zostanie uwiecznionym	283
18. Co czynią bogaci dla ratowania dusz bliźnich swoich	285
19. Boże Narodzenie 1894 r.	289
20. Prawdziwy i bardzo budujący przykład	291
21. Krótka na zarzuty odpowiedź	292
22. O stypendyach, fundacyach mszalnych i o intencyach	293
Uwaga	296

Tegoż samego autora wyszły nakładem drukarni misyjnej w Steyl i wkrótce ukażą się w polskim przekładzie następujące książki, o których znajdziemy w różnych pismach tyle wzmianek gorących i pochlebnych, że wszystkich przytaczać tu niepodobna; wybieramy choć kilka:

Nasza wiara jest wiarą rozumną. Słowo celem zwalczania niewiary, a obrony wiary św. Drugie wydanie 1 M. (fl. 0,60.)

Wychodzący w Lincu Theol. prakt. Quartal-schrift pisze o tej książce w czwartym zeszytzie 1897r.:

Autor porusza tu z kolei najważniejsze „praeambula fidei“ i powstające przeciw nim nowoczesne tańsze. Tę wielką prawdę, że wiara nie sprzeciwia się rozumowi, umiał on przedstawić w sposób przystępny, popularny, krótki i jasny, gorąco, przekonująco i z zapalem, niekiedy wprost z wyższem natehnieniem. Z drugiej strony nauki przeciwnie wierze zbija stanowczo i trafnie. Przytem umiał odpowiednio przytaczać odnośne zdania znakomitych pisarzy. Dodatek mieści dość obszerną i z życiem napisaną obronę Sakramentu Spowiedzi, pod tytułem: „Wzgardzona spowiedź, jej konieczność, błogosławieństwo i szczęście.

Prof. Dr. Szymon Widauer.

W piśmie „Die Stimmen aus Maria Laach“ zeszyt 6ty 1895 r. czytamy:

Niewielka ta książeczka, tania, chociaż starannie wydana, podaje w przystępnej formie obronę wiary św. . . . Napisana dobrym językiem, z zapalem i

powagą, pewni jesteśmy, że przejmie zarówno wierzących obojętnych dla wiary jak i niedowiarków.

„Münsterischer Anzeiger“, wychodzący w Monasterze Nr. 74 r. 1897 pisze o książce „Nasza wiara itd.:

Słusznie profesor Dr. Krieg w przedmowie do tego dziełka zowie je „Popularną apologią, mogącą dotrzeć z korzyścią do chaty robotnika i do skromnego mieszkania wieśniaków.“ Najpoważniejsze pisma katolickie z najżywszym uznaniem przyjęły pierwsze wydanie tej książki, nic też dziwnego, że 6000 egzemplarzy rozeszło się w bardzo krótkim czasie. Oby i drugie wydanie równie prędko wyczerpniętem zostało.

„Germania“ pisze w dodatku do Nr. 8 z r. 1895:

Znakomita książka, którą można śmiało polecić wszystkim bez wyjątku, zarówno wielkim i małymi. Autor, pełen skromności, przeznaczył ją przede wszystkim dla ludu; chciał go uchronić od niewiary i zwątpienia, a uszczęśliwić prawdziwą znajomością wiary św. Pragnął widzieć pracę swoją w rękach rzemieślników, przemysłowców i wieśniaków. I z pewnością, jeśli zdoła utorować sobie drogę do tych kół, znajdzie w nich chętnych czytelników. Jest to bowiem w najlepszym tego słowa znaczeniu popularna apologia, obrona wiary naszej w Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, i w Kościół Jego święty katolicki. Autor włada piórem tak biegle i pięknie, że i wykształceńsi chętnie czytać go będą i pozwolą, przypominieć sobie zgodne z rozumem prawdy wiary św.“

„W cieniu Kościoła,“ pobożne pogadanki, 5 tomów (każdy tom stanowi odrębną całość). Cena tomu w ozdobnej oprawie 1 Mk. Z aprobatą duchowną.

Tom I.

„Vaterland“ w Wiedniu wychodzący pisze:

Książeczka w formie przystępnej i pociągającej poucza nas o Kościele św., o tajemnicy Trójcy św., o Najśw. Sakramencie Ołtarza, o łasce. Zasluguje ona najzupełniej na uznanie i pochwałę ks. Dr. Jakóba Schmitt'a z Fryburga, który w następujących wyraża się o niej słowach: „Książka ta płynie prosto z serca, oddanego Kościołowi św., i przepełnionego szczęściem z należenia do tegoż Kościoła — to też czyta się ją nie ze znudzeniem i niechęcią, ale z największą przyjemnością rozpali też bez wątpienia w sercach czytelników, choć iskrę zapału, jakim płonie tak żywo serce autora.“ —

Tom II.

Krefeldzki „Bucher Markt“ pisze o nim:

„Książeczka, którą mamy przed sobą, śmiało nazwaną być może prawdziwym skarbem, tyle mieści w sobie zdrowej filozofii życiowej i prawdziwego doświadczenia. Śmiałym wzrokiem przenika autor życie ludzkie i jego stosunki; zwłaszcza wzajemny do siebie stosunek płci obojej, poucza jak na podstawie zasad religijnych ma się młodzież zapatrywać na życie, by nie uległ jego pokusom i niebezpieczeństwom. Wykazuje niewłaściwość różnych sposobów wyrażania się ogólnie przyjętych, całą potęgą duszy zwalcza kłamstwa, tak często w towarzystwie używane, przeciwstawiając im urok prawdy. Najlepszy to przewodnik dla młodych ludzi pośród burz tego żywota, albo przed obraniem stanu małżeńskiego, to dziełko, pełne duchowej, głębokiej mądrości; odczytaliśmy je dwukrotnie z najżywszym zajęciem i upodobaniem. Wydanie piękne, a cena stosunkowo bardzo niska, dochód przeznaczony na dom misyjny św. Krzyża. Kto zatem nabędzie tę książeczkę, spełni zarazem dobry uczynek, a sobie wyświadczy prawdziwą przysługę.“

Tom II i III.

Pismo „Aachener Sonntagsblatt“ pisze w Nr. 26 i 28 z czerwca 1896 r.:

Dziółka te zawierają cały szereg małych opowiadań, opisów i nauk; można je nazwać prawdziwie dobrym doradcą, zachęca bowiem do chrześcijańskiego życia, wskazuje jak do niego dążyć. Niektóre z tych opowiadań mogą zastąpić całe kazania. Styl jest prosty, ale przekonujący. Katolicy, jeśli chcecie się pouczyć i rozerwać zajmującą książką, lub też dorosłym przyjaciołom miły uczynić podarek, kupujcie te tomiki — a może staną się one dla was, lub dla drugich narzędziem łaski Bożej! —

Pismo: „Litteratischer Anzeiger für das kath. Oesterreich“ Nr. 10 z 1897:

„Bezimienny autor odznacza się uwielbienia godną gorliwością o zbawienie dusz i wielkim zrozumieniem nędzy moralnej i potrzeb czasu obecnego, a niekiedy z prawdziwym natchnieniem mówi o wierze św. Brak nam miejsca na szczegółowy rozbiór tak pociągającego napisanych tomików. „Tolle, lege“ — Bierz, czytaj, wołamy tylko do każdego, kto zachował jeszcze w sercu choć iskrę uczucia dla największego dobra ludzkości, dla religii.

Jak porywająco opracowany n. p. w drugim tomiku temat, tak często poruszany przez różnych kaznodziei: „Obecnemu czasowi brak mężów.“ Jako wzór przedstawia nam autor cały szereg mężów heroicznych, prawdziwie katolickich, zawsze gotowych do ofiary, abyśmy naśladować ich, rozpalali w sobie ducha miłości chrześcijańskiej. Jak poważne zagadnienia poruszane są w następujących rozdziałach, noszących napis: „Czy iść za męż, czy nie.“ „Związek małżeński i bezżeństwo.“ „Jeśli ma dzieć się lepiej na świecie — mówi autor —, należy nasamprzód odstąpić od mylnej zasady, jakoby pośród różnorodnych pokus, pozostawał tylko wybór pomiędzy

stanem małżeńskim, a grzechem.“ Małżeństwo nie jest jedynie zewnętrzną odmianą stosunków, ale stanem, do którego potrzebną jest łaska Boska; dla tego przy zawieraniu małżeństwa należy pytać przede wszystkim o religię, o prawdziwą cnotę i pobożność, a wszelkie inne warunki i motywy, podrzędne tylko powinny zajmować miejsce. — Z rozdziałów trzeciego tomiku wspomnieć należy przede wszystkim jeden, pod tytułem: „Teraz puszczaj Panie sługę Twego w pokój.“ Celem i końcem człowieka nie jest ten świat, ale niebo, do którego doprowadzić nas może jedynie wytrwała praca i dobre przygotowanie duszy. — Prócz tego wszystkie tomiki zawierają wiele pożytecznych zdań i myśli, mogących służyć jako przekonującą odpowiedź na zarzuty niechętnych i niedowiarków; również zbawienne uwagi, nasunięte autorowi z powodu uroczystych świąt kościelnych, jako to uroczystości Wszystkich Świętych, dnia zadusznego. Nietylko wierni, ale i księża i kierownicy dusz mogą posługiwać się z korzyścią tem praktycznem dziełkiem.

Wspomnieć jeszcze należy, że jego dochód przeznaczony na nowo powstający dom misyjny św. Krzyża, a ładnie oprawne tomiki stanowiąc będą ozdobę każdej biblioteki.“

Oswald Flöck

Tom IV.

Monasterski „Litterarischer Handweiser“ pisze:

„Czwarty tom „Chrześcijańskich Pogadanek“ podaje nam nasamprzód cztery sylwetki konwertytów, to znaczy opisuje powrót na łono Kościoła katolickiego: Ludwika Hoffmann, barona Schrötter z rodziną, Władysława Müllera i Joanny Rost. Następują rozdziały pod tytułem: „Obrazy senne,“ ale jest to raczej prawda, osłoniąca szatą poezji. Mowa tu o zmarnowaniu powołaniu, o obłudnej miłości, o grzechu

nałogowym, o żalu, o nawrocie, o miłosierdziu Boga nad gresznikami, o duchu ofiarności, o fałszywej przyjaźni, o modlitwie, ufności w Boga, o zmienności rzeczy ziemskich, o misjach w Chinach itd. Piętnaście rozmaitych rozdziałów, a każdy napisany z życiem, zajmująco i wzruszająco; z każdego można się nauczyć wielu pięknych i dobrych rzeczy. Często bardzo autor porywa prawdziwym zapałem religijnym i skłania duszę czytelnika do czynienia dobrych postanowień, do pełnienia dzieł miłości Boga i bliźniego. Bardzo polecić, można wszystkie dotąd wyszłe tomiki na podarki dla osób dorosłych, jak też i dla własnego zbudowania. Piąty tom ukaże się wkrótce.

Märkische Volkszeitung, Berlin. Dodatek do Nr. 132 z czerwca 1898 r.

Pierwsze trzy tomy dziełka „W cieniu Kościoła” znalazły powszechne i zasłużone uznanie, ufamy zatem, że i tom czwarty niemniej szybko rozszerzać się będzie. Treść jego jest nadzwyczaj zajmującą i pouczającą. W pierwszej swej części przedkłada nam dzieje i uczucia wybitnych konwertytów, i przeważnie własnymi ich słowy opowiada, co ich przywiodło do schronienia się „w cieniu Kościoła katolickiego.” A cóż może być bardziej zajmującego i pouczającego nad uważne zapoznanie się z życiem konwertytów, ich uczuć, walk i upadków, a wreszcie ostatecznego zwycięstwa.

Druga część, zupełnie odrębna, nosi tytuł „Obrazy senne.” Są tu jednak opowiedziane bardzo prawdziwe i prawdopodobne zdarzenia, osłonięte tylko szatą fantazyi; aby je uczynić dla czytelnika tem miłszemi i więcej pociągającemi. Autor prowadzony jest przez swego Anioła Stróża do chat biednych i do wspaniałych zamków, do wsi i miast, a dana mu jest władza przejrzenia serc ludzkich, poznania przeszłego ich życia, oraz czekającej ich przyszłości. Zestawienie teraźniejszości z przeszłością powia-

zane jest zręcznie i pociągająco, i stanowi zupełnie odrębny rodzaj opowiadań. Styl jest potoczny, prosty, a jednak pełen poezyi, miejscami wstrząsający, nie wątpimy też, że te „Sny” tak bardzo prawdopodobne, będą miały na czytelników wpływ najzabawienniejszy. Można tylko pragnąć, aby i czwarty tom, zarówno jak trzy poprzednie, w każdym znalazł się domu.

„Freie Stimme” Rudolfszell Nr. 140 pisze:

„W cieniu Kościoła tom czwarty . . . Treść powyższej książeczki rozpada się na dwie części. Pierwsza daje nam sylwetki konwertytów, druga pod wspólnym tytułem „Obrazy senne” przedstawia w całym szeregu obrazków życie chrześcijańskie, jakie jest i jakie być powinno, i to w sposób nader zajmujący i budujący. Książeczka ta znaleźć się powinna w rękach ludu. Przykład konwertytów pobudzi każdego do ocenienia, jak na to zasługuje, wielkiego szczęścia, posiadania wiary katolickiej, nad czem się zwykle ludzie zastanawiają tak mało, zapominając o należytej Bogu wdzięczności. W drugiej części zawarte „Obrazy senne,” prawdziwie nasze życie odzwierciedlające, budzą chrześcijańskie poczucie obowiązku, usłone brakiem wiary i samolubnymi przyzwyczajeniami. Można też gorąco polecić tę książeczkę do czytelni ludowych i stowarzyszeń katolickich. Cena niska, a dochód przeznaczony na rzecz misyi zagranicznych; każdy zatem nabywca książeczki spełnia zarazem dobry uczynek.”

Tom V.

„Der Litterarische Handweiser“:

„Poetyczne orzeźwiające tchnienie owiewa tę piękną książkę; uczuciem głęboko religijnem przeniknięte jest każde zdanie, to też nic dziwnego, że budzi w sercu czytelnika pobożne myśli i święte postanowienia. Treść książeczki porusza nieraz do

żywego i łączy z oczu wyciska; a zawsze kreśli obrazy dodatnie, prawdziwie katolickie, sięgające szczytów wyższej doskonałości. Język książki pełen życia, jasny i kwiecisty, choć miejscami trochę zaniedbany. Czytelnikami tego dziełka mogą być podług mego zdania wszelkie warstwy społeczne, a pośród nich tak samo dobrzy katolicy, jak i obojętni dla wiary i zgoła niewierzący; niełatwo się zdarzy, aby na kim nie miała wywrzeć głębszego wrażenia.“

Bernard Deppe.

„Co powstrzymuje zwycięstwo Krzyża.“ Na przełomie stulecia ukrzyżowanemu Zbawicielowi hołd złożony w uczuciu najgłębszej czci i miłości.

W przedmowie do wyżej wymienionego dziełka autor, równie gorliwy dla wiary jak w pracy niestrudzonej, w te do nas odzywa się słowa: „Na przełomie wieku, na początku stulecia kończącego drugi tysiąc lat naszej ery, każde, prawdziwie po katolicku czujące serce spogląda z boleścią na okrąg ziemi. Wszędzie wprawdzie spotrzega chwalebny znak Krzyża św., ale krzyż ten nigdzie nie świeci w zupełności należnego mu tryumfu, a często nieuznany i wzgardzony kryć się musi. Cóż tedy wstrzymuje zwycięstwo krzyża? Na to pytanie, które mimowoli ciśnie się na usta — starałem się odpowiedzieć w obecnej książce.“ —

Przeczytaliśmy to dziełko uważnie i z największym zajęciem, a tak jest pouczającym i wzruszającym, że pragniemy tylko, aby znaleźć się mogło w rękach jaknajwiększej liczby czytelników, nie wykluczając sfer najwyższych. Autor, pełen zapału dla wszystkiego co dobre i szlachetne, umiał i tu teoretyczne zasady poprzeć szczęśliwie przykładami, z życia wziętymi — okazuje się mistrzem w kreśleniu małych obrazków. Niektóre rozdziały tak są pięknie napisane, że czytając je, oprzeć się nie można głębokiemu

wzruszeniu. Miłość świętej sprawy kierowała wi docznie piórem autora.

Stadt Gottes.“

Adoremus Christum Przyczynek do hołdu uroczystego, złożonego Panu na przełomie nowego stulecia, 20 fg. W włoskiem tłumaczeniu przedłożono powyższą broszurkę wychodzącemu w Rzymie: „Osservatore Romano“, który pisze o niej:

Doszła rąk naszych broszurka, z niemieckiego przetłumaczona, której celem zachęcać do współdziałania w wielkiem dziele rozkrzewienia wiary. Broszura zasługuje ze wszęch miar, aby ją rozszerzać pomiędzy ludem, tem więcej, że cena bardzo niska. Napisana zwięźle i przekonująco, przez każdego zrozumianą i czytana być może, a zarówno prostaczków jak i uczonych zachęci do czynnego apostołstwa w krzewieniu wiary św., to też polecamy ją jaknajusilniej.

Ruch Katolicki pisze, Lwów, 14 lipca 1900:

„W cieniu Kościoła.“ Taki tytuł nosi książka, wydana niedawno w dobrym polskim przekładzie, nakładem drukarni misyjnej w Steyl (poczta Kaldenkirchen, Rheinl.)

Sam już tytuł tej książki każe się domyślać, jakiej jest ona treści, co autor pisząc, miał na celu. Nie będę się kusił o streszczenie tego dziełka, gdyż obniżyłbym tylko jego wartość w oczach czytelników „Ruchu.“ Pragnąc jednak jak najusilniej zachęcić społeczeństwo nasze do nabycia tej książki, bardzo cennej ze względu na jej treść, a taniej ze względu na jakość wydania, bo egzemplarz na gładkim papierze i w ozdobnej z płótna ang. oprawie kosztuje 1 m. 25 fen — zwrócę przedewszystkiem uwagę na to, że książka ta została w dwu wzniósłych celach: pierwszym — autora — było podanie wiernym zdrowego pokarmu duchowego; drugim — wydawców — zebranie za sprzedaż pewnej sumy

pieniędzy na dom misyjny w Neuland koło Nissy, skąd wychodzą kapłani — misjonarze. Kupując tedy tę książkę i czytając ją, każdy może spełnić dobry uczynek względem drugich i względem siebie samego

Aby dać poznać, ile sam czytelnik mógłby przy dobrej woli odnieść korzyści z czytania „W cieniu Kościoła“, rzucę krótki rys tych szczegółów, które się najbardziej przy czytaniu tego dziełka uwydatniają.

Autor, pisząc swoją książkę, miał na celu, zdaje się, głównie rodzaje ludzi oschłych, chwiejących się pod brzemieniem przeciwności, obojętnych w wierze i miłujących Kościół żywą miłością.

Mając na względzie tych pierwszych, których dusza podobną jest do jeziora o gładkiej, zamartej powierzchni, nie poruszanej żadnem tchnieniem wiatru i pozbawionej ciepłych promieni słońca tak, iż żaden kwiat nad nią nie wyrasta, — autor w treść swojej książki wlał tyle ciepła miłości Bożej i tyle światła nauki Słowa Bożego, iż zastygła toń uczuć oschłej duszy zadrgać musi pod tchnieniem tego ciepła żywszem uniesieniem, a pod promieniem tego światła, przy współdziałaniu łaski Bożej, wystrzeli ku niebu wonnym kwiatem Bożej miłości.

Dla tych drugich, dla chwiejących się w ich bojowaniu, autor, rysując dobitnie walki, jakie Kościół przechodzi, i podając liczne obrazki z życia dusz różnych zebrane, w których odkrywa tajemnicę siły do walki, zgotował czytelnikowi tyle otuchy, tyle zapалу do boju, że już nie z smutkiem zgryźliwym i szemraniem, nie z konieczności tylko, ale z podniesieniem w niebo i zwilżonem łzą cichej radości okiem, gotów będziesz iść po cierniach jak po kwiatach łąkowych.

Sądzę, że i niewierzący lub obojętny dla wiary pożytek odniesie też z czytania „W cieniu Kościoła“. Każde bowiem zdanie w tej książce napiętnowane

taką znajomością uczuć i potrzeb serca, znajomością życia duchowego katolickiego, tak wszystko wzięte, wydarte — że tak powiem — z natury, iż nie może nie przemówić do przekonania, choć nie zawiera filozoficznych dowodów, i nie porwać swym urokiem.

A ileż zadowolenia z czytania tej książki odniosą ci, co miłują Kościół! Autor ma jedną radość: gdy się Kościołowi powodzi; jeden smutek: gdy Kościół kłęski ponosi; jedno pragnienie: Kościołowi pomagać; jedna myśl mu zawsze towarzyszy: czynić coś dla dobra Kościoła jednego wyrzutu doznaje: zdaje mu się, że zamało pracuje dla zbawienia drugich i jedna tylko bojaźń go przejmie: lęka się opuścić to życie pierwej, niż co znakomitego dla Kościoła wykona.

To osobiste autora wyznanie; choć je podał w formie zalecenia swym czytelnikom. Czy wobec takiego usposobienia autora treść jego dzieła, będąca wiernem odbiciem jego duszy, nie będzie miłą dla nieobojętnych na sprawy Kościoła, tembardziej, że autor z siłą ciągle zaznacza zwycięstwo ducha katolickiego?

Ponieważ każdy należy do jednego z rodzajów ludzi, których autor miał głównie na względzie, a niejeden ma inne troski i potrzeby, na które również nie gorsze od pierwszych środki książka „W cieniu Kościoła“ podaje, z całego serca zachęcamy wszystkich do jej nabycia, co może pp. księgarze zechcą publiczności ułatwić.

Od nas niech autor za napisanie „W cieniu Kościoła“ przyjmie serdeczne staropolskie „Bóg zapłać“

W polskim tłumaczeniu wyszło tegoż autora i nakładem domu misyjnego:

W cieniu Kościoła tom I cena 1 m 25 fg.

W cieniu Kościoła tom II ukaże się niebawem, a następnie i dalsze tomy.

❁ 036876 F

×KSIEGARNIA×
ANTYKWARIAT

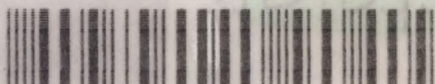
DOM
KSIĄZKI
DOM

≡ 036876 F ≡

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

6339 S



001-006339-00-0